

GRY WOJENNE TUSKA

SKRAJNA LEWICA MARZY O KRWAWEJ REWOLUCJI

KIM NAPRAWDĘ BYŁ ŚWIĘTY FRANCISZEK?

WILDSTEIN O „DEKALOGU NARODOWEGO PRZETRWANIA": DEMOGRAFIA, CZYLI KULTURA

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
10 (692) 2026
2–8 marca 2026
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

POLSKA PEŁNA AGENTURY

WIELKI TRANSFER! ANITA GARGAS

DOŁĄCZA DO TELEWIZJI wPOLSCE24 I MÓWI NAM:

- O SŁABOŚCI NASZYCH SŁUŻB SPECJALNYCH
- O WALCE O PRAWDĘ O SMOLEŃSKU
- O KULISACH TRANSFORMACJI LAT DZIEWIĘĆDZIESIĄTYCH

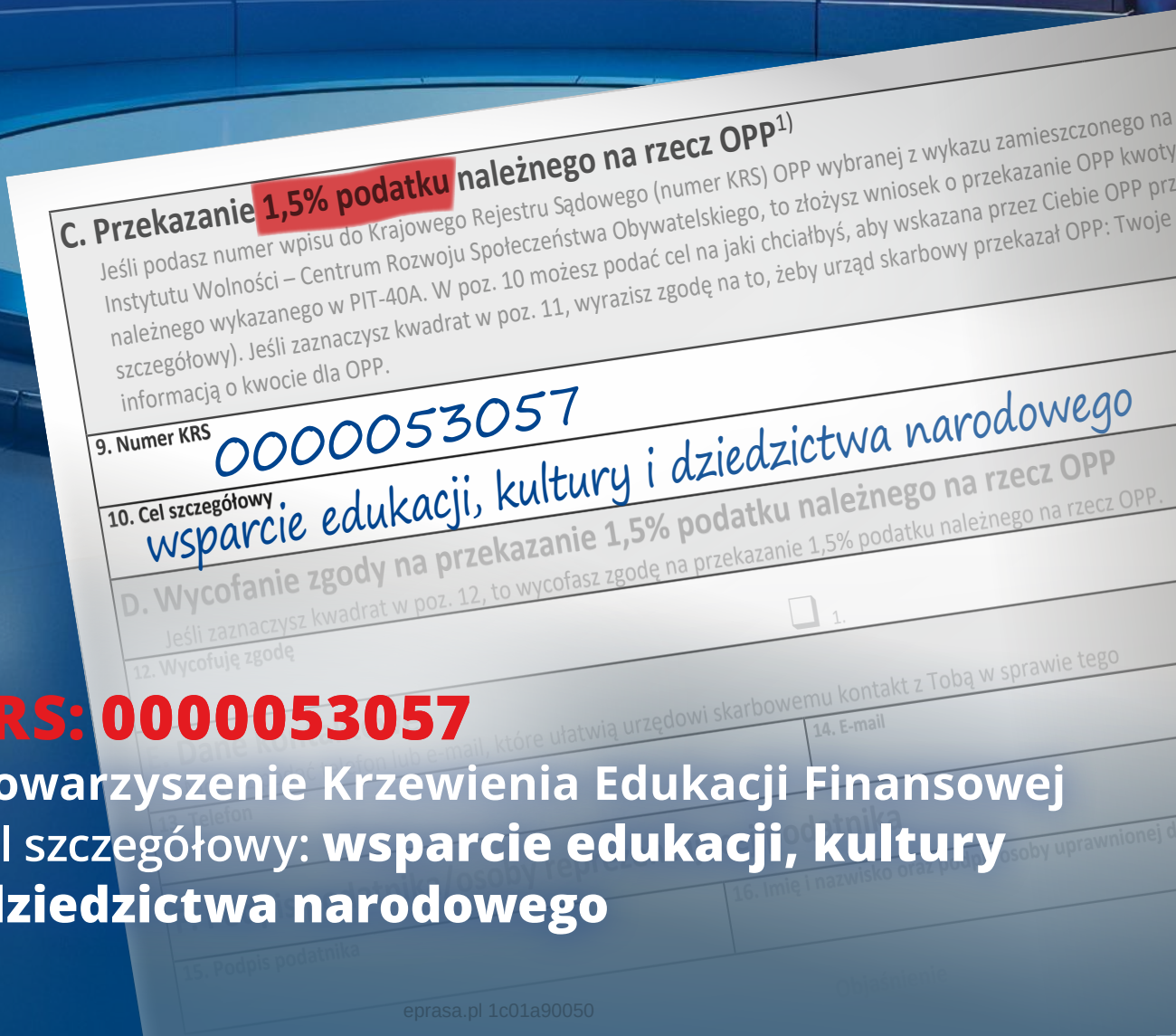
INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
Numer w sprzedaży do 9 III 2026 r.

eprasa

wPolsce24

Rozliczasz PIT?

Przekaż 1,5% podatku i pomóż nam tworzyć polskie media



KRS: 0000053057

Stowarzyszenie Krzewienia Edukacji Finansowej

Cel szczegółowy: **wsparcie edukacji, kultury i dziedzictwa narodowego**

eprasa.pl 1c01a90050

Zakute łby, do pierdla!

Pamiętają państwo apele Donalda Tuska o jedność? O narodową zgodę ponad podziałami? Mogło się to zatrzeć w pamięci, bo tamtego Tuska już dawno nie ma. Dziś jest już tylko bezwzględnym pałkarzem w chronicznym hejterskim ataku.

„Dotarło, zakute łby?" – pyta premier, który zwykł nosić serduszko w klapie, by pokazać, jaki jest miły, empatyczny, uczuciowy. Tyle że wśród jego uczuć dominuje nienawiść. Szef rządu uznał, że nie musi się już hamować i może pokazać swoje prawdziwe, jadowite oblicze.

Jaką klasę trzeba mieć, by na chłodno zdecydować o opublikowaniu filmu, na którym w ten sposób zwraca się nie tylko do oponentów politycznych, lecz także wyborców? Sam przyznał wszak następnego dnia, że „termin »zakute łby« dotyczył tych, którzy chcą zablokować pieniądze dla Polski z powodu braku kompetencji lub zwykłej głupoty". A chcą tego nie tylko politycy opozycji, lecz także miliony – sądząc po sondażach – zwykłych ludzi, którzy obawiają się kolejnego oddania kawałka polskiej suwerenności decydentom w Berlinie i Brukseli. A to *de facto* oznacza przyjęcie mechanizmu SAFE.

Tusk z jakiegoś powodu uznał, że w tej sprawie może iść ścieżką dyktatorską i zakazać nawet dyskusji, jakiegokolwiek sporu, artykułowania obaw o bezpieczeństwo państwa. Taki przekaz musiał pójść do jego żołnierzy, skoro jeden z nich, poseł Grzegorz Napieralski, dwa dni później powiedział reporterce telewizji wPolsce24: „Ponad 70 proc. ludzi chce tej umowy, chce bezpieczeństwa, więc mówienie dzisiaj o tym programie coś złego albo atakowanie tego programu, jest moim zdaniem zdradą państwa. […] Rosja może nas w każdej chwili zaatakować, a my dzisiaj dyskutujemy, czy mamy modernizować armię, czy nie. No ktoś, kto temu zaprzecza, powinien po prostu iść do więzienia".

Iść do więzienia, po prostu. Rozumiecie, zakute łby? Jeśli jesteście odporni na naszą propagandę, straszenie ruskim i jeśli się nie zgadzacie z naszymi pomysłami, to wyślemy was za kraty. Według Napieralskiego samo krytykowanie chęci dodatkowego zadłużenia państwa na 45 lat jest zdradą państwa. Dlaczego nie postuluje zatem kary głównej, jaką niedawno wymierzało się za tę zbrodnię? Czemu od razu nie wysyłać krytyków rządu na stryczek? Bolszewicki charakter drzemiący w Napieralskim nie zwyciężył i były szef SLD okazał jednak łaskę.

Ale wskazany został kierunek i sposób myślenia władzuchny. Ona naprawdę chciałaby zamykać za podejmowanie dyskusji. I komunikują nam to w coraz bardziej ostentacyjny sposób. Celem jest wywołanie strachu w odbiorcach, wzięcie nas wszystkich za mordę i spacyfikowanie.

System Tuska czyni to nawet wobec swoich koalicjantów. I to skutecznie. Szymon Hołownia boi się paru słów prawdy, więc zarzeka się, że to nie szef KO steruje wymierzonym w niego hejtem, lecz jakiś „mechanizm polaryzacyjny". Szkoda, że nie wyjaśnił, czym jest ów mechanizm i kto go nakręca. Czy na sprawczość premiera w tym zakresie trzeba lepszego dowodu niż sykniecie o „zakutych łbach"?

Donald Tusk próbuje zamordować debatę publiczną w Polsce. Chce wyhodować w Polakach przekonanie, że z myślącymi inaczej nie wolno nawet rozmawiać. Można na nich pluć, postulować zamykanie do więzień i oskarżać o zdradę ojczyzny (czego przecież Tusk jako premier dopuścił się osobiście w latach 2008–2010 i kolejnych na odcinku rosyjskim).

A skoro mają już nie obowiązywać żadne zasady państwa demokratycznego, to równie debatę parlamentarną można zamienić w rynsztok. Tego zadania podjął się poseł Artur Łącki (to ten, którego żona wzięła z KPO ponad 1 mln zł) i w trakcie dyskusji nad ustawą o Państwowej Inspekcji Pracy zachował się jak menel: „Pani minister nie rozumie, że przedsiębiorca, gdy wraca do domu o godz. 17.00, to nie siada z rodziną i nie rozmawia, tylko siada, kur...a, do faktur […]". Nie zająknął się, nie zmitygował po chwili, nie przeprosił oczywiście. Może nie zauważył, że rzucił „kur...ą" w trakcie debaty sejmowej. Włos co prawda miał rozwiany, ale jego mowa nie była bełkotliwa, a „tylko" knajacka w treści.

Cham pozostanie chamem, choćby jadł na srebrnej tacy. A „kierownik" jeszcze za to pochwali.

Marek Pyza



Reklama | 02/0925/FZAL

eprasa.pl 1c01a90050

SIECI spis treści


wyborcza.pl
MAGAZYN
Agata Bielik-Robson: Łatwość formułowania negatywnych sądów w sprawie Epsteina budzi we mnie potężny opór

30 Zrobiło się „politycznie niebezpiecznie”
Maciej Walaszczyk



38 Wojna, której miało nie być
Jan Rokita



54 90 lat kolejki na Kasprowy Wierch
Stanisław Płużański

NA POCZĄTEK

5 JA, PUŁKOWNIK
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 ETS – ZIELONY HARACZ, KTÓRY EUROPA MUSI ODRZUCIĆ Z HUKIEM
Daniel Obajtek

9 PRZEBUDZENIE HOŁOWNI
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 NIEMCY PSUJĄ NAM EUROPĘ
Jan Pietrzak

12 POWRÓT DO ROSYJSKIEJ RULETKI
Samuel Pereira

13 (NIE)ZAWODNA TECHNOLOGIA A SUWERENNOŚĆ
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA MICHAŁA ŁOPACIŃSKIEGO
Michał Korsun

16 PANIE SIKORSKI, ALE TO WY RZĄDZICIE…
Arkadiusz Mularczyk

17 OBRÓBKA UMYSŁOWA
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

18 ILE KOSZTUJE PRAWDA?
Z Anitą Gargas rozmawia Jerzy Szmit

KRAJ

21 GRY WOJENNE TUSKA
Konrad Kołodziejski

24 OD ENTUZJAZMU DO ZNIECHĘCENIA
Piotr Gursztyn

27 GANG OLSENA ROBI SKOK NA TRYBUNAŁ
Stanisław Janecki

30 ZROBIŁO SIĘ „POLITYCZNIE NIEBEZPIECZNIE”
Maciej Walaszczyk

33 DEMOGRAFIA, CZYLI KULTURA
Bronisław Wildstein

36 URBAN UŚMIECHA SIĘ Z PIEKŁA
Goran Andrijanić

ŚWIAT

38 WOJNA, KTÓREJ MIAŁO NIE BYĆ
Jan Rokita

42 POD NUKLEARNYM PARASOLEM
Marek Budzisz

46 LEWICOWA FURIA
Aleksandra Rybińska

49 FRANCISZEK PRAWDZIWY I FAŁSZYWY
Grzegorz Górny

OPINIE

52 DZIELI NAS NIE TYLKO ATLANTYK
Jan Parys

HISTORIA

54 90 LAT KOLEJKI NA KASPROWY WIERCH
Stanisław Płużański

SIECI KULTURY

57 ŚWIETNI CHŁOPCY
Jolanta Gajda-Zadworna

60 HITY I KITY
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

62 GORĄCO W CENTRALNYM BANKU EUROPY
Stanisław Koczot

NATURA DLA LUDZI

64 ZAGADKA ARKTYKI
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

66 MOJE SZLAKI: NICZYM ZNAD NIEMNA
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 NIEWINNI PEDOFILE
Robert Tekieli

70 REWIZJONIŚCI I ROMANTYCY
Wojciech Reszczyński

71 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

72 POST I WRZASK
Aleksander Nalaskowski

73 IGRZYSKA, ZBRODNIA I BŁĄD…
Ryszard Czarnecki

74 „ZBAWCA” CZY OPRAWCA?
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 1c01a90050

BRONISŁAW WILDSTEIN

Ja, pułkownik

Wspominałem już, że jedną z niewielu wyborczych obietnic, których Donald Tusk dotrzymał, było przywrócenie przywilejów emerytalnych ubekom. Samodzielnie nie stanowią oni grupy, która mogłaby interesować premiera, ale są częścią postkomunistycznego układu, który trwa, mimo że jego reprezentanci wymierają. Część solidarnościowych elit sprzymierzyła się z dawną nomenklaturą i wrosła w establishment III RP.

Jaskrawo widzimy to w wymiarze sprawiedliwości, ale rzecz dotyczy wszystkich sektorów państwa. Po siłowym przejęciu TVP jej dyrektorem programowym został Sławomir Zieliński, propagandysta PRL, agent SB, macher telewizji publicznej III RP. Kiedy został odwołany w 2016 r., był dyrektorem Biura Koordynacji Programowej TVP. Obecnie awansował. To, że takim postaciom Tusk powierza swoją propagandę, mówi o nim wiele. W tym kontekście chciałbym przedstawić czytelnikom sprawę, która dotyczy mnie osobiście, choć ma zdecydowanie szerszy wymiar.

Tuż przed przejęciem władzy przez koalicję 13 grudnia TVP wyprodukowała, na podstawie mojej powieści „Czas niedokonany", serial o tym samym tytule. Scenariusz napisał wybitny dramaturg i scenarzysta Wojciech Tomczyk, a zrealizował go uznany reżyser, twórca takich filmów jak „Warszawa" czy „Legiony", Dariusz Gajewski. Serial został skolaudowany, dostał bardzo dobre recenzje i... wylądował na półce. Mimo że TVP w likwidacji nie ma prawie żadnych nowych produkcji, „Czas" nie jest emitowany.

Serial nie zajmuje się meandrami naszego politycznego życia, Tuskiem czy jego ekipą. Dzieje się współcześnie i – jak sygnalizuje tytuł – skupia na ciągłości naszych najnowszych dziejów. Demonstruje zatem realność PRL, a jednocześnie próbuje uchwycić – rzecz niemal nieobecną w naszej kulturze – fenomen Solidarności. Widocznie prawda o komunizmie i antykomunistycznym zrywie Polaków okazuje się zbyt niewygodna, aby TVP zdecydowała się ją pokazać.

Scenariusz na podstawie mojej powieści „Dom wybranych" napisałem osobiście. Kinowy obraz zrobił z niego Wojciech Nowak, reżyser głównie teatralny, który realizował także filmy, np. „Śmierć dzieciorobа" czy „Krugerandy". „Dom" został skończony po przejęciu władzy przez koalicję 13 grudnia.

I pech. Dystrybutor, który miał go rozpowszechniać, niespodziewanie uznał, że „film nie rokuje". Wcześniej rokował, ale pozostając tym samym obrazem, przestał rokować. Co więcej, PISF wstrzymał ostatnią transzę przyznanej mu dotacji. Ponieważ jest to złamanie umowy, namawiałem producenta, aby wytoczył proces instytucji. Nie dziwię się, że tego nie zrobił. Będzie chciał jeszcze realizować filmy w Polsce.

I znowu – „Dom" nie dotyczy polityki, chociaż odsłania medialny świat, który stanowi soczewkę naszej rzeczywistości. Jest niepoprawny, ponieważ nie rozwodzi się nad hipokryzją polskiej prowincji ani nad zepsuciem kleru, ale koncentruje się na tych, którzy kreują kształt naszego świata. Czy samo to wystarczy, aby pod nową władzą „film przestał rokować"?

A może bez fałszywej skromności jakąś rolę ogrywa w tym moje nazwisko, radykalnego krytyka obecnego stanu rzeczy i rządzącej ekipy?

Strategia władz III RP polega na wepchnięciu w nicość jej krytyków – w tym także naśladują one swoich komunistycznych poprzedników. Dlatego tak usilnie starają się likwidować media niepowielające dominującego przekazu. Stan rzeczy ilustrują próba odebrania koncesji niezależnym stacjom telewizyjnym oraz presja na firmy prywatne, nie mówiąc już o państwowych, która owocuje tym, że najlepiej oglądana telewizja informacyjna, jaką jest Republika, nie ma prawie reklam. Potwierdza to próba cenzurowania internetu.

Dotyczy to także twórców, którzy nie mieszczą się w ramach narzuconych przez establishment. Wzorcowym przykładem tego procederu było potraktowanie Zbigniewa Herberta w latach 90. ub.w.

Najbardziej uznany poeta polski został wtedy po prostu zamilczany, a jego kolejne, równie wybitne jak poprzednie, tomiki wierszy „Rovigo" i „Epilog burzy" były ogólnie niedostrzegane i tylko z rzadka lekceważąco wspominane. Przedsięwzięcie, które jeszcze na początku lat 90. wydawało się niemożliwe do przeprowadzenia, zostało uwieńczone sukcesem, a wielki polski poeta został zesłany na margines. Natomiast po jego śmierci rozpoczęła się jeszcze bardziej obrzydliwa operacja przejmowania go przez główny nurt, która polegała na reinterpretacji jego twórczości przy jednoczesnym pomawianiu go o chorobę psychiczną. Choroba ta nie miała wpływać na poezję ani na eseistykę Herberta, a wyłącznie na jego polityczne poglądy.

Jeśli zatem ktoś z mainstreamu zareaguje na moje uwagi, to dowiemy się, że filmy, o których piszę, były pozbawione wartości, a TVP i dystrybutorzy na szczęście zorientowali się w porę.

Bo przecież po prawej stronie nic wartościowego nie powstaje. Czy możecie wskazać jakieś tytuły?



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1c01a90050



Sygnalista nadaje

Witajcie, zakute łby! Tymi ciepłymi słowami premiera witamy wszystkie osoby czytelnicze i nieczytelnicze niniejszej rubryki. Osoby o tożsamości praworządnej, demokratyczno-walczącej i polskouśmiechniętej. Całej reszty, która nie dorosła do demokracji (i nigdy nie dorośnie), nie witamy. Dotarło, zakute łby? Czego nie rozumiecie? To zwrot grzecznościowy. A osiem gwiazdek to nie wulgaryzm.

Tymczasem w nieustającym paśmie sukcesów rządu premiera Donalda Franciszka optymistyczne doniesienia z Brukseli. Komisja Europejska informuje: „Polska najszybciej zadłużającym się krajem Europy". Mamy to! Robimy, nie gadamy! Łyso wam? Dotarło, zakute łby? Autorom sukcesu – ze szczególnym uwzględnieniem premiera i Andrzeja Domańskiego – dedykujemy piosenkę zespołu Tatoo „Nas nie dogoniat". Młodsze pokolenie może już nie kojarzy, bo to utwór z czasów sprzed resetu i dialogu z Rosją taką, jaka ona jest. Ale osoby w kryzysie młodości z pewnością doskonale ją pamiętają i ze wzruszeniem wysłuchają ponownie.

Ze spraw mniej ważnych, które jednak warto odnotować. ***Radek Sikorski*** wygłosił przemówienie w Sejmie. Przypomniał rzeczy, które każdy w sumie pamięta: że Rosja jest zła, USA jeszcze gorsze, a najgorsi to PiS i ten Nawrocki. Odnotować trzeba, że Radek ma ładny tembr głosu. Dziwimy się tym, którzy się dziwią, że Radek lubi słuchać własnego głosu.

Janczarzy Nawrockiego narzekają, że Dziadek Mróz mrozi prezydenckie projekty ustaw w sejmowej zamrażarce. Dziadkiem Mrozem nazwali marszałka Wołodymyra (wcześniej Władimira) ***Czarzastego***. Po pierwsze, nie Dziadek Mróz, lecz Died Moroz. A po drugie, niech się cieszą, że w zamrażarce. To tylko -18 st. Celsjusza. W tundrze, na białych niedźwiedziach, jest dużo zimniej.

Tymczasem Died Moroz nawiedził Kijów. Tym razem nie Petersburg, krasiwyj gorod kojarzący się ze Swietłaną, ale inne miasto dawnego Związku Radzieckiego. Died Moroz naobiecywał tym nieszczęsnym Ukraińcom masę fajnych rzeczy, łącznie z tym, że wprowadzi ich do Krainy Wiecznej Szczęśliwości, czyli Unii Europejskiej. Obietnica brzmi konkretnie, bo Włodek zapowiedział, że to on będzie tym Mojżeszem. A u Włodka słowo droższe od pieniędzy. Skoro obiecał, to znaczy, że obiecał.

Ponoć obietnice Włodka zostały przyjęte na Ukrainie bardzo ciepło. Tubylcza ludność uwierzyła naszemu charyzmatycznemu marszałkowi, że szybko wprowadzi ją do Unii Europejskiej. Dobrze, że nie sprawdzili sondaży Lewicy ani osobistych wyników wyborczych Włodka, bo mogliby się nieco rozczarować. W każdym razie łatwość, z jaką przyjęto nad Dnieprem obietnice Włodka, zainteresowała naszych krajowych sprzedawców unikatowych garnków za 10 tys. zł oraz nigeryjskich biznesmenów wysyłających e-mailowe informacje o odziedziczonych wielomilionowych spadkach. Muszą się jednak pospieszyć, bo przecież nawet Ukraińcy się połapią, co naprawdę może Włodek.

eprasa.pl 1c01a90050

Apel do osób wszystkich tożsamości, normatywnych i nienormatywnych, gotowych do obrony naszej wspólnej europejskiej ojczyzny i matczyzny. „Musimy być gotowi, że Kaczyński wróci do władzy” – apeluje Manfred Werner i wzywa do broni, do stworzenia wspólnej europejskiej antykaczystowskiej partii. Wstępujcie w szeregi! Kredki w dłoń! To będzie siła, której nikt nie powstrzyma. Zwłaszcza gdy będzie dowodzona przez kadry oficerskie wystawione przez Komitety Obrony Demokracji i korpus podoficerski wyszkolony w ruchu Silnych Razem.

Uwaga! Nadal obowiązuje alert RCB najwyższego stopnia: omijaj szerokim łukiem ul. Nowogrodzką w Warszawie! Ciągle trwa łapanka na premiera technicznego z PiS. Sytuacja w tym rejonie pozostaje bardzo napięta i grozi wznowieniem walk między maślarzami a harcerzami. Obserwatorzy wskazują jednak, że powoli się klaruje. Wiadomo, że premierem technicznym nie zostanie Zbigniew Bogucki, bo jego chlebodawca – czyli ten Nawrocki z Gdańska – nie podpisał mu obiegówki. Boguckiemu się upiekło i zostaje w Kancelarii Prezydenta, ale inne osoby pisowskie nie mogą się czuć bezpieczne. Według zapowiedzi wygłoszonych przez Mariusza Błaszczaka spośród złapanych kandydatów zostanie wyselekcjonowana osoba z młodszego pokolenia. To dobra wiadomość dla Ryśka Terleckiego, bo jemu też się upiecze. Kryterium doboru zawężone przez Błaszczaka wskazuje na konkretną osobę: kandydatem PiS na premiera wywodzącym się z młodszego pokolenia będzie... Oskar Szafarowicz! Bo kto inny, jak nie on?

Przybyło niewdzięczników źle oceniających rządy premiera Donalda Tuska. Wyszło to nawet w badaniu tak zasłużonego ośrodka jak CBOS. Uprzejmie przypominamy, że jego ankieterzy znają dane osobowe osób ankietowanych. Wszystko, łącznie z adresem zamieszkania i numerem telefonu. Czy nie da się z tym nic zrobić? Bezczelność ankietowanych nie zna bowiem granic. 54 proc. źle oceniło trud premiera, a tylko 35 proc. można nazwać obywatelami zasługującymi na prawa wyborcze. Bo tylko te osoby zauważają osiągnięcia rządu Polski Uśmiechniętej. Jakże inaczej wyglądałby wynik wyborów prezydenckich, gdyby wyeliminować ludzi głosujących w sposób nieodpowiedzialny. Dzięki temu dr Kontek nie musiałby się teraz męczyć z liczeniem głosów.

Prokuratura ściga znanego pisowskiego aferzystę, niejakiego Morawieckiego, za to, że zostawił po sobie hałdy węgla. A wiadomo, że cała Europa odchodzi od wysokich emisji CO_2 i węgiel jest chwilowo niemodny. Dziwi natomiast, że prokuratura nie ściga Morawieckiego za to, że nie zostawił obecnemu rządowi hałd pelletu. I teraz trudno kupić to paliwo, co przecież nie jest winą obecnego rządu, a wyłącznie PiS. PS Ściganie pisowców przez prokuraturę i służby jest bardzo fajne, ale czy warto to teraz robić? Bo taki ścigany pisowiec, jakiś Morawiecki czy Sasin, zauważą, że są sprawy ważniejsze niż wojna harcerzy z maślarzami i przestaną się kłócić.









W naszym kąciku muzycznym następny przebój: „Hare, Grzegorz, Grzegorz, hare! Hare, Braun, Braun, hare, hare! Love, love, love!”. Na melodię ze starego musicalu „Hair” (czyli prawie „broda”). Piosenka dedykowana wszystkim wyborcom Konfederacji Korony Polskiej (łamane na Korony Indyjskiej, kiedyś Rosyjskiej). Wiele emocji nadal budzi nowy wektor działań Grzegorza (dla przyjaciół Grigorija) ***Brauna***, czyli Indie. Osoby braunosceptyczne atakują politykę otwarcia na kraj świętych krów. Odrzucamy tę bezpodstawną krytykę nowych kierunków geopolitycznych KKP. Czyżby curry gorzej wam smakowało? Indie! Zakochacie się w tym kraju i jego ludziach. Zwłaszcza gdy już do nas przyjadą.

Uwaga! Jest potwierdzenie, że jednak powstanie nowa partia. Paczkomat-party. Rafał „Inpost” Brzoska dementuje doniesienia o tym, że zakłada własną partię. „To najdziwniejsza plotka ostatnich tygodni” – powiedział mąż Omeny Mensah i zapewnił, że nie wybiera się do Sejmu, Senatu i innych takich miejsc w pobliżu spiżarni z konfiturami. Nie wierzymy w informacje niezdementowane i tak jest tym razem. Nie czekajcie i już teraz wstępujcie do nowej partii. Zapisy w najbliższym paczkomacie.

Myśleliśmy, że ***Szymek Hołownia*** jest już zgrillowany i gotowy do konsumpcji. Otóż nie! Nie każdy lubi krwiste grillowane Hołownie. Widać, że więcej jest takich, którzy wolą schrupać Szymka wysmażonego medium albo nawet medium well. Grille marki „Rzeczpospolita” lub „Polityka” nadają się najlepiej do mocnego wysmażenia Hołowni. Na tym drugim grillu można też zgrillować żonę Szymka, czyli Urszulkę. Za grillowanie Szymkowych dzieci jeszcze nikt się nie wziął, ale to kwestia czasu. Co się odwlecze, to i tak się upiecze. PS Szczęście w nieszczęściu Szymka jest takie, że za opisywanie jego choroby wzięła się najbardziej tępa kredka w piórniku „Rzepy”, czyli Jacek Nizinkiewicz. Podobieństwo imienia z Jackiem Murańskim nieprzypadkowe.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk x2

eprasa.pl 1c01a90050

ETS – zielony haracz, który Europa musi odrzucić z hukiem



Czesi i Słowacy wzywają (tak jak od dawna polska prawica) do natychmiastowego zatrzymania ETS2 – dodatkowego haraczu na ogrzewanie i benzynę. Nawet prezydent Francji Emmanuel Macron, ten mistrz elegancji, nagle błaga o ulgi dla przemysłu. Ironia losu, prawda?

Europa wreszcie powoli się budzi z brukselskiego letargu. Od dawna powtarzamy, że system ETS (Europejski System Handlu Emisjami), ten rzekomy strażnik klimatu, jest ordynarnym kieszonkowcem. Teraz inni zaczynają przyznawać nam rację. Od Paryża po Bratysławę wszyscy powoli mają dość: rolnicy, przemysł, zwykli ludzie. Zawiesić to natychmiast i poddać gruntownej rewizji – inaczej Unia Europejska sama się rozleci.

ETS obiecywał cuda, krainę wiecznej szczęśliwości, gdzie wszyscy – bogaci, syci i zadowoleni – przechadzamy się spokojnie wśród zieleni. A co mamy? Rachunki jak z kosmosu, fabryki w większości w Azji, a obywatele nie w parkach, tylko w kolejce po zasiłki.

Czesi i Słowacy wzywają (tak jak od dawna polska prawica) do natychmiastowego zatrzymania ETS2 – dodatkowego haraczu na ogrzewanie i benzynę. Nawet prezydent Francji Emmanuel Macron, ten mistrz elegancji, nagle błaga o ulgi dla przemysłu. Ironia losu, prawda? Włosi chcą oddawać koszty ETS swoim elektrowniom, tak by ludzie mieli tańszy prąd i nie zbankrutowali.

A Polska? Nasz patorząd też niby popiera zmiany, ale jakoś bez przekonania, zawsze w ogonie, byle się nie wychylić. Panie Tusk, najwyższy czas zawołać gromko: „STOP”! Zanim nas do końca gospodarczo zaduszą.

Kto za to odpowiada? Lobbyści wiatraczków i paneli prosto z Pekinu, biurokracja z Brukseli, która nigdy nie przyzna się do błędu, oraz zieloni, oczadziali fanatycy z Parlamentu Europejskiego – wszyscy razem wciskają wam kit o ratowaniu świata, a tak naprawdę grabią wam kieszenie bez litości.

Na razie eurokracja wciąż udaje, że nie widzi rolniczych protestów w Brukseli i w Strasburgu. Przemysł już na serio grozi ucieczką z pieniędzmi i inwestycjami do Chin i do Donalda Trumpa. Europejczycy gremialnie mają dość drożyzny i biedy. Walczymy o klimat, a toniemy w długach – do wybuchu rewolucji coraz bliżej.

Caryca Von der Leyen kiwa głową i obiecuje kolejne „interwencje”, jakby to nie jej ekipa wymyśliła to szaleństwo. Rewizja ETS? Konieczna jest nie jakaś kosmetyka, ale totalna rozbiórka. Trzeba pilnie zawiesić ten system i zreformować do dna albo niech eurokraci sami zapłacą rachunki za nas. Narody, łączcie się w walce z tym absurdem!

Daniel Obajtek

eprasa.pl 1c01a90050

Przebudzenie Hołowni

Ten polityk sam zobaczył, jak głęboko w jego własnym obozie jest zakorzeniona logika bezwzględnej walki i nienawiści do każdego, kogo uzna za przeciwnika

To, co wydarzyło się w ostatnich dniach wokół Szymona Hołowni, jest czymś znacznie więcej niż kolejną medialną burzą. To brutalna demonstracja siły środowiska, które samo siebie nazywa „demokratycznym", a które w praktyce działa jak bezwzględna machina niszcząca każdego, kto choć na moment wyłamie się z szeregu. I to środowisko ma napędzającego „kierownika".

Publiczne ujawnienie rzekomej choroby Hołowni przez dziennikarza Jacka Nizinkiewicza na łamach „Rzeczpospolitej" to akt, który trudno nazwać inaczej niż przemocą. Pod płaszczykiem troski w Światowy Dzień Walki z Depresją podano opinii publicznej informację dotyczące zdrowia polityka – bez jego zgody, bez rozmowy z nim, na podstawie „źródeł z otoczenia".

Hołownia odpowiedział jasno: „Nikt nie ma prawa handlować cudzą prywatnością". I trudno się z nim nie zgodzić. Tym bardziej że kilka tygodni wcześniej podobną obrzydliwą metodę zastosowała „Gazeta Wyborcza", gdy Wojciech Czuchnowski ujawnił w tekście informacje o lekach przyjmowanych przez prof. Sławomira Cenckiewicza. Wtedy oburzenie było wybiórcze. Dziś milczenie wielu jest ogłuszające. Choć trzeba też przyznać, że wielu polityków stanęło w obronie wicemarszałka Sejmu, choć najmniej z jego własnego obozu.

Można różnie oceniać polityczną drogę Hołowni. Można krytykować jego współpracę z rządem Donalda Tuska, jego decyzje w sprawie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika. Ale uczciwość wymaga przyznania, że po wyborach prezydenckich 2025 r. stanął na wysokości zadania i mimo nacisków własnego zaplecza przeprowadził zaprzysiężenie Karola Nawrockiego. Wówczas zalała go fala hejtu. Oskarżenia o zdradę, insynuacje, publiczne lincze w mediach społecznościowych i komentarzach „sojuszników". I być może dopiero wtedy Hołownia naprawdę zrozumiał, jaką nienawiścią kieruje się jego własny obóz. Nienawiścią, która nie zna granic. Która nie kończy się na polityku, ale sięga jego rodziny.

Okładka tygodnika „Polityka" ilustrująca tekst o mundurowych emeryturach wizerunkiem żony Szymona Hołowni oraz pierwszej damy Marty Nawrockiej była kolejnym ciosem poniżej pasa. Żona wicemarszałka Urszula, była pilotka MiG-29, po niemal dwóch dekadach służby nie jest osobą publiczną. Jej „winą" pozostaje to, że jest żoną polityka. Nikt nie zapytał jej o zgodę. Nikt nie uznał, że należy się jej elementarny szacunek za lata służby. Inna sprawa, że ta okładka to także kolejna odsłona ataku na pierwszą damę. Trudno sobie wyobrazić, by żona prezydenta wciąż pracowała w KAS.

„»Wolne Media« w natarciu. Wczoraj zajęły się ujawnianiem moich chorób, dziś na afisz biorą moją żonę. Która po prawie 19 latach służby, w której dosłownie narażała życie, przy każdym dyżurze bojowym będąc pierwszym ogniwem obrony RP (a więc także bezczelnie handlujących dziś jej wizerunkiem dziennikarzy) – odeszła na wcześniejszą emeryturę. I z poczucia trwającego obowiązku wobec państwa – dołączyła do programu »Aktywnej rezerwy« [...]. Marta Nawrocka też nie wybrała sobie tego losu. Pełniąc bez wynagrodzenia obowiązki Pierwszej Damy, ma nadal wystawiać skarbowe mandaty? Zawsze i wszędzie powtarzałem i pilnowałem tej zasady w kampaniach: wara od rodzin polityków, to nie ich wina, że robimy to, co robimy. Powtarzam: rozumiem taktykę – znienawidzonego polityka najpierw »uderzyć« depresją, a później wziąć się za jego żonę. Kiedy przyjdzie czas na lustrację naszych 8- i 4-letnich dzieci?" – napisał na platformie X Szymon Hołownia i dodał, że nikt nie potrafi „nienawidzić tak, jak »obóz demokratyczny«, jego media i klakierzy".

Jest więc przebudzenie, głębokie rozczarowanie i oskarżenie. Szkoda, że dopiero teraz. Po miesiącach hejtu, po atakach na rodzinę, po publicznym grzebaniu w jego zdrowiu Hołownia sam zobaczył, jak głęboko w jego własnym obozie jest zakorzeniona logika bezwzględnej walki i nienawiści do każdego, kogo uzna za przeciwnika. Szkoda, że dopiero teraz zrozumiał, w co wdepnął. Lepiej późno niż wcale. Choć to z całą pewnością nie koniec. Może już czas, by opuścić tę zdegenerowaną koalicję?

Dorota Łosiewicz



Fot. Archiwum autora

Mołdawia

Krok do zjednoczenia

Port w mołdawskim mieście Giurgiuleşti został przejęty przez Rumunię. Jego nowym właścicielem stał się kompleks portowy z Konstancy, który odkupił udziały od Europejskiego Banku Rekonstrukcji i Rozwoju. Prorosyjska opozycja w Mołdawii uznaje to za pierwszy krok na drodze do zjednoczenia ich kraju z Rumunią.

Morsko-rzeczny port w Giurgiuleşti, położony w odległości 138 km od Morza Czarnego, w miejscu, w którym Prut wpada do Dunaju, jest jedynym oknem na świat Mołdawii i do tej pory przechodziło przezeń 70 proc. eksportu tego kraju. Transakcję można postrzegać w kontekście niedawnej wypowiedzi prezydent Mai Sandu, która poparła pogłębienie integracji gospodarczej z Rumunią i zapowiedziała „wspólne projekty infrastrukturalne i w energetyce".

Kilkanaście dni temu poinformowano też o przekształceniu koncernu Moldelektrika, głównego dostawcy energii elektrycznej w kraju, w spółkę akcyjną, co ma być wstępem do restrukturyzacji, a niewykluczone, że także prywatyzacji firmy. Podobny los czeka mołdawskie koleje, bo jak poinformował Roman Kożuchar, stojący na czele Agencji Własności Publicznej, organu zarządzającego podmiotami państwowymi, podległa mu struktura rozpoczęła właśnie „ocenę efektywności ekonomicznej" mołdawskich połączeń kolejowych. Wydzielono przewozy pasażerskie i towarowe, tworząc z nich osobne spółki. Obecnie trwa wycena aktywów, a docelowo podmiot ten ma zostać sprywatyzowany.

Prorosyjska opozycja uważa, iż rząd rozpoczął „wyprzedaż" kraju, a jedynymi, którzy na tym skorzystają, będą Rumuni.



Obawy opozycyjnych socjalistów pośrednio potwierdził rumuński minister infrastruktury, który po transakcji nabycia udziałów w spółce portowej powiedział, że w obecnych realiach geopolitycznych „Rumunia będzie odgrywać aktywną rolą w rozwijaniu strategicznej infrastruktury w swoim bezpośrednim sąsiedztwie".

Kilka tygodni temu prezydent Sandu powiedziała dziennikarzom, że osobiście jest zwolennikiem unifikacji państwowej Rumunii i Mołdawii, choć jak zaznaczyła, jest to jej prywatne zdanie. Podobne stanowiska prezentowali też członkowie rządu, co skłania wielu komentatorów do postawienia tezy, iż proces unifikacji gospodarek Mołdawii i Rumunii już się rozpoczął i może być wstępem do zjednoczenia obu państw.

Marek Budzisz



Norwegia

Rozczarowanie monarchią

Gdy 4 lutego ruszył w Oslo proces Mariusa Borga Høiby'ego, nie mógł on liczyć na wsparcie ze strony najbliższych krewnych. Na sali nie było jego matki, księżnej Mette-Marit, ani mężczyzny, którego poślubiła, gdy jej syn miał cztery lata – następcy tronu Norwegii księcia Haakona [oboje na fot.].

Høiby'emu postawiono w sumie 38 zarzutów. Jest on oskarżony m.in. o gwałt na czterech kobietach, napaść i groźby, przemoc domową, a także przestępstwa narkotykowe (w tym próbę przewiezienia 3,5 kg marihuany). Jeśli zostanie uznany za winnego, grozi mu ponad 10 lat więzienia.

Pałac Królewski utrzymuje, że Høiby nie jest członkiem rodziny królewskiej ani osobą publiczną. Tyle że do niedawna było zupełnie inaczej. Książę Haakon uważał go za swojego syna, a król Harald V – za wnuka. Na domiar złego do gwałtów miało dojść w oficjalnej rezydencji jego rodziców w królewskiej posiadłości Skaugum pod Oslo. „To największy skandal, jaki kiedykolwiek przydarzył się norweskiej rodzinie królewskiej" – podkreślił Niklas Kokkinn-Thoresen, redaktor naczelny magazynu „Se og Hør".

Po drodze wyszły jeszcze na jaw relacje, jakie księżna Mette-Marit utrzymywała z nieżyjącym już amerykańskim pedofilem i finansistą Jeffreyem Epsteinem. Poznała go już po tym, jak w 2008 r. został skazany za przestępstwa na tle seksualnym. Pałac Królewski potwierdził, że spędziła kilka dni w rezydencji Epsteina na Florydzie. W 2013 r. Mette-Marit napisała do niego: „Tęsknię za tobą, mój szalony przyjacielu". Takich czułych e-maili było więcej, jakoby ponad 1 tys.

Skandale wywołały poważny kryzys zaufania do monarchii. Poparcie dla niej spadło do historycznie niskiego poziomu 54 proc. w porównaniu do ponad 70 proc. w 2024 r. Prawie połowa społeczeństwa uważa, że Mette-Marit nie powinna zostać królową, gdy Haakon wstąpi na tron.

Na domiar złego były premier Norwegii Thorbjørn Jagland trafił podobno do szpitala po próbie samobójczej kilka dni po tym, gdy oskarżono go o rażącą korupcję związaną z relacjami biznesowymi, jakie utrzymywał z Epsteinem. Jego stan jest ponoć poważny.

Dzień przed rozpoczęciem procesu Mariusa Høiby'ego norweski parlament zdecydowaną większością głosów odrzucił wniosek o zniesienie monarchii i wprowadzenie republiki. Jednak ustrój republikański zyskuje zwolenników, zwłaszcza wśród młodych wyborców i mieszkańców dużych miast. A ostatnie wydarzenia zostawią zapewne w umysłach Norwegów głęboki ślad.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl 1c01a90050

Ciemne oblicze rajskiej wyspy

Fidżi

Fidżi, wyspa na Pacyfiku znana z ekskluzywnych kurortów, czystych wód i białych piaszczystych plaż, ma obecnie jeden z najszybciej rosnących wskaźników zakażeń HIV na świecie – donosi „The Washington Post". Przyczyną są narkotyki.

W 2024 r. w kraju liczącym mniej niż 1 mln mieszkańców odnotowano blisko 1,6 tys. nowych zakażeń HIV – najwięcej w historii Fidżi i o 500 proc. więcej niż w 2018 r. Według szacunków ONZ i miejscowego resortu zdrowia w tym roku liczba ta wzrośnie do ponad 3 tys. Rzeczywista liczba zakażonych jest prawdopodobnie dwukrotnie większa, ponieważ wielu mieszkańców nie zostało jeszcze przebadanych. Większość przypadków odnotowano wśród młodych ludzi w wieku 15–34 lata. Zakażenie jest też często przenoszone na dzieci przez młode matki.

Zdaniem ekspertów Fidżi stanowi najbardziej jaskrawy przykład zjawiska, które rozprzestrzenia się w całym regionie Pacyfiku i jest widoczne również na Samoa, Tonga i Wyspach Salomona. Rosnąca liczba zakażeń HIV to skutek przemytu narkotyków, przede wszystkim metamfetaminy.

Metamfetamina pojawiła się na Fidżi kilka lat przed pandemią koronawirusa. Początkowo był to narkotyk imprezowy dla turystów i zamożnych mieszkańców wyspy. Używki pochodziły z przesyłek tranzytowych do Australii i Nowej Zelandii, gdzie handel metamfetaminą jest wyjątkowo lukratywny – jej cena pozostaje bowiem 18 razy wyższa niż w Stanach Zjednoczonych. Gdy wybuch pandemii wstrzymał napływ turystów, miejscowi dilerzy zaczęli oferować ją po przystępnej cenie miejscowej ludności. Narkotyków było tak dużo, że sięgali po nie nawet najubożsi. Kartele natychmiast zwietrzyły interes i włączyły wyspy na Pacyfiku do swojej „sieci sprzedaży".

Bezpośrednim skutkiem rozpowszechnienia narkomanii stała się rosnąca liczba zakażeń HIV. W odróżnieniu od większości państw zachodnich, metamfetaminę zażywa się na Fidżi dożylnie. W społeczności, w której pojedynczy papieros często jest dzielony między grupę palaczy, a tradycyjny napój psychoaktywny – kavę – podaje się w jednym kubku, kilka osób używało najczęściej jednej igły. Wystarczyło więc, że jedna z nich była zarażona.

W ciągu paru lat sytuacja wymknęła się spod kontroli i rok temu rząd Fidżi musiał ogłosić stan epidemii HIV na wyspie. Tymczasem narkotyki wciąż napływają. W styczniu udaremniono przemyt 2 t kokainy. Problem jest tym poważniejszy, że kartelom narkotykowym udało się przeciągnąć na swoją stronę wysokich rangą funkcjonariuszy policji. Dopóki ten układ mafijny nie zostanie zniszczony, powrót do normalności będzie niemożliwy.

Konrad Kołodziejski



Szwecja



Narciarstwo w stylu gender

Do ojczystej Szwecji z zimowych igrzysk olimpijskich we Włoszech powróciła bez medalu 24-letnia Elis Lundholm. Startowała w zawodach narciarstwa dowolnego razem z kobietami, choć sama uważa się za mężczyznę.

Lundholm nigdy nie poddała się medycznej procederze tranzycji, tzn. nie przeszła ani operacji chirurgicznej mastektomii i histerektomii, ani nie przyjmowała męskich hormonów. W świetle szwedzkiego prawa do oficjalnej zmiany płci wystarczyła jej osobista deklaracja, że czuje się mężczyzną. Mimo to na olimpijskich trasach wystąpiła w rywalizacji razem z kobietami. Gdy jednak komentatorzy sportowi NBC użyli wobec niej zaimka osobowego „ona", rozpętała się medialna burza. Pod naciskiem organizacji LGBT+ wspomniana stacja przeprosiła Lundholm za nazwanie jej kobietą i usunęła materiał ze swoich stron archiwalnych.

Sama zainteresowana podkreśliła, że Międzynarodowy Komitet Olimpijski wiedział, iż jest osobą transpłciową, a więc deklarującą się jako mężczyzna, a mimo to zezwolił jej na start w dyscyplinie żeńskiej. We Włoszech 24-latka odpadła w eliminacjach i nie awansowała do finału. Gdyby jednak zdecydowała się startować w konkurencji męskiej, w ogóle nie zakwalifikowałaby się na igrzyska i mogłaby oglądać je jedynie w telewizji.

To zresztą zastanawiająca prawidłowość: w środowiskach transpłciowych nie ma ani jednej sportsmenki identyfikującej się jako mężczyzna, która chciałaby rywalizować razem z panami. W odróżnieniu od nich jest natomiast wielu mężczyzn uważających się za kobiety, którzy z kolei dążą za wszelką cenę, by konkurować z paniami, wyzyskując swoją przewagę fizyczną.

Można by pomyśleć, że kategoria tożsamości płciowej jest konstrukcją sztuczną, umowną i stosowaną w zależności od korzyści i wygody. Lepiej jednak tak nie sądzić i nie mówić tego głośno, bo można zostać oskarżonym o transfobię i mowę nienawiści. Co prawda jeszcze nie w Polsce, ale w Szwecji jest to już możliwe.

Grzegorz Górny

eprasa.pl 1c01a90050

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Niemcy psują nam Europę



Jan Pietrzak

Z przykrością zwracam uwagę szanownym Europejczykom, że wszyscy – choć nie w równym stopniu – jesteśmy poszkodowani przez germańskie plemię żyjące między nami. Jego przedstawiciele nie potrafią zaakceptować standardów naszej cywilizacji. Od dawna mają ten problem. Nie chcą przyjąć do wiadomości, że można żyć w zgodzie i harmonii z sąsiadami. Oni muszą tu rządzić i już! Ten kompleks wyższości co pewien czas prowadzi ich do zguby, nie omijając sąsiadów, niestety.

Przeszło 100 lat temu zafundowali tu wojnę, zwaną pierwszą światową. Latami siedzieli w okopach i strzelali do Francuzów – w miarę, jak dostawali amunicję. Bardzo zachęcam do przypomnienia sztuki Jerzego Krzysztonia „Chłopcy spod Verdun", wystawionej po raz pierwszy na deskach Studenckiego Teatru Hybrydy, którym kierowałem. Był 1965 r. Reżyserował Mariusz Dmochowski. Akcja sztuki, która metaforycznie nawiązywała do Verdun, działa się w 1945 r. na polskich ziemiach zachodnich. Wracając z mojego teatru do historii autentycznej, należy dobitnie i często przypominać tępakom zza Odry, że przegrali tamtą wojnę! A Polska zwyciężyła, kończąc czas zbrodniczych zaborów!

Neurotycznym następstwem niemieckiej porażki było szaleństwo hitlerowskie, kolejna wojna (1939–1945) i następna klęska. Podaję w nawiasach lata, bo jakiś zakuty pruski łeb nie pamiętał. Czy oni potrafią zrozumieć swoją historię, wyciągnąć mądre wnioski? Czy znowu wciągną Europę do zbrodniczej awantury o swoje wyimaginowane przywództwo, niepotrzebne ani im, ani Europie?

Europejczycy to jedyna w swoim rodzaju gromada ok. 40 przeróżnych plemion, potrzebujących jedynie wolności i pokoju, by rozkwitać! Każdy na swoim kawałku gruntu. Podziwiając kulturową różnorodność, bajeczną historię, Partenon, Rzym św. Piotra... można wymieniać bez końca, ile piękna tu nagromadzono, ile niezwykłych mitów, olśniewających chrześcijańskich świątyń... O to wszystko trzeba dbać, kultywować! Przekazywać następnym pokoleniom. Temu ma służyć wspólnota europejska, do której tęskniliśmy, my Polacy, obalając sowieckie imperium zła.

Przez jakiś czas wydawało się to możliwie. Niestety Niemcy znowu się zabrali do „przywództwa" i wszystko nam spieprzą, zanim się opamiętają. Niesforna pamięć przywołuje przy tej okazji powiedzenie Churchilla o tym, że „Niemcy trzeba co 50 lat profilaktycznie bombardować bez podawania powodów". Traktujmy to zdanie jak brytyjski czarny humor. Mówiąc serio, potrzebujemy europejskiego domu opartego na platońskich filarach „piękna, dobra i prawdy", a nie na hitlerowskiej agresji, złodziejstwie i kłamstwie. Dotarło, zakute łby?

Zapraszam na spotkanie kabaretowe 15 marca, o godz. 17.00 w sali AMICUS na Żoliborzu. Kup Bilecik. Hasło: Jeszcze Polska nie zginęła! Odzew: Kiedy my żyjemy!

Powrót do rosyjskiej ruletki



Samuel Pereira

W dniu sejmowego exposé ani Donald Tusk, ani Radosław Sikorski nie przypadkiem skupili swoją negatywną uwagę na Stanach Zjednoczonych. „Nie możemy być frajerami!" – rzucił z mównicy szef MSZ, czytając swe słowa z kartki (wypowiedziane więc nieprzypadkowo), a podchwycił je publicznie premier – najpierw przekazując je w swoim wpisie na platformie X, a następnie publicznie przed kamerami. Te słowa miały się wbić do głów i nieść tak, by dotrzeć do wszystkich placówek w Polsce i dolecieć za Atlantyk. Dodatkowo zostały wzmocnione bardzo silnymi, podkreślającymi nieufność wobec USA porównaniami historycznymi. Niektórym umknęło uwadze, ale przed słowami o „frajerach" Sikorski zestawił dzisiejsze decyzje USA z „lekcją Jałty", przypominając, że gdy Roosevelt „chciał pozyskać pomoc Stalina do walki z Japonią", „amerykański interes narodowy zrealizowano", ale „my zapłaciliśmy cenę". Zasugerował wprost, że nie ma gwarancji, iż w obecnych czasach interes USA będzie „tożsamy z polskim", dlatego „nie możemy być frajerami".

To jest poziom jeszcze nie wrogi, ale jawnie antyamerykański. Powiem więcej: takie aluzje rzucane wobec Amerykanów to powrót do retoryki czasów resetu, gdy Tusk odrzucił budowę tarczy antyrakietowej i zrobił to w Dniu Niepodległości USA (!), jednocześnie kolportując rosyjską propagandę, że tarcza nie jest potrzebna Polsce, tylko... tylko Amerykanom. „Instalacja tarczy antyrakietowej w Polsce zwiększa przede wszystkim bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych. To rzecz ważna, także dla nas. To rzecz ważna dla całego świata, w sensie pozytywnym" – mówił Tusk w okresie ciężkiego resetu, a ja słucham jego prawej ręki (wicepremiera) dzisiaj i mam koszmarne déjà vu.

Poza tym ciekawe, że Sikorski zawsze tak się wściekał na historyczne aluzje prawicy wobec Rosji czy Niemiec, ale wobec USA (najważniejszego sojusznika z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa) pozwala sobie na chamskie wycieczki, i to w exposé, czyli skrzętnie przygotowywanym wystąpieniu, które trafia do wszystkich ambasadorów, a więc setek krajów na całym świecie. *Cui bono?* Bo na pewno nie Polski.

eprasa.pl 1c01a90050

(Nie)zawodna technologia a suwerenność



Marta Kaczyńska-Zielińska

Światowy Szczyt Rządów 2026 w Dubaju skupiający przedstawicieli 150 państw upłynął w atmosferze przeświadczenia o sprawczości nowoczesnych technologii, a w szczególności sztucznej inteligencji. Gospodarz zjazdu, Zjednoczone Emiraty Arabskie, podkreślił, że obecnie odbywa się największa transformacja w historii ludzkości. Napędzają ją cztery siły: sztuczna inteligencja, zaawansowana medycyna, nauki o mózgu oraz technologie cyfrowe. Warto zauważyć, że wyraźnie wskazano, iż zmiany klimatyczne, na które wciąż usilnie powołują się eurokraci, nie zostały już uznane za priorytetowy punkt odniesienia. W jednym z paneli pytano, czy technologia stała się nowym suwerennym aktywem. Szybko stało się jasne, że odpowiedź jest twierdząca.

To rządy państw z Bliskiego Wschodu, a nie prywatni inwestorzy napędzają boom na sztuczną inteligencję w regionie, a władze ścigają się o zapewnienie suwerenności cyfrowej i budowę lokalnej infrastruktury danych. W przeciwieństwie do USA, gdzie przewodzą firmy prywatne, kraje Zatoki Perskiej wykorzystują państwowe fundusze i strategie narodowe, aby ukierunkować rozwój AI na cele długoterminowe. Arabia Saudyjska planuje założyć 300 start-upów zajmujących się sztuczną inteligencją i pozyskać do 2030 r. 20 mld dol. inwestycji związanych z tą dziedziną. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich istnieje wspierana przez rząd platforma, której celem jest przyspieszenie rozwoju i komercjalizacji sztucznej inteligencji. Zdaniem lokalnych ekspertów przechowywanie danych (centra danych) i niezależność technologiczna to priorytety związane z bezpieczeństwem narodowym.

W obliczu obserwowanego wyścigu w rozwoju AI trzeba odnotować, że sztuczna inteligencja stała się jedną z przełomowych technologii we współczesnej polityce obronnej i strategii wojskowej. Jej znaczenie podkreślił niedawno prezydent Karol Nawrocki podczas odprawy kierowniczej kadry MON i Sił Zbrojnych RP. AI nie pozostaje jedynie w laboratoriach badawczych – obecnie jest zintegrowana z systemami wywiadowczymi, planowaniem operacyjnym, cyberbezpieczeństwem, logistyką, a także z platformami autonomicznymi. Jej znaczenie strategiczne wynika ze zdolności do przyspieszania procesów decyzyjnych, przetwarzania ogromnych ilości danych oraz zwiększania precyzji działań we wszystkich domenach prowadzenia operacji zbrojnych. Jednym z najbardziej rozwiniętych obszarów zastosowania sztucznej inteligencji w obronności są wywiad, rozpoznanie i obserwacja. Współczesne siły zbrojne gromadzą ogromne ilości danych z satelitów, dronów, systemów radarowych oraz przechwyconej łączności elektronicznej. Systemy bazujące na uczeniu maszynowym i analizie obrazu potrafią w czasie rzeczywistym analizować zdjęcia satelitarne, identyfikować sprzęt wojskowy, wykrywać nietypowe ruchy wojsk oraz sygnalizować pojawiające się zagrożenia. Skraca to cykl wywiadowczy i wzmacnia świadomość sytuacyjną. Podczas konfliktu o wysokiej intensywności, gdy o wyniku operacji mogą decydować sekundy, AI zwiększa szybkość i jakość oceny zagrożeń.

Bezzałogowe statki powietrzne, bezzałogowe pojazdy lądowe oraz autonomiczne jednostki morskie coraz częściej wykorzystują sztuczną inteligencję do nawigacji, rozpoznawania celów i realizacji misji. Amunicja krążąca oraz roje dronów pokazują, jak AI może wielokrotnie zwiększyć zdolności bojowe przy relatywnie niskich kosztach. Znaczenie sztucznej inteligencji rośnie w systemach obrony przeciwrakietowej i w przestrzeni kosmicznej. Zaawansowane algorytmy pozwalają śledzić trajektorie rakiet balistycznych i hipersonicznych oraz wzmacniać systemy wczesnego ostrzegania.

Wraz ze wzrostem rywalizacji między państwami sztuczna inteligencja staje się kluczowym elementem zarówno bezpieczeństwa, jak i odstraszania. Błędy algorytmiczne lub stronniczość danych mogą jednak prowadzić do błędnej identyfikacji celów. Wysoki poziom automatyzacji może przyspieszać dynamikę eskalacji poprzez skrócenie czasu na ludzką refleksję, ponadto systemy AI pozostają podatne na różnego rodzaju ataki adwersarialne, których aktualnie nie da się całkowicie wyeliminować.

REKLAMA



22/0226/F

eprasa.pl 1c01a90050



Walizka Michała Łopacińskiego

dziennikarza sportowego CANAL+



Dziennikarzem zostałem trochę przez przypadek. Wszystko się zaczęło, gdy po maturze, nie dostawszy się do szkoły teatralnej, spontanicznie przekroczyłem próg Radia Kampus. Dalej było rozwijanie swojej pasji – zarówno do samych mediów, jak i do sportu – oraz zaspokajanie ciekawości świata. W tym samym czasie studiowałem socjologię, co okazało się doskonałym połączeniem – nauczyłem się czytać i zadawać pytania. A gdy połączymy tę opowieść z tym, że lubię, kiedy cały czas coś się dzieje, okaże się, że wykonuję zawód idealny. Co tydzień inne miejsce, codziennie inni ludzie, nowe tematy. Na co dzień jestem dziennikarzem sportowym Canal+. Zajmuję się przede wszystkim żużlem, ale nie tylko. W tygodniu można mnie usłyszeć w Radiu Warszawa, a w środy moderuję program „Ksiądz Boguś Wyjaśnia" w SalveNet. To naprawdę wspaniały i dynamiczny styl życia, choć wymaga dużo cierpliwości... mojej żony. Gdyby nie jej wyrozumiałość i wsparcie, sprawy mogłyby się potoczyć inaczej. Zwłaszcza przy czwórce wspaniałych dzieci. Nie oszukujmy się – są wzloty i upadki, ale przecież na koniec dnia to nic wyjątkowego. To jest życie, to jest ta podróż – dosłownie i w przenośni.

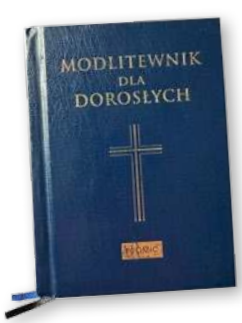




KALENDARZ

Najlepiej z widokiem całego tygodnia na dwóch stronach. Przy czwórce dzieci i częstych podróżach służbowych to podstawa. Mimo że istnieją elektroniczne udogodnienia, co na papierze, to na papierze.





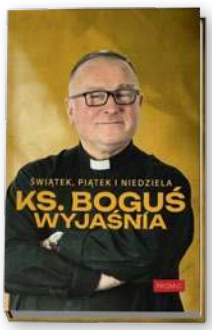
MODLITEWNIK

Wsparcie w każdej chwili i w każdej sytuacji. Niezbędny towarzysz, zwłaszcza podczas dłuższych wyjazdów.

Fot. Michał Korsun, archiwum Michała Łopacińskiego, Shutterstock, materiały prasowe Kawasaki

eprasa.pl 1c01a90050





KSIĄŻKI

Te papierowe najlepsze, choć posiadam też czytnik. Wachlarz gatunków? Bardzo szeroki. W zasadzie omijam tylko romanse. Polecam „Świątek, piątek i niedziela. Ks. Boguś wyjaśnia", który jest dowcipnym poradnikiem odpowiadającym na pytania dręczące niejednego katolika. „Zaskakujące, trafiające w samo sedno problemów, czasem będące przyczynkiem do opowiedzenia rozmaitych historii".



PIÓRNIK

Moje guilty pleasure. Uwielbiam pisać ręcznie, zwłaszcza piórem! Ale trzeba też szczerze przyznać – połączenie gadżeciarstwa i artykułów piśmienniczych kończy się właśnie w ten sposób.



DZIESIĄTKA RÓŻAŃCA

Tutaj sprawa jest jasna. Oczywiście nie jest po to, żeby ładnie wyglądał, bo dość często z nadgarstka ląduje w dłoni.



SCYZORYK

Odziedziczony po moim śp. Tacie. Scyzoryk ma swoje miejsce w plecaku i kilka razy się przydał.



SZTUĆCE TURYSTYCZNE

Tutaj znowu daje znać o sobie pierwiastek gadżeciarza, ale podczas kilku wyjazdów służbowych spełniły swoje zdanie.



SŁUCHAWKI DUŻE

Narzędzie pracy zarówno w radiu, jak i podczas montażu materiałów telewizyjnych. Wygodne, dobrze wygłuszają otoczenie – doskonałe do pracy z dźwiękiem.



SŁUCHAWKI MAŁE

Przydatne w podróży, podczas wszelkiego rodzaju łączeń i dłuższych rozmów online.



TORBA Z WĘDKAMI

Rekreacyjne zarzucanie wędki wraz z dziećmi okazało się fantastycznym zajęciem podczas wakacji. Chociaż gdyby było więcej czasu, to motocykl miałby konkurencję!



KASK I RĘKAWICZKI MOTO

Hobby przez duże „H". Choć na poważne wyprawy umawiam się już od kilku lat i jak zwykle „coś" staje na przeszkodzie, to wspaniale jest móc łączyć przyjemne z pożytecznym, dzięki czemu podróż do pracy i z pracy staje się relaksująca i przyjemna. A do tego motocykl to wspaniały pogromca korków!





MAŁA LATARKA

Podobnie jak sztućce i scyzoryk „zawsze się przyda". O dziwo, już się przydała, i to nie tylko na rybach!

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

eprasa.pl 1c01a90050



Panie Sikorski, ale to wy rządzicie...

W ubiegłym tygodniu w Sejmie odbyło się coroczne exposé ministra spraw zagranicznych. Teoretycznie dla polskiej polityki zagranicznej jest to jeden z najważniejszych momentów w roku – chwila, w której opinia publiczna, politycy i partnerzy z zagranicy powinni usłyszeć, jakie są długofalowe cele polskiej dyplomacji, gdzie Polska chce być za 5, 10 czy 15 lat i jak zamierza poruszać się w coraz bardziej niestabilnym świecie.

Niestety po raz kolejny zamiast strategicznej wizji usłyszeliśmy przede wszystkim polityczną publicystykę i straszenie opozycją. Sikorski znów postanowił zbudować swoje wystąpienie na dobrze już znanym schemacie: zamiast opowiadać o przyszłości, opowiadał o PiS. Tyle tylko, że to nie my dziś rządzimy.

Było oczywiście wyciąganie straszaka w postaci rzekomego polexitu. Problem w tym, że takiego tematu w polskiej debacie po prostu nie ma. Nikt poważny nie mówi o wyjściu z Unii Europejskiej. Nasz obóz polityczny chce Unię reformować, a nie opuszczać. Nasze członkostwo w UE widzimy po prostu inaczej niż przytakiwanie niemieckim interesom.

Sikorski mówił także o pogorszonych relacjach z USA. Tyle że te relacje nie popsuły się same. My potrafiliśmy utrzymywać dobre stosunki z każdą amerykańską administracją. Oczywiście ideowo bliżej nam do republikanów, ale strategiczny sojusz z USA zawsze był traktowany poważnie.

Dziś za napięcia odpowiadają działania obecnej władzy: polityczne strzelanie Tuska w plecy Donalda Trumpa, infantylne wpisy Sikorskiego w mediach społecznościowych czy utrzymywanie w Waszyngtonie neoambasadora, który pozwala sobie na publiczne obrażanie przywódcy kraju, do którego został wysłany.

Jeszcze bardziej zaskakuje to, o czym minister nie powiedział ani słowa. W exposé nie było właściwie żadnej refleksji na temat reparacji wojennych ani propozycji przedstawionej przez prezydenta Karola Nawrockiego prezydentowi Frankowi-Walterowi Steinmeierowi podczas wizyty w Berlinie. A przecież nierozliczone skutki II wojny światowej ciążą na relacjach polsko-niemieckich. Udawanie, że temat nie istnieje, nie rozwiązuje problemu. Przeciwnie – prowadzi do pogłębiania niechęci między naszymi państwami i oddala moment, w którym możliwe będzie prawdziwe, uczciwe polsko-niemieckie dobre sąsiedztwo. A bez rozliczenia się przez Niemcy z II wojny światowej do tego nie dojdzie.

Tak dziś wygląda obraz polskiej dyplomacji. Zamiast poważnej rozmowy o miejscu Polski w świecie – polityczny spektakl. A wszystko to dzieje się w obecności ambasadorów z całego świata, którzy obserwują naszą debatę z galerii sejmowej.

Pytanie brzmi: jaką notatkę po takim wystąpieniu wyślą do swoich stolic? Jeśli zobaczą przede wszystkim chaos i brak strategicznej wizji, wniosek będzie jeden: Polska sprawia wrażenie państwa słabego. To zaś wyrządza bardzo dużą szkodę naszemu krajowi.

Arkadiusz Mularczyk



Naturalne wyczucie sytuacji

Z aktorką Walerią Gorobets rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czy kobiety mają więcej atutów, by zostać skutecznymi szpiegami?

Waleria Gorobets: Kobietom może to ułatwiać pewien rodzaj wrażliwości, naturalnego wyczucia sytuacji, umiejętność wejścia w czyjąś skórę. Mamy większą empatię, w związku z czym możemy łatwiej ocenić, czego potrzebujemy, by dobrze odegrać jakąś rolę, stworzyć korzystną relację.

Taka jest też pani bohaterka?

Zuza, którą poznajemy w nowym serialu TVP „Wojna zastępcza", na początku lat 90. (wtedy rozgrywa się akcja) trafia na szkolenie szpiegowskie. Spotyka na nim Artura (Mateusz Więcławek), Budynia (Piotr Witkowski) i Gutka (Karol Bernacki). Podobnie jak ona nie są typowymi agentami, ale każde z nich ma cenne dla szpiegowskiej profesji umiejętności i cechy.

W historii było kilka słynnych kobiet szpiegów. Pojawiały się też na ekranie. Które z nich okazały się najbardziej inspirujące?

Uwielbiam Jennifer Lawrence w „Czerwonej jaskółce", ale mogłabym wymienić parę innych postaci i aktorek. Choćby Angelinę Jolie w „Salt", Charlize Theron z „Atomic Blonde" czy ostatnio Morgane Polanski jako Krystynę Skarbek. Przy czym moja Zuza – scenariuszowo – jest zupełnie inna niż znane z ekranów postaci kobiet szpiegów. Jest chłopczycą, bliżej jej do męskiego świata i męskiej energii. Z czasem dowiemy się, skąd to się u niej wzięło. I w jakim stopniu okazało się przydatne w ekscytującej, lecz także niebezpiecznej grze. Gorąco zachęcam do oglądania naszego serialu. Już od 8 marca.

Fot. David Olczak

eprasa.pl 1c01a90050

TRENDY I OWĘDY

Obróbka umysłowa



Ryszard Makowski

To, co się u nas dzieje, można roboczo nazwać okupacją medialną. Dominują kołchoźniki jedności przekazu, sprawnie formatując światopogląd sporej części społeczeństwa. Dlaczego PiS, rządząc przez dwie kadencje, mając sondażowe poparcie, nie zrobiło porządku na rynku mediów? Dlaczego zgadzało się, żeby funkcjonowały media wrogie naszemu państwu? A co najgorsze, teraz, kiedy powinien nastąpić czas wyciągnięcia wniosków i rozliczenia, na Nowogrodzkiej zapadła cisza.

Media publiczne zostały brutalnie zawłaszczone i nadają pod wstydliwie ukrywanym szyldem „w likwidacji". „Tu Polskie Radio" zgodnie z prawem powinno brzmieć: „Tu Polskie Radio w likwidacji". Logo „TVP1" powinno mieć dodany napis: „W likwidacji". Dziwne, że politycy PiS chętnie biorą udział w programach tych stacji. Sensu to nie ma. Nie przekonają do swoich racji nielicznych słuchaczy i widzów, a tylko legitymizują bezprawie.

Gdy za czasów PiS media publiczne zostały dofinansowane z budżetu kwotą 2 mld zł, rozpętano nagonkę, że te pieniądze powinny pójść na onkologię dziecięcą. Dzisiaj, gdy służba zdrowia znajduje się na granicy zapaści, TVP dostaje 3 mld zł i nie ma problemu.

Problem mają natomiast media, które są po stronie prawdy. Muszą urządzać zbiórki, żeby móc działać. Domy mediowe rozdzielające reklamy wiedzą, gdzie należy je umieścić. Oczywiście istnieje internet, ale tam zwolennicy prawicy muszą się potykać z zawodowymi trollami zorganizowanymi wokół różnych stajni. Jeżeli PiS poważnie myśli o powrocie do władzy, to niech przedstawi koncepcję naprawy mediów, tak by skończyła się obróbka umysłowa Polaków.

ZDJĘCIE TYGODNIA

W Krakowie odsłonięto świecący mural Marii Skłodowskiej-Curie



Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU: KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY: REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR x2, SHUTTERSTOCK/BLUEMOON 1981, SOPOTNICKI, RAWPIXEL.COM

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	366 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 1c01a90050

Ile kosztuje prawda?

Wiele razy zdarzyło się, że natrafialiśmy na aferę, którą w interesie społecznym należało nagłośnić, ale nie udało nam się zdobyć na tyle mocnych dowodów, żeby ją upublicznić. Jak choćby w przypadku bardzo ważnego polityka, jednego z liderów jednej z partii, który defraudował pieniądze pewnego związku



Z Anitą Gargas, dziennikarką śledczą, autorką „Magazynu Anity Gargas", rozmawia Jerzy Szmit

Z wykształcenia jest pani matematykiem. Dlaczego wciągnęło panią dziennikarstwo?

Anita Gargas: Zostałam dziennikarką, bo otaczająca mnie rzeczywistość była ciekawsza niż matematyczne abstrakty, zasługiwała na opisanie. Miałam to szczęście, że obserwowałam proces transformacji ustrojowej od początku. Po raz pierwszy chwyciłam za pióro jeszcze w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów, wydając podziemne pismo „Bez Retuszu". Kiedy nastąpiły przemiany, matematyka zeszła na dalszy plan. Ówczesna rzeczywistość nie dawała spokoju przyzwoitemu człowiekowi. Wiadomo, jakie nieprawidłowości zachodziły na przełomie lat 80. i 90. W jak bezczelny sposób uwłaszczyła się nomenklatura partyjna. To wszystko było warte dziennikarskiego zapału.

I zaczęła się jazda: najtrudniejsze tematy, walka z wielkimi tego świata, którzy łamią prawo czy nadużywają władzy. Do dzisiaj pani nie zwolniła. Tak już będzie zawsze?

Mam nadzieję, że w końcu będę mogła się zająć jakimiś przyjemnymi tematami, np. filmami dokumentującymi naszą przepiękną historię. To moja druga pasja poza dziennikarstwem śledczym. Myślę, że kiedyś afery przestaną dominować w naszym życiu publicznym, choć w najbliższym czasie się na to nie zanosi – wiemy, kto nami rządzi i jak to robi.

No i historie z początku lat 90. XX w. nadal wpływają na współczesność.

To prawda. Doszło wtedy do największej afery finansowej, czyli wyprowadzania gigantycznych środków państwa za pośrednictwem Funduszu Obsługi Zadłużenia Zagranicznego, czyli FOZZ. To matka wszystkich afer, źródło fortun i układów gospodarczo-polityczno-medialnych, budowanych na tej właśnie kasie, skradzionej wszystkim Polakom. Te układy funkcjonują do dziś i mają ogromny negatywny wpływ na sytuację w naszym kraju. Nie można przestać opisywać tych wszystkich afer, złodziejstwa, łapówkarstwa, kolesiostwa na różnych szczeblach władzy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1c01a90050

Pani dziennikarstwo to nie tylko walka z aferami.

Tak – to jeszcze walka z procesem, który też zaczął się na początku lat 90., polegającym na budowaniu w Polakach wszelkich kompleksów, łamaniu patriotyzmu. Wmawiano nam, że jesteśmy narodem gorszym, rozpijaczonym, antysemickim, pełnym nieudaczników, którzy wciąż muszą sięgać po pomoc sąsiadów. Odzierano nas z dumy. A jesteśmy wspaniałym narodem, który ma wielkie sukcesy oraz jest ponadprzeciętnie pracowity, inteligentny i zdolny. Wiele wynalazków wykorzystywanych na świecie zostało wymyślonych przez Polaków. Doprowadzono do tego, że Polak za granicą wstydził się mówić po polsku, wypierał się swojej polskości. Jestem dziennikarką, bo swoimi filmami chcę budować poczucie dumy z bycia Polakiem. To są dwa motory mojego działania.

Przychodzi do pani wiele osób z różnymi sprawami. Weryfikacja tych informacji to żmudny i trudny proces.

Zawsze weryfikujemy sygnały od widzów. Ale w dziennikarstwie śledczym źródła informacji nie leżą w zasięgu ręki. Trzeba naprawdę długo pracować, aby dotrzeć do dokumentów czy świadków. Inną sprawą jest przekonanie tych świadków, aby zdecydowali się dać świadectwo w programie. Weryfikacja informacji i docieranie do rozmówców często trwają wiele miesięcy, nie bez powodu dziennikarstwo śledcze jest tak drogie. Dlatego niewiele redakcji decyduje się, aby w nich funkcjonowało. Wiele razy zdarzyło mi się, że natrafialiśmy na aferę, którą w interesie społecznym należało nagłośnić, ale nie udało nam się zdobyć na tyle mocnych dowodów, żeby ją upublicznić.

Jakiś przykład?

Bardzo ważny polityk, jeden z liderów jednej z partii, defraudował pieniądze pewnego związku. Niestety nie udało nam się zebrać kompletu informacji, chociaż mieliśmy bardzo wiele relacji niezależnych od siebie świadków. Ale byli oni tak zastraszeni, że nie zgodzili się ani na wystąpienie przed kamerą, ani na złożenie stosownych oświadczeń, mimo iż wszystko wyczerpująco nam opowiedzieli. Wobec tego nie mieliśmy dowodów, żeby skutecznie wybronić się w razie potencjalnego procesu. Przy tego rodzaju materiałach można się spodziewać, że po emisji czarni bohaterowie wystąpią do sądu. To jest automat.

Wielokrotnie stawała pani przed sądem, ale wychodziła pani z tych sytuacji obronną ręką.

Nie zawsze. Niektóre procesy trwają np. osiem lat i jeszcze się nie zakończyły. Nasi czarni bohaterowie realizują określony schemat: „wystąpię na konferencji prasowej, powiem, że cały ten reportaż był nierzetelny, że to wszystko jest wyssane z palca i oddam sprawę do sądu. W sądzie różnie może być, a kto za parę lat będzie pamiętał, o co chodziło? Wystarczy, że obrzucę dziennikarza pomyjami, że jest nierzetelny, a media to powielą". A w sądzie różnie bywa. W Polsce prawo nie jest precedensowe. Każdy sędzia ma swobodę w interpretacji materiału dowodowego. Dlatego musimy mieć dowody nie na 100, ale na 200 proc., aby żaden sąd nie miał wątpliwości, iż mieliśmy rację, przedstawiając fakty. Wiele razy musieliśmy odstąpić od publikacji materiału, licząc na to, iż po jakimś czasie uda się uzupełnić dowody. Trzeba też brać pod uwagę, że są ludzie, którzy rękami dziennikarzy próbują załatwiać swoje porachunki. Zawsze trzeba sprawdzać, czy nie jest się czyimś narzędziem.

Wielokrotnie była pani nagradzana za swoją pracę. To dowodzi profesjonalizmu i wagi tematów, które pani podejmuje.

Bardzo dziękuję. Nagrody są potwierdzeniem, że praca całego naszego zespołu służy interesowi publicznemu. To jest misja, a nie zabawa. W dodatku bardzo niewdzięczna, więc jeśli ktoś to docenia, możemy tylko podziękować.

> Jesteśmy państwem frontowym. W takim państwie obce służby specjalne działają ze zdwojoną siła. Niestety, obecny rząd uważa, że jesteśmy zieloną wyspą. Poza drobnymi przypadkami przyłapania kogoś na działaniach szpiegowskich nie mamy żadnych sukcesów w rozpracowaniu poważnych grup czy siatek

Pani programy są nastawione na naprawianie rzeczywistości. Na ile to się udaje?

Razem z towarzyszącymi dziennikarzami zrealizowaliśmy w różnych telewizjach kilkaset, jeśli nie tysiąc reportaży. W każdym opisywaliśmy los jakiegoś człowieka. W bardzo wielu przypadkach udało się doprowadzić do tego, że organy rządu czy samorządu wypełniły swoje obowiązki. Wielokrotnie zwracaliśmy uwagę na problemy, które próbowano zamieść pod dywan i dzięki nam się to nie udało. Wiele osób bardzo nam dziękowało. Taka reakcja zawsze dodaje dziennikarzowi skrzydeł.

Ogromną pracę wykonała pani w celu wyjaśnienia tego, co określamy terminem „Smoleńsk, 10 kwietnia 2010". Są ludzie mówiący otwarcie, że to był zamach. Samoloty nie rozpadają się na 60 tys. kawałków po uderzeniu w ziemię. Czy widzi pani szanse na oficjalne wyjaśnienie tego, co się stało?

Zawsze jest szansa. To zależy od tego, jakie zmiany nastąpią w Rosji. Kiedy doszedł tam do władzy Jelcyn, znalazły się dokumenty dotyczące Katynia i można je było studiować. Zostało w nich potwierdzone to, co utrzymywały rodziny ofiar katyńskich – że to był mord Sowietów na polskich oficerach. Wracając do 10 kwietnia – ta data symbolizuje coś podwójnie przerażającego. Przede wszystkim dlatego, że w Smoleńsku ponieśli śmierć prezydent, jego żona, ministrowie, parlamentarzyści, dowódcy wojska. Ale przerażające jest także zachowanie naszego rządu i to, że udało

eprasa.pl 1c01a90050

się zamknąć usta 38-milionowemu narodowi. Większość Polaków uznała, iż nie trzeba dociekać prawdy w sprawie okoliczności śmierci głowy państwa, można oddać śledztwo Rosjanom, i to mimo że okoliczności od początku wskazywały na możliwość zamachu. Premier – nawet jeśli uznać, że to była katastrofa – nie komunikował się ze społeczeństwem. Przez wiele dni straszono nas, że nie możemy zadzierać z Putinem, powinniśmy siedzieć cicho w imię budowania przyjacielskich relacji z Rosją. Wmawiano nam, że parę milionów złotych, które wydawano na to śledztwo, to zbyt wielki wydatek. A przecież na wyjaśnienie tej sprawy powinny pójść wszystkie niezbędne pieniądze, nawet gdyby miało to dużo kosztować. Na potrzeby śledztwa i badania katastrofy powinny zostać wykorzystane wszelkie zasoby służb specjalnych. Wszystkie siły dyplomatyczne powinny zostać uruchomione, aby poruszyć i zainteresować świat. Wszyscy prawnicy nie powinni spać, tylko od rana do nocy szukać sposobów na zmuszenie Rosjan do wydania wszelkich dowodów. I tak dalej, i tak dalej. Była martwota, bezczynność i wmawianie polskiemu społeczeństwu, że wszystko jest w porządku. Dla mnie przerażające jest to, że Polacy dali się na to nabrać i poza krótkim momentem, kiedy sobie przypomniano, że prezydent był wspaniałą postacią i naprawdę szczerze obchodzono żałobę, szybko wrócono w stare koleiny obrażania, szydzenia, przemysłu pogardy wobec prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Proszę spojrzeć, w jakim kontraście pozostaje tu postawa Holendrów po zestrzeleniu przez Rosjan nad Ukrainą samolotu MH-17. W jaki sposób ich rząd pokazywał determinację, że nie odpuści. I dopiął swego. Ten mały kraj nie bał się konsekwencji starcia z Moskwą.

Często porusza pani tematy ingerowania tajnych służb – i polskich, i obcych – w nasze życie publiczne. Jak ograniczyć te ingerencje?

Jesteśmy państwem frontowym. W takim kraju obce służby specjalne, agentura działają ze zdwojoną siłą. Niestety obecny rząd uważa, że pozostajemy zieloną wyspą. Poza drobnymi przypadkami przyłapania kogoś na działaniach szpiegowskich nie mamy żadnych sukcesów w rozpracowaniu poważnych grup czy siatek. Czy mamy uwierzyć, że rosyjscy agenci byli ulokowani na najwyższych szczeblach władzy Wielkiej Brytanii, we Francji, USA, a w Polsce wszyscy są odporni na działania, wpływy czy pieniądze, które płyną z Rosji? Podobnie na wpływy i pieniądze płynące z Niemiec? Mamy uwierzyć, że ich działania są w Polsce zupełnie nieskuteczne? Niestety są skuteczne i zadziwiające pozostaje to, że nie potrafimy odkryć mechanizmów tych działań i nazwać ich po imieniu. To jest strach – mamy słabych szefów służb, którzy boją się podjąć jakiekolwiek śmiałe działania w tym zakresie. Jednocześnie haniebne jest, że polskie służby ingerują w przebieg kampanii wyborczej. Służby wymagają głębokiej reformy i odważnych szefów, a nie zajętych głównie zdobyciem gwiazdek generalskich.

Premier Tusk zgadza się na współpracę polskich służb z FSB – to już wskazanie kierunku politycznego.

Tak, sprawa smoleńska i sprawa agentury splatają się. Reset ma swoje konsekwencje. Po 10 kwietnia 2010 r. Donald Tusk nie zabierał głosu publicznie przez kilkanaście dni i nie komunikował się ze społeczeństwem. W tym czasie ustawiał do pionu swoich ministrów, którzy byli już gotowi ogłaszać, że Rosjanie są jednak winni pewnych zaniechań i błędów. „Prawdziwe źródło niepokoju w Polsce to jest: czy to zrobili Rosjanie? To są te najgroźniejsze spekulacje" – mówił Tusk na naradzie w KPRM. I dla jego ludzi wszystko było jasne. Rosjanie nie ponoszą żadnej winy za śmierć naszej elity. Przedstawiciel przy MAK był sparaliżowany, nasi prokuratorzy byli sparaliżowani, badający katastrofę byli sparaliżowani, a ministrowie dbali o tuszowanie dowodów w sprawie. To było pokłosie słów Tuska i tej narady.

Postanowiła pani podjąć współpracę z najszybciej rozwijającą się telewizją – wPolsce 24. Co panią do tego skłoniło?

„Magazyn Anity Gargas" utrzymuje własny kanał w internecie, który ma wielomilionowe odsłony w miesiącu. Znaleźliśmy się w TOP 10 kanałów publicystyczno-dziennikarskich, jeśli chodzi o zeszły rok. Teraz chcemy dotrzeć do tych widzów konserwatywnych, którzy oglądają telewizję i nie korzystają z internetu. Bardzo się cieszę, że podejmujemy współpracę akurat z telewizją wPolsce24, którą bardzo cenię. Dopiero się ona rozwija, ma ogromny potencjał i właśnie rozwijającą się stację chcę wesprzeć.

Z czym kojarzy się pani słowo „odwaga"?

Z „Inką". Z innymi żołnierzami wyklętymi, którzy walczyli w podziemiu niepodległościowym, byli wychowani w tradycji odrodzonego państwa i zrywów powstańczych. Byli gotowi do złożenia swojego życia na ołtarzu ojczyzny. Współczesne pokolenie niestety nie ma tego we krwi. Być może zmieni to bezpośrednie fizyczne zagrożenie. W dodatku po II wojnie światowej w Europie priorytetem była „walka o pokój". W Polsce pod pretekstem unikania kolejnej wojny wybito nowym pokoleniom zęby.

Naiwny pacyfizm?

Właśnie. Oznaczało to również porzucenie nauki posługiwania się bronią. Większość ludzi młodych nie miała jej w ręku. Nie potrafi wejść w fizyczne zwarcie z kimkolwiek. A przecież rosyjska inwazja nie jest abstrakcją. Prezydent Lech Kaczyński ostrzegał, jaka może być kolejność podbojów Moskwy, jeśli nie postawi się tamy jej imperialnym zakusom. Jednocześnie na naszych oczach trwa inwazja imigrantów. Niestety dla większości młodego pokolenia odwaga i poświecenie są pojęciami abstrakcyjnymi: co to znaczy być odważnym na co dzień i stawić czoło zagrożeniom?

Dzisiaj odwaga nie wymaga heroizmu.

Tak, bycie odważnym w 2026 r. oznacza zupełnie co innego niż bycie odważnym 80 lat temu. Wtedy odwaga głoszenia prawdy mogła kosztować życie, dzisiaj trzeba co najwyżej znosić drobne niedogodności, walczyć z presją szefa, pieniądza i hejterów.

wPolsce 24

Premierowe odcinki „Magazynu Anity Gargas" są emitowane w telewizji wPolsce24 w soboty o godz. 21.00, powtórki w niedziele o godz. 13.00

eprasa.pl 1c01a90050

Gry wojenne Tuska



Za naszą wschodnią granicą od czterech lat toczy się krwawa wojna. To egzystencjalne zagrożenie również dla Polski. Ale Tusk najwyraźniej go nie dostrzega. Jedyna wojna, którą prowadzi, to wojna z PiS



KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Postaram się to wytłumaczyć najprościej, jak potrafię. Patrzcie mi na usta – 20 mld tylko dla tej Huty. Stalowa Wola, Podkarpacie, Polska. Dotarło, zakute łby?” – w taki sposób Donald Tusk zwrócił się do krytyków umowy SAFE podczas swojej wizyty w Stalowej Woli.

Słowa Tuska wywołały zrozumiałe oburzenie. Trudno sobie bowiem wyobrazić, by w jakimkolwiek cywilizowanym kraju szef rządu odnosił się tak do obywateli. To jednak nie pierwszy raz, kiedy Tusk zachowuje się po chamsku. Wiele wskazuje na to, że on po prostu taki jest, a gdy musi działać pod presją, puszczają mu wszelkie hamulce.

A dziś premier najwyraźniej działa pod presją. Jak wynika z badań, jedynie 28 proc. Polaków uważa, że ich poziom życia poprawił się za jego rządów. 33 proc. odczuwa pogorszenie, a 32 proc. nie zauważyło żadnych zmian (sondaż UCE Research dla Onetu). To katastrofalna ocena. Tymczasem już za półtora roku odbędą się kolejne wybory parlamentarne, których wynik ostatecznie zdecyduje o przyszłości Tuska i jego formacji. Przy czym obecna ekipa dobrze wie, że w przypadku

Fot. Andrzej Wiktor, Fratria

eprasa.pl 1c01a90050

porażki poniesie nie tylko odpowiedzialność polityczną za swoje rządy, lecz prawdopodobnie także karną. Stawka jest więc bardzo wysoka i ciągle rośnie.

Tydzień temu zakończyłem swój artykuł o programie SAFE konkluzją, że Tusk walczy o zabetonowanie swoich rządów na długie lata. Tym razem należy zacząć od tego stwierdzenia. Wygląda bowiem na to, że obecny premier nie cofnie się przed niczym, aby osiągnąć ten cel. Jest gotów podgrzewać wewnętrzną wojnę w kraju i w efekcie wystawić bezpieczeństwo całego państwa na szwank, byle tylko utrzymać się przy władzy. Nikomu nie trzeba chyba tłumaczyć, że w kontekście wojny za naszą wschodnią granicą jest to bardzo groźna perspektywa.

ZARZĄDZANIE STRACHEM

Tymczasem Tusk traktuje wojnę na Ukrainie instrumentalnie. To dla niego doskonała okazja, aby pod pretekstem walki z rzeczywistym rosyjskim zagrożeniem rozprawić się z politycznymi przeciwnikami i umocnić swoją władzę. Liberalna propaganda, jeszcze kilka lat temu tak ostrożna i wyrozumiała wobec Moskwy, stała się dziś zaciekle antyrosyjska, ale przecież nie o Rosję tu chodzi – w każdym razie nie tylko o nią. Prawdziwym wrogiem jest pisowska opozycja i to ona budzi najbardziej wściekłe emocje reżimu. Trzeba więc zrobić wszystko, aby ustawić pisowców w jednym szeregu ze znienawidzoną Rosją. Dawne fantazje Tomasza Piątka, jego słynne wykresy mające udowodnić powiązania polskiej prawicy z Kremlem, z których śmiało się pół Polski, stały się dzisiaj oficjalną linią rządu. Polacy mają sobie wbić do głów, że każdy, kto sympatyzuje z PiS, wspiera Moskwę i naraża nasz kraj na ryzyko wojny. Bo tylko z Tuskiem i z Unią Europejską jesteśmy w stanie stawić czoło śmiertelnemu zagrożeniu. To emocjonalny szantaż cynicznie odwołujący się do najbardziej egzystencjalnego ludzkiego lęku, jakim jest obawa o własne życie.

Jak wiadomo, Tusk uważnie śledzi badania opinii publicznej. A z nich wynika, że 44 proc. Polaków obawia się wojny (sondaż United Surveys by IBRiS dla Wirtualnej Polski). Według innego badania, przeprowadzonego przez SW Research dla rp.pl, aż 69 proc. ankietowanych jest zdania, że Rosja może stanowić realne zagrożenie militarne dla Polski. Oznacza to, że lęk przed wojną jest wśród Polaków powszechnym zjawiskiem.

W takiej sytuacji odpowiedzialny rząd przystąpiłby do natychmiastowych działań prewencyjnych, począwszy od sprawnej dyplomacji oraz budowy infrastruktury militarnej i obronnej, kończąc na wygaszeniu ostrych sporów wewnętrznych. To uspokoiłoby nieco emocje i pozwoliło ludziom spojrzeć z większą ufnością w przyszłość.

Tymczasem Tusk robi zupełnie co innego. Niemal całą swoją energię poświęca na rozprawę z opozycją. Realna walka z zagrożeniem jest głównie deklaratywna – wystarczy spojrzeć, jak wygląda u nas budowa schronów czy walka z sabotażem (zdarzyło się, że sprawcy uciekali lub byli wypuszczani na wolność).

> Polacy mają sobie wdrukować schemat: rząd to patrioci, a pisowska opozycja to zdrajcy. A na zdrajców się przecież nie głosuje. I właśnie o to w tym wszystkim chodzi

Ludzie w Polsce boją się, ale o to właśnie chodzi. Polacy powinni się bać, bo strach ich ogłupia i pozwala rządzącym utrzymać nad nimi kontrolę. W obliczu zagrożenia ludzie mają się zjednoczyć wokół rządu i uwierzyć, że tylko premier jest w stanie zapewnić im bezpieczeństwo. Notowania Koalicji Obywatelskiej utrzymują się w okolicach 30 proc. lub więcej, a to oznacza, że wielu Polaków, mimo że źle ocenia rządy Tuska, jest gotowych oddać na niego swój głos. Wygląda więc na to, że taktyka zarządzania strachem może być całkiem skuteczna. Premier zamierza jednak zrobić kolejny krok i przebiera się właśnie w szaty patrioty.

ZAMIANA RÓL

Tusk musiał bardzo uważnie analizować przyczyny sukcesów PiS po 2015 r. Spośród wniosków, które wyciągnął, znalazło się zapewne spostrzeżenie, że Polacy są bardzo wyczuleni na punkcie własnego bezpieczeństwa. To dlatego obecny rząd dokonał zwrotu w polityce migracyjnej. Tusk, który jeszcze w 2021 r. nazywał imigrantów szturmujących naszą wschodnią granicę „biednymi ludźmi, którzy szukają swojego miejsca na ziemi", po objęciu władzy zmienił zdanie, twierdząc, że są to „zorganizowane grupy młodych mężczyzn, 18–30 lat, bardzo agresywnych".

Ograniczono także – choć zapewne tylko czasowo – readmisje oraz pushbacki imigrantów z Niemiec, a wejście w życie paktu migracyjnego i związanych z nim relokacji zostało przesunięte na przyszły rok (akurat po wyborach parlamentarnych).

Jednocześnie liberalna propaganda, wsparta tutaj przez wyznawców Mentzena i Brauna, nakręciła ostrą kampanię antypisowską, oskarżając poprzednie władze o rzekomy handel wizami i masowe ściąganie imigrantów do Polski. Rzeczywiście, pod koniec rządów Morawieckiego liczba imigrantów sprowadzanych do pracy wzrosła, ale już nikt nie dodaje, że po objęciu władzy przez Tuska nic się tutaj nie zmieniło. Chodzi bowiem o co innego – o zamianę ról. Ludzie mają uwierzyć, że to PiS ściągało imigrantów, a obecny rząd postawił temu procederowi tamę. Inaczej mówiąc, Tusk chce przejąć agendę Prawa i Sprawiedliwości, która zapewniła tej partii popularność i ustawić się na pozycji obrońcy interesów polskiego społeczeństwa, spychając pisowców do roli szkodników.

Dokładnie taka sama operacja jest prowadzona w kwestii zagrożenia wojennego. Ekipa Tuska uderza w patriotyczne werble, utrzymuje napięcie i podgrzewa strach przed wojną, aby przedstawiać się

eprasa.pl 1c01a90050

opinii publicznej jako jedyny obrońca kraju. Z kolei opozycja i każdy, kto krytykuje rząd, zostaje automatycznie zakwalifikowany jako „zdrajca".

„Termin »zakute łby« dotyczył tych, którzy chcą zablokować pieniądze dla Polski z powodu braku kompetencji lub zwykłej głupoty. Tych, którzy robią to w politycznym lub finansowym interesie obcych państw, nazwałbym zdecydowanie mocniej" – wyjaśniał Tusk po swoim wystąpieniu w Stalowej Woli.

Ludzie mają wdrukować sobie ten schemat: rząd to patrioci, a pisowska opozycja to zdrajcy. A na zdrajców się przecież nie głosuje. I właśnie o to w tym wszystkim chodzi.

ŻĄDZA ZEMSTY

Obawy Polaków nie są przesadzone. Zagrożenie ze strony Rosji jest realne i nie wiadomo, jak długo będzie się utrzymywać. W tej sytuacji polityka obecnego rządu, który szuka wroga we własnym kraju, powinna wzbudzać najwyższy niepokój.

Można mieć bowiem poważne wątpliwości, czy Tusk przejmuje się zagrożeniem ze strony Rosji. Gdyby rzeczywiście tak było, to jego polityka musiałaby wyglądać zupełnie inaczej. Tymczasem mamy do czynienia z grą pozorów, umiejętnie podbijaną propagandowym wzmożeniem.

Mieliśmy naprawdę wystarczająco dużo czasu, aby przygotować się na najgorsze scenariusze. I nie chodzi wyłącznie o działania odstraszające – tu ogromną zasługę należy przypisać rządowi PiS, który rozpoczął szeroko zakrojony program zbrojeń – lecz także o stworzenie całego systemu ochrony ludności cywilnej: budowę sieci schronów, opracowanie planów ewakuacyjnych, organizację opieki medycznej czy edukacji obywateli. Tutaj nie zrobiono prawie nic. Jeżeli wydarzy się coś złego, jesteśmy niemal bezbronni.

Polska bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje teraz bezpieczeństwa energetycznego i żywnościowego. Przemysł, zaorany beztrosko w ciągu ostatnich 30 lat, musi mieć dostęp do taniej energii, wykwalifikowanych kadr i strategicznej kontroli państwa (przy czym nie chodzi o nacjonalizację, lecz o gwarancję działania w interesie Polski). Tymczasem nasze zasoby rozpływają się w powietrzu, bo Unia nadal prze ku zielonej transformacji. Pieniądze, które mogłyby pójść na zbrojenia lub budowę schronów, wydajemy na opłaty klimatyczne ETS. A już wkrótce w ślad za przemysłem pozbędziemy się rolnictwa, bo obecny rząd nie zdołał zablokować fatalnej umowy z krajami Mercosur. Jest jeszcze problem imigracji, która w niedalekiej przyszłości może wygenerować poważne konflikty wewnętrzne i zburzyć – i tak słabą – spójność społeczeństwa. Jak w takich warunkach możemy myśleć o skutecznej obronie państwa?

Teoretycznie rząd coś robi – kontynuowane są niektóre zakupy uzbrojenia, podobno budowana jest Tarcza Wschód. Wszystko to jednak idzie bardzo niemrawo i trudno w tym dostrzec jakąś przemyślaną politykę. W przypadku zagrożenia mamy sobie radzić sami: przeczytać przesłany nam „Poradnik Bezpieczeństwa", kupić plecak ewakuacyjny i uciekać nie wiadomo dokąd – najlepiej do pobliskiego lasu (bo przecież schronów nie ma). Niestety na nic więcej od tego rządu nie możemy chyba liczyć, jest on bowiem niezdolny do strategicznego myślenia.

Dopiero w tym kontekście widać, że batalia o SAFE na kluczowe znaczenie. To sprytna pułapka zastawiona na pisowską opozycję i prezydenta. Bo niezależnie od tego, czy program przejdzie, czy nie, zwycięzcą i tak będzie Tusk. Akceptacja SAFE oznacza zgodę na jego długoletnie rządy, a jego odrzucenie pozwala uwiarygodnić propagandową tezę o „zdrajcach" z PiS. W obu tych przypadkach Tusk, którego rząd prawie nic nie zrobił przez ostatnie dwa lata, może się przedstawiać jako obrońca Polski.

Trudno nie odnieść wrażenia, że mamy tu do czynienia z jakąś perwersyjną żądzą zemsty. Obecny premier, któremu wielokrotnie zarzucano działanie na rzecz obcych interesów, próbuje teraz przerzucić te oskarżenia na pisowską opozycję, a samemu wejść w patriotyczne buty PiS. W tych staraniach wspiera go – i to dość skutecznie – cała machina propagandowa, na jaką może liczyć obecny rząd.

JEDYNY WRÓG

Tymczasem jeszcze kilka lat temu ta sama machina propagandowa biła w PiS z zupełnie przeciwnych powodów – oskarżając tę partię o rusofobię. Bo Tusk prowadził wówczas inną politykę. Słowo „prowadził" jest tu oczywiście pewnym nadużyciem, bo wiąże się z założeniem, że obecny premier jest samodzielny i podmiotowy.

W rzeczywistości Tusk zawsze płynie na fali wywołanej aktualną polityką jego unijnych patronów. Za czasów swoich pierwszych rządów był gorliwym „reseciarzem", bo Niemcy dogadywały się wówczas z Moskwą. Nie dostrzegał też zagrożenia ze strony Rosji podczas najazdu imigrantów na naszą granicę z Białorusią w 2021 r. – wtedy w modzie było uderzanie w PiS za rzekome łamanie praw człowieka.

Dopiero wybuch wojny na Ukrainie i załamanie się relacji rosyjsko-niemieckich, doprowadziły do nagłej przemiany Tuska w obrońcę państwa. A późniejsza zmiana warty w Białym Domu stała się świetną okazją do uderzenia w PiS i prezydenta, których poprzez Trumpa natychmiast połączono z Kremlem. Zupełnie jak u wspomnianego Tomasza Piątka.

Wszyscy, którzy dali się zwieść patriotycznej pozie Tuska, mogą się jutro zdziwić. Bo przecież wiatr w każdej chwili może zmienić kierunek. Dziś pisowcy są „zakutymi łbami" i zdrajcami (w domyśle – agentami Moskwy), ale przecież jeszcze wczoraj byli zapiekłymi rusofobami, którzy chcą nas wciągnąć do wojny. Jestem niemal pewien, że gdyby do władzy w Niemczech doszła AfD, to pisowcy, nie mając przecież żadnego związku z tą partią, natychmiast zostaliby okrzyknięci sługusami Berlina.

Za naszą wschodnią granicą od czterech lat toczy się krwawa wojna. To egzystencjalne zagrożenie również dla Polski. Ale Tusk najwyraźniej go nie dostrzega. Jedyna wojna, jaką prowadzi, to wojna z PiS. Na razie nie zanosi się na to, żeby premier zmienił swoje priorytety. W takiej sytuacji trudno ze spokojem spoglądać w przyszłość.

eprasa.pl 1c01a90050



27.02.2022 r. Przemyśl – przyjęcie jednego z wielu pociągów z uchodźcami z Ukrainy

Od entuzjazmu do zniechęcenia



PIOTR GURSZTYN

Rosyjska agresja przeciw Ukrainie trwa już cztery lata. To także cztery lata nowego rozdziału w dziejach stosunków polsko-ukraińskich. Zarówno na szczeblu międzypaństwowym, jak i – co ważniejsze – w relacjach międzyludzkich. Ten rozdział zaczął się od wielkiego entuzjazmu, a przeszedł w zmęczenie, a nawet zniechęcenie. Co będzie dalej? Z nami, Polakami, i naszymi sąsiadami Ukraińcami?

Najbardziej widocznym dla Polaków wydarzeniem związanym z czwartą rocznicą wybuchu wojny pozostaje wizyta Włodzimierza Czarzastego w Kijowie. Formalnie wszystko jest w porządku, bo przecież marszałek Sejmu to druga osoba w konstytucyjnym porządku Rzeczypospolitej. O jedno bicie serca od prezydenta – przywołując niedawne, lecz słynne już słowa. Ale realnie nie jest to obraz, który mógł wywołać pozytywne skojarzenia u większości Polaków.

Dla tej części, która ma prawicowe poglądy, Włodzimierz Czarzasty to agresywny hejter, polityk żyjący z konfliktu z głową państwa, a nie szukający porozumienia. Także spora grupa Polaków o liberalnych poglądach musi mieć mieszane uczucia. Bo pewnie podoba im się to, jak Czarzasty atakuje Karola Nawrockiego, lecz także pamiętają, że pozostaje on negatywnym bohaterem jednej z największych afer III RP. Na dodatek – co ważne w kontekście ukraińskim – Czarzasty jest przecież odpowiedzialny za awanturniczy atak na Donalda Trumpa, a przecież cała ukraińska obrona „wisi" na amerykańskiej pomocy.

Tak więc Włodzimierz Czarzasty wypowiadający w Kijowie wzniosłe słowa o poparciu dla Ukrainy wielu Polakom ukazał się jako uosobienie hipokryzji, a na pewno politycznego pustosłowia. Bo wcześniej nikt nie znał go jako czempiona prowadzonej na kontrze do Rosji polityki wspierania suwerenności państw postsowieckich. Wręcz przeciwnie, szybko znaleziono jego wypowiedzi z 2014 r., gdy domagał się, aby Polska nie wspierała Ukrainy w sprawie aneksji

Fot. Andrzej Skwarczyński

eprasa.pl 1c01a90050

Krymu i Donbasu. Jednocześnie wiadomo, że gromkie zapowiedzi Czarzastego o wprowadzeniu Ukrainy do Unii Europejskiej nic nie znaczą, bo jaką moc sprawczą ma lider słabiutkiego ugrupowania, czyli ledwo przechodzącej przez próg wyborczy Nowej Lewicy?

Polska opinia publiczna kolejny raz zobaczyła teatr, w którym sprawa wsparcia dla Ukrainy i obrony przed rosyjskim imperializmem stanowi tylko slogan w ustach cynicznych polityków. To jedna z przyczyn narastającego zniechęcenia, aby pomagać Ukrainie, a nawet tego, żeby z życzliwością o niej myśleć.

ZMIANA NASTROJÓW

Według różnych badań ok. jedna trzecia Polaków prezentuje negatywne nastawienie do Ukrainy i Ukraińców. Nieco mniej niż jedna czwarta ma pozytywny stosunek. Nastawienie reszty można określić jako neutralne. Zmalała życzliwość i wzrosła niechęć w porównaniu z pierwszymi miesiącami 2022 r., które niektórzy nazywali wręcz „powstaniem polskiej pomocy". Rzeczywiście – było to coś niesamowitego, gdy Polacy masowo przyjmowali do swoich mieszkań zupełnie nieznanych im ludzi. Potem wahadło nastrojów mocno wychyliło się w drugą stronę, ale nie można powiedzieć, że masowa miłość przerodziła się w powszechną nienawiść. To bardzo poważna zmiana akcentów, lecz jeszcze nie rewolucja.

Widać to np. po systematycznych badaniach Centrum Mieroszewskiego. Weźmy badanie z dwóch lat, 2024–2025. Nie zmieniła się grupa tych, którzy na pytanie, czy Polska nadal powinna udzielać Ukrainie wsparcia wojskowego, odpowiedzieli „zdecydowanie tak" (spadek z 18 proc. na 17 między lutym 2024 r. a listopadem 2025 r.). Nastąpił za to wielki wzrost w grupie „zdecydowanie nie" (z 11 na 22 proc.). Nie zaobserwowano dużego ruchu w grupie „raczej nie" (wzrost z 15 na 17 proc.), ale za to tąpnęło w segmencie „raczej tak" (z 36 na 27 proc.). Wykruszyła się więc część ludzi o poglądach umiarkowanych. Okazuje się, że proukraińska narracja obecnych władz, tropienie przez nią rzekomej rosyjskiej agentury i atakowanie tym całej prawicowej opozycji są absolutnie szkodliwe dla stosunków polsko-ukraińskich. A na pewno im nie pomaga.

Można to tłumaczyć postępującym zmęczeniem, bo rzeczywiście to powszechne zjawisko, które występuje także w innych krajach pomagających Ukrainie. Zwłaszcza tych, które przyjęły dużą grupę uchodźców. Ale przypadek Polski jest bardziej złożony z powodu naszego szczególnie dużego zaangażowania.

Socjolog prof. Piotr Długosz z Uniwersytetu KEN w Krakowie twierdzi, że tąpnięcie w pozytywnych nastrojach Polaków względem Ukrainy nastąpiło w październiku 2023 r. Jeśli tak, był to nieprzypadkowy moment. Skumulowało się wtedy wiele zdarzeń, które zostały odebrane jako przejawy niewdzięczności i nieszczerości ze strony władz ukraińskich. Pierwsza była sprawa Przewodowa, jeszcze z 2022 r. To napsuło wiele krwi, ale jeszcze nie przeważyło. Latem 2023 r. Polacy zaczęli zauważać woltę prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, w tym jego przemówienie w ONZ, w którym jasno zasugerował, że nasz kraj „przygotowuje scenę dla moskiewskiego aktora". A przypomnijmy, że chodziło o nasze działania chroniące krajowe rolnictwo przed napływem ukraińskiego zboża.

Był to czas zmiany w ukraińskiej polityce, która zaczęła się orientować na Berlin, a także na tych polskich polityków, którzy w oczach Kijowa zdawali się bardziej perspektywiczni – czyli Donalda Tuska i Platformę Obywatelską. Ukraińskie elity nie dostrzegły, że odwracając się od polityków prawicy, zniechęcają do siebie miliony ich wyborców. Dla prawicowej części polskiej opinii publicznej był to odrażający spektakl. Pamiętała ona, gdy w 2022 r. – najtrudniejszym dla Ukrainy – Zełenski dwukrotnie mówił w polskim Sejmie o katastrofie smoleńskiej jako oczywistym zamachu dokonanym przez Rosję. Pamiętała też, że w tym samym czasie Donald Tusk wychwalał jawnie prorosyjskiego Silvia Berlusconiego i nic nie robił dla walczącej Ukrainy. Nie mówiąc już o tym, że cały czas żywa jest pamięć o niemieckiej „pomocy" w postaci 5 tys. hełmów.

Ukraina zaczęła tracić sympatię dużych rzesz Polaków o poglądach prawicowych, ale w duchu prawicy Lecha Kaczyńskiego, a nie Grzegorza Brauna. Niestety niesympatyczne wolty polityków z Kijowa wpłynęły na postrzeganie całej Ukrainy i jej mieszkańców. Z powodu win Zełenskiego wiele osób w Polsce zaczęło patrzeć krzywo na przeciętnych Ukraińców. To silne emocje, ale zdecydowanie bezsensowne. Obywatele Ukrainy też prezentują różne sympatie polityczne i dzisiaj raczej mniejsza ich część utożsamia się z decyzjami swoich polityków. Wystarczy przypomnieć, że wśród frontowych żołnierzy armii ukraińskiej Wołodymyr Zełenski nie cieszy się wielkim uznaniem. Zresztą większość Polaków bardzo by nie chciała, aby ktoś za granicą oceniał ich na podstawie działań Donalda Tuska i jego rządu. Dlaczego jacyś przypadkowi Ukraińcy mają być oceniani przez pryzmat Zełenskiego i innych polityków znad Dniepru?

Do tego doszły błędy i zła wola władz ukraińskich w innych sprawach, szczególnie w bolesnej kwestii ekshumacji ofiar rzezi wołyńsko-galicyjskiej oraz przejawów kultu UPA i Stepana Bandery.

ROZDMUCHIWANIE I PRZEMILCZANIE PROBLEMÓW

Winy, i to poważne, są też po stronie polskiej. Jest coś, co można nazwać „szantażem braunowsko-konfederackim". Grzegorz Braun, który kilka lat wcześniej wzywał do braterstwa polsko-ukraińskiego – łącznie z postulatem, aby Ukraińcy wykupywali kamienice w Przemyślu, a Polacy we Lwowie – zaczął uprawiać politykę jawnej nienawiści wobec naszego sąsiada. Przestrzega przed rzekomą ukrainizacją Polski, ale już nie widzi problemu z potencjalną germanizacją czy rusyfikacją. Stworzył wybuchową mieszankę skrajnego cynizmu i kompletnego oszołomstwa, co jednak przyciągnęło zauważalną grupę wyborców.

Swoje grzechy ma też duża część Konfederacji. Jest tam wstrzemięźliwy Krzysztof Bosak, który ma świadomość, że kiedyś jego partia wyjdzie z opozycji i będzie musiała utrzymywać jakieś stosunki z partnerem ukraińskim. Ale ton nadaje nierozważny i emocjonalny Sławomir Mentzen. Dobrym przykładem

eprasa.pl 1c01a90050

braku logiki w jego stosunku do Ukrainy jest sposób krytyki wizyty Czarzastego. Nazwał go „brukselsko-moskiewskim pachołkiem", który bardziej dba o interes Ukrainy niż Polski. Trudno dzisiaj spiąć jednoczesną służbę Moskwie i Ukrainie, ale Mentzenowi się udało. A chwilę wcześniej bronił Czarzastego przed zarzutami w sprawie jego niejasnych kontaktów z obywatelką Rosji Swietłaną Czestnych.

Spora grupa polityków zaczęła żerować na realnych lękach i niestety je rozdmuchiwać. Rzeczywiście – obawy ekonomiczne, np. o miejsca pracy, nie są wydumane. Dochodzi do sytuacji konfliktowych, np. między polskimi klientami a ukraińskim personelem. W drugą stronę też – zdarzają się bowiem zamożni ukraińscy klienci niegrzecznie traktujący polski personel. Chamstwo pojedynczych osób zaczęło mieć wymiar polityczny. Nataliya Parshchyk, autorka „Kultury Liberalnej", napisała, że jej siostra, zatrudniona w polskim sklepie zauważyła, że ci polscy klienci, którzy byli wobec niej niegrzeczni, tak samo źle odnosili do innych Polaków. To ważna uwaga, bo pokazuje, jak niesprawiedliwe jest ocenianie całych zbiorowości przez pryzmat złego zachowania niektórych ludzi.

Ale jedną winą było rozdmuchiwanie problemów, a drugą ich przemilczanie. Lub zakrzykiwanie, w czym od zawsze specjalizują się liberalne elity. To one za pomocą swych mediów głosiły stały przekaz, że winne są polska ksenofobia i nietolerancja. Ta presja zadziałała w sposób odwrotny – uruchomiła przekorę, czyli wzmocniła niechęć. Liberalne elity manifestacyjnie podczepiają się pod hasła pomocy Ukrainie, a jednocześnie wykorzystują je do szantażowania swych wrogów. Ponadto ze swej świeżej, nabytej po 2022 r., rusofobii robią swój totem i jednocześnie pałkę na przeciwników politycznych. Przede wszystkim prawicę, która wcześniej była atakowana... właśnie za rusofobię. Politycy PiS jeździli do Kijowa – używając popularnego, ale prawdziwego określenia – zanim było to modne. Ta obłuda obrzydza ideę pomagania cierpiącym mieszkańcom Ukrainy.

NAKRĘCANIE NEGATYWNYCH EMOCJI

Ogólna konkluzja jednak jest przygnębiająca. A to dlatego, że w tak ważnej politycznie i społecznie sprawie zwyciężają emocje, a nie namysł nad korzyściami dla Polski. Ludzie ogarnięci negatywnymi uczuciami, a także rozbudzający je politycy czy inne osoby publiczne, chętnie wskazują liczne negatywy po stronie ukraińskiej. Bardzo wiele z nich jest całkowicie zgodna z prawdą, ale ci sami ludzie odpowiadają na podstawowe pytanie: co robić dalej? Ukraina to duży i ważny kraj, nasz bezpośredni sąsiad. Wielu jej obywateli jest narodowości polskiej, na terenie Rzeczypospolitej zamieszkały setki tysięcy Ukraińców. Istnieją więzi gospodarcze. Jest kluczowa dla wszystkich kwestia rosyjskiego imperializmu. Co z tym zrobić? „Ukrainosceptycy" na mają żadnej odpowiedzi na to pytanie.

> Większość Ukraińców w Polsce to ludzie pracujący. Wśród uchodźców w wieku produkcyjnym zatrudnienie znalazło 69 proc. Rzecz niesłychana, gdy porównamy to z doniesieniami na temat realiów imigracji w Niemczech, Francji czy Szwecji

Przygnębia też częsty strach wśród Polaków. Grozi nam ukrainizacja – słyszymy. Ale w jaki sposób? Gdyby tych samych ludzi zapytać, czy Anglii lub Niemcom grozi polonizacja z powodu mieszkających tam Polaków, to odpowiedzą, że nie. Wiedzą, iż nasza wspólnota narodowa w większości straciła tych ludzi lub ich dzieci, które się tam zasymilują. Czy Polska jest zatem tak beznadziejnie słaba, że da się wynarodowić przez napływ kilkuset tysięcy biedniejszych ludzi? W takim stopniu nie wierzą w siłę kultury polskiej w stosunku do ukraińskiej?

Stosunki międzyludzkie czy międzypaństwowe nigdy nie są całkowicie harmonijne. Trzeba pogodzić się z tym, że od czasu do czasu coś zgrzyta. Ważny jest ogólny bilans. Jeśli chodzi o rzekomą ukrainizację, prawda jest odwrotna. Ukraina straci setki tysięcy swoich obywateli, bo wybiorą oni bezpieczniejsze i wygodniejsze życie w innych krajach. Ich dzieci przyjmą miejscową tożsamość narodową. Popatrzmy na jeden wskaźnik. W 2024 r. zawarto w Polsce ok. 2,5 tys. polsko-ukraińskich małżeństw (duży przyrost w stosunku do wcześniejszych lat). 80 proc. z nich to związek Polaka z Ukrainką, czyli typowy dla każdej imigracji model tzw. hipergamii, gdzie kobieta próbuje podnieść swój status przez małżeństwo. Tak samo było, gdy Polki wychodziły za Niemców czy Anglików.

Większość Ukraińców w Polsce to ludzie pracujący. Wśród uchodźców w wieku produkcyjnym zatrudnienie znalazło 69 proc. (średnia wśród Polaków to 75 proc.). Rzecz niesłychana, gdy porównamy to z doniesieniami na temat realiów imigracji w Niemczech, Francji czy Szwecji. Otrzymaliśmy dar w postaci białych chrześcijańskich imigrantów, bliskich nam kulturowo i mówiących podobnym językiem. Na planecie Ziemia drugiej takiej oferty nie ma i nie będzie.

Powtórzmy: problemy były, są i zawsze będą. Pytanie, czy traktujemy je jako szansę, czy katastrofę. Nasze rolnictwo jest śmiertelnie zagrożone importem taniej produkcji z Ukrainy. To ogromne wyzwanie i trzeba jakoś obronić nasze bezpieczeństwo żywnościowe. Ale ogólny bilans handlowy pozostaje dla nas znakomity. Nasz eksport na Ukrainę bywa trzykrotnie większy od importu. Jak więc nie wylać dziecka z kąpielą? Bo na razie z powodu cynizmu niektórych graczy, głupoty innych, braku wyobraźni i powszechnego strachu szkodzimy sami sobie.

eprasa.pl 1c01a90050



Fot. X.com/Trybunał Konstytucyjny

Gang Olsena robi skok na Trybunał

Choć rząd Donalda Tuska przegrywa wojnę o „odzyskanie" Trybunału Konstytucyjnego, trzeba liczyć się z tym, że będzie jeszcze kąsał



STANISŁAW JANECKI

Zadanie było proste i chyba mało kto ma wątpliwości, że zostało zlecone przez Donalda Tuska: rządzący muszą „odwojować" Trybunał Konstytucyjny. Bo to najważniejsza przeszkoda w dążeniu obecnego premiera do całkowitej likwidacji trójpodziału władz (zapisanego w art. 10 konstytucji). Pierwszą i jedyną władzą ma być ta wykonawcza, a dwie pozostałe mają zostać jej podporządkowane. A tę część władzy wykonawczej, którą sprawuje prezydent, trzeba minimalizować, jego samego zaś atakować oraz delegitymizować. I choć okazało się, że za „odwojowanie" TK zabrał się gang Olsena, na szefa którego wygląda sędzia Krystian Markiewicz – całkiem nieprzypadkowo z Iustitii – konsekwencje mogą się okazać groźne. Choćby dlatego, że polecenie Tuska może być realizowane „gangsterskimi" metodami.

Prawnicy będący jednocześnie posłami Prawa i Sprawiedliwości nie są jednak w ciemię bici i równolegle z przygotowaniami władzy do skoku na TK przygotowali prawną zaporę. Już widać, że władza się jej obawia, co wcale nie oznacza, że sprawa będzie miała finał zgodny z prawem. 3 lutego 2026 r. posłowie PiS zaskarżyli do TK przepisy, na podstawie których dokonywany jest wybór sędziów do Trybunału. Pięcioosobowy skład sędziowski, do którego formalnie w żaden sposób nie można się przyczepić (nie są to „neosędziowe" czy „dublerzy"), zacznie rozpatrywać sprawę 10 marca 2026 r.

Sześć wolnych miejsc w Trybunale koalicja rządząca chce podzielić między siebie: KO ma dostać trzy, Lewica, PSL i Polska 2050 – po jednym. Autorzy wniosku do TK argumentują, że sprzeczne z konstytucją jest to, iż procedura wyłonienia sędziów nie gwarantuje „wyboru proporcjonalnie do liczby miejsc wolnych w Trybunale Konstytucyjnym [...] kandydata zgłoszonego przez grupę posłów działających w imieniu klubu parlamentarnego z najliczniejszą liczbą posłów w danej kadencji Sejmu". Istotne jest też to, że prezydent nie ma obowiązku odebrania ślubowania od kandydatów na sędziów wybranych przez Sejm do TK, bo taki obowiązek uniemożliwia mu ocenę, czy zostali oni wyłonieni zgodnie z prawem. Z tego wynika, że prezydent Karol Nawrocki może odrzucić wybór dokonany przez Sejm. I wcale nie jest mu do tego potrzebne orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego.

ZŁOWIENI WE WŁASNE SIDŁA

Rządzący mają świadomość, że wpadli we własne sidła, nie obsadzając sześciu wolnych miejsc po przejęciu władzy i uzyskaniu większości w Sejmie. Autorzy wniosku twierdzą, że wybór sędziów do TK przez Sejm nie może być unormowany w Regulaminie Sejmu, ale w ustawie. Wprawdzie ustawa o statusie sędziów TK odsyła do Regulaminu Sejmu, który określa zasady wyboru i terminy, ale sam wybór nie następuje na podstawie tego dokumentu, który pozostaje tylko uchwałą – aktem wewnętrznym Sejmu. Standard wyznacza ustawa. Regulamin Sejmu nie jest więc prawem obowiązującym powszechnie – jako akt wewnętrzny wiąże tylko Sejm i jego organy, ale nie prezesa Trybunał Konstytucyjnego.

Nie obsadzając wakatów w TK, rządzący naruszyli zasady ciągłości jego

eprasa.pl 1c01a90050

działania. Obecna koalicja czekała, aż zwolni się sześć miejsc, nie zgłaszała własnych kandydatów i nie głosowała za tymi zaproponowanymi przez PiS, więc zablokowała ich wyłonienienie, co jest niedopuszczalne. Dlatego planowany teraz przez Sejm wybór sędziów powinien być wstrzymany. A prezydentowi gang Olsena nie pozostawia alternatywy i głowa państwa wręcz musi odmówić odebrania ślubowania od wybranych kandydatów na sędziów. Kandydatów, bo sędzią zostaje się po złożeniu ślubowania wobec prezydenta.

Już uruchomienie procedury przed Trybunałem Konstytucyjnym sprawia, że gdy Sejm rozpocznie wybór kandydatów na sędziów, powinien być on wstrzymany, a gdyby tak się nie stało, prezydent ma obowiązek odmówić odebrania ślubowania od wyłonionych mimo to osób. Nawet gdyby kandydaci wykrzyczeli słowa ślubowania przed Pałacem Prezydenckim, prezes Trybunału Bogdan Święczkowski nie może ich uznać za sędziów, wpuścić ich do budynku TK oraz przydzielić im spraw.

Rządzący uważają jednak, że brak zaprzysiężenia przez prezydenta da się obejść. Tyle że proponowane dotychczas sposoby były operetkowe, np. wykrzyczenie ślubowania na jakiejś oficjalnej uroczystości, stojąc możliwie blisko prezydenta. Albo zrobienie tego poprzez notariusza – tyle że notariusze zajmują się wyłącznie prawem cywilnym i nie mają do tego stosownych kompetencji. Albo wysłanie podpisanej roty ślubowania listem poleconym.

Wymyślono więc, by do procedury związanej z wyłanianiem kandydatów na sędziów TK w Regulaminie Sejmu wprowadzić dodatkowy punkt – że po wyborze wygłaszają oni oświadczenie na forum izby i wypowiadają rotę ślubowania, stając się pełnoprawnymi sędziami, co jest oczywistym idiotyzmem. Gangowi Olsena chodzi o to, żeby kandydaci na sędziów TK złożyli jakiekolwiek ślubowanie, bo podobno „z przestrzegania roty ślubowania są rozliczani". Jeśli są wybierani przez konkretny organ – w tym wypadku Sejm – to przed tym organem mogą składać ślubowanie. Tak jak Rzecznik Praw Obywatelskich czy prezes Najwyższej Izby Kontroli, co nie jest oczywiście prawdą, bo inaczej stanowi konstytucja i ustawa o TK.

PREZESI NA RATUNEK

Byli prezesi i wiceprezesi Trybunału Konstytucyjnego (Stanisław Biernat, Andrzej Mączyński, Janusz Niemcewicz, Marek Safjan, Jerzy Stępień, Bohdan Zdziennicki, Andrzej Zoll) postanowili pomóc Donaldowi Tuskowi i gangowi Olsena. W tym celu 16 lutego 2026 r. opublikowali stosowne oświadczenie. Zaczęli z grubej rury, stwierdzając, że „wniosek posłów opozycji domagający się stwierdzenia niekonstytucyjności trybu wyboru sędziów do Trybunału Konstytucyjnego stanowi kolejny krok w kierunku destabilizacji polskiego systemu ustrojowego". Problemem jest tylko to, że „destabilizatorzy" są w gronie sygnatariuszy oświadczenia. Insynuują oni, że „prawdziwym celem tego wniosku jest stworzenie pozoru legitymizacji dla przyszłej decyzji prezydenta RP o odmowie przyjęcia ślubowania składanego przez nowo powołanych przez Sejm sędziów Trybunału. W konsekwencji zmierza on do zablokowania możliwości obsadzenia stanowisk sędziowskich i w ten sposób do całkowitego sparaliżowania procesu, który ma doprowadzić do odbudowania rzeczywistej kontroli konstytucyjności prawa". Wszystko tu jest na wyrost, bo prezydent nie potrzebuje pretekstu, a przyjęcie ślubowania lub nie wynika z jego wyłącznej prerogatywy. I w żadnym wypadku nie jest on automatem do potwierdzania wyboru dokonanego przez Sejm. Z tego uprawnienia korzystał już zresztą Andrzej Duda jako głowa państwa.

> Nie obsadzając wakatów w TK, rządzący naruszyli zasady ciągłości działania Trybunału. Obecna koalicja czekała, aż zwolni się sześć miejsc, nie zgłaszała własnych kandydatów i nie głosowała za tymi zaproponowanymi przez PiS, więc zablokowała ich wyłonienie, co jest niedopuszczalne. Dlatego planowany teraz przez Sejm wybór sędziów powinien być wstrzymany

Byli prezesi twierdzą, że skoro „wyrok będzie wydany przez organ kierowany przez Bogdana Święczkowskiego", to nie będzie prawomocny. Bo podobno „organ ten narusza obowiązujące standardy rządów prawa, co zostało stwierdzone przez sądy polskie i europejskie, a ostatnio przez Trybunał Sprawiedliwości UE (wyrok z 18 grudnia 2025)". Nic takiego nie zostało stwierdzone, a TSUE skompromitował się potraktowaniem Trybunału tak, jakby był on częścią wymiaru sprawiedliwości, choć nie jest. Art. 175 ust. 1 stanowi przecież wyraźnie, że „wymiar sprawiedliwości w Rzeczypospolitej Polskiej sprawują Sąd Najwyższy, sądy powszechne, sądy administracyjne oraz sądy wojskowe". Nie ma tu Trybunału Konstytucyjnego. To nie wyrok TK „otworzy kolejną przestrzeń konfliktu w naszym państwie, pogłębi chaos i poczucie braku bezpieczeństwa prawnego wśród obywateli", lecz to, co robi minister Waldemar Żurek. Nie dojdzie do „jeszcze groźniejszego niż dotychczas zaburzenia mechanizmów ustrojowych" – te zostały totalnie zaburzone przez rząd Donalda Tuska i większość parlamentarną.

Byli prezesi i wiceprezesi TK twierdzą, że „nie jest możliwe przywracanie rządów prawa za pośrednictwem organu działającego bez konstytucyjnej legitymacji i kierowanego przez osobę, wybraną przez sędziów pozbawionych legalnego statusu". To oczywiste bzdury na polityczne zlecenie, nie ma bowiem

01/0126/F/ZAL

eprasa.pl 1c01a90050

w TK „sędziów pozbawionych legalnego statusu", a prezes został wybrany absolutnie *lege artis*.

BEZ ŚLUBOWANIA ANI RUSZ

Sygnatariusze oświadczenia głęboko się mylą, twierdząc, że „ślubowanie przed Prezydentem nie jest elementem procedury wyboru sędziego TK, bo ta się kończy wraz z podjęciem uchwały przez Sejm". Jak wytłumaczył były wiceprezes TK prof. Mariusz Muszyński, „ślubowanie jest instytucją prawną odrębną od wyboru sędziów TK (bo jest) i pełni swoje własne prawne funkcje (bo pełni)", więc „wykluczony jest automatyzm jego składania".

Sygnatariusze oświadczenia błądzą, uważając, że „osoba wybrana na sędziego Trybunału przez Sejm jest sędzią, a zaniechanie odebrania od niej ślubowania nie zmienia tego statusu". Nic podobnego. Ślubowanie pełni funkcję gwarancyjną: dzięki niemu konkretna osoba przyjmuje osobistą odpowiedzialność za wykonywanie sędziowskich obowiązków. Ślubowanie odgrywa też rolę inicjującą: umożliwia rozpoczęcie wykonywania obowiązków (art. 5 ustawy o statusie sędziów TK). Ślubowanie ma również „rangę dowodową". Po jego wygłoszeniu dochodzi do podpisania wypowiedzianej roty. Nie wystarczy jej wygłoszenie, bo tylko jej podpisanie stanowi formę potwierdzenia zobowiązania do konkretnego zachowania zgodnie z treścią przysięgi. Bez podpisu nie ma dowodu na złożenie ślubowania. Wygłoszona rota i jej podpisanie stanowią nierozerwalną całość.

Nie wystarczy spełnienie kryteriów wyboru i przejście procedury głosowania w Sejmie. Potrzebna jest jeszcze deklaracja woli objęcia stanowiska i obietnica sprawowania funkcji w sposób określony rotą. Dopiero ślubowanie domyka wybór i ma wymiar sprawczy. Dlatego odmowa złożenia ślubowania, czyli świadoma decyzja osoby wybranej, oznacza rezygnację z funkcji. Ślubowanie to instytucja prawna, a jego istota wpływa też na niepomijalną pozycję prezydenta w całej procedurze. A w niej kluczową rolę odgrywa słowo „wobec", określające prezydenta jako podmiot, którego obecność jest konieczna dla skuteczności ślubowania. Jeśli prezydent oceni, że wybrana przez Sejm osoba nie jest w stanie zapewnić, że dotrzyma zobowiązania wynikającego ze ślubowania, może uniemożliwić jej jego złożenie. I taka prezydencka blokada ślubowania nie będzie ingerencją w kreacyjne kompetencje Sejmu.

* * *

Powierzenie gangowi Olsena zadania „zdobycia" TK to wielka kompromitacja Donalda Tuska oraz jego naczelnego prawnika, ministra nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu Macieja Berka, o Waldemarze Żurku nie wspominając. Sam Tusk oczywiście się do tego nie przyzna i znajdzie winnych, których ukarze, co nie zmienia faktu, że przegrywa operację skoku na Trybunał. Ale trzeba się liczyć z tym, że będzie jeszcze kąsał.

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA

Dbamy o to, co się liczy.

Ubezpieczenie mieszkań i domów jednorodzinnych SALTUS – Mój DOM

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.



Oferta dostępna w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

Informacja o charakterze reklamowym i marketingowym

Zrobiło się „politycznie niebezpiecznie”

„To, w jaki sposób będziemy mówić o aferze Epsteina, zadecyduje o tym, czym ona była” – przekonuje Agata Bielik-Robson na łamach „Wyborczej”. Radzi, by „przekłuć balon”, „zachować dystans”, bo zrobiło się „politycznie niebezpiecznie”



MACIEJ WALASZCZYK

Sprawa Epsteina sprawiła, że na powierzchnię wydostały się wszystkie możliwe demony. A konkretnie dwie skrajne postawy. Jedna z nich doprowadziła do wykopania w samym centrum oligarchicznej elity jakiejś piekielnej czarnej dziury. Takie karykaturalne wręcz interpretacje próbuje narzucić rosyjska propaganda, w której brakuje tropów wiodących na Kreml i Łubiankę, ale całość została odmalowana jako wizja piekielnych kręgów obejmujących media, świat mody, celebrytów, kina, rynków finansowych, nauki, służb specjalnych i samych szczytów polityki zachodnich potęg. I tu oczywiście pojawia się Aleksandr Dugin, który niczym alchemik klecący najbardziej apokaliptyczne teorie głosi, że Epstein uosabia zgniły Zachód, bo zachodnia klasa rządząca to w sumie Epstein, a jego wyspa – to centrum niegodziwości. Inni zaś postanowili odwracać głowę w drugą stronę. „The New York Times” już ogłosił, że „Akta Epsteina nigdy nie powinny być ujawnione”.

Sprawie, która jest absolutnie szokująca, sporo tekstów poświęciła „Gazeta Wyborcza”. Ich treści są bardzo różne, ale pokazują konfuzję i dezorientację tego środowiska. Inaczej niż w przypadku ujawnianych, a czasem wręcz nakręcanych kampanii na temat skandali pedofilskich w Kościele katolickim. Wydawane wówczas sądy były surowe i kategoryczne. Jednoznacznie podważały sens istnienia Kościoła w obecnym kształcie i podpowiadały mu konieczność nieustannej reformy.



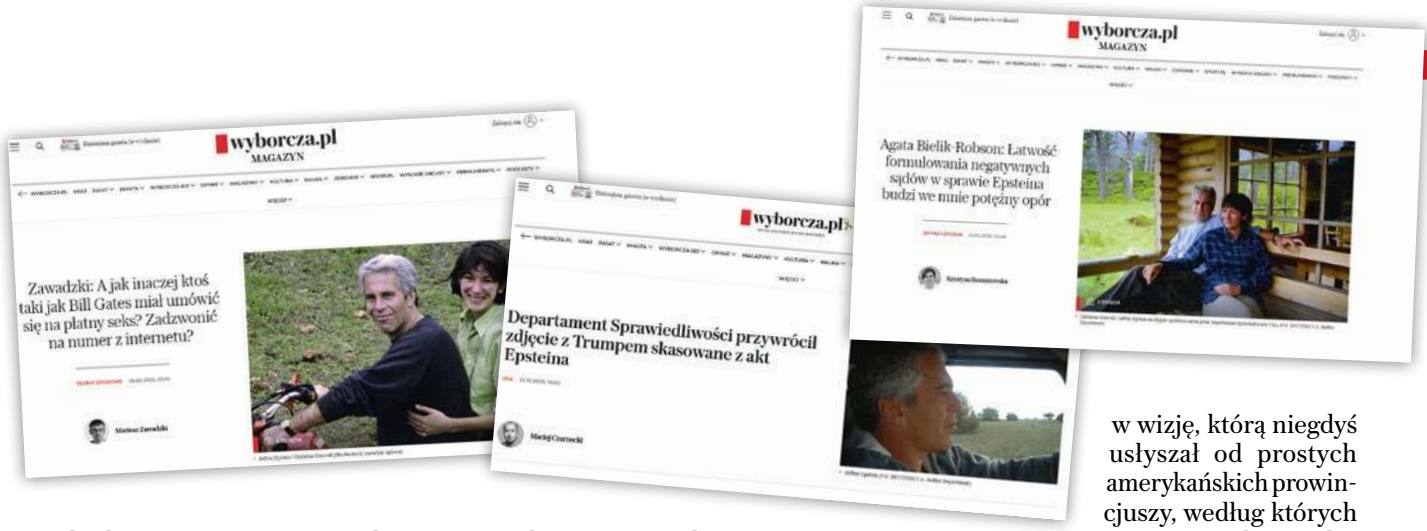
Fot. Brian Flannery, PacificCoastNews/East News

EPSTEIN I JEGO „KOLEGA TRUMP”

W sprawie Epsteina „Wyborcza” podąża za swoim nowojorskim oryginałem, relatywizując temat choćby dwuznacznymi tytułami i narzucając mętne interpretacje, m.in. takie, że to właściwie prawica jest uwikłana w proceder pedofilii, a teraz wraz Putinem prowadzi grę o władzę. Zasady tych zabiegów są proste: ustawić temat w odpowiednim kontekście, odpowiednio go odfiltrować, podkreślając jedne wątki, np. że Epstein to „kolega Trumpa”, a marginalizując inne, szczególnie dotyczące związków Epsteina z Izraelem, globalnymi elitami i Partią Demokratyczną. Tak ustalona agenda podpowiada opinii publicznej kierunek myślenia, a odpowiednio dobrane wątki, cytaty z milionów e-maili, potwierdzają tylko postawione tezy.

Ogólnie dla „Wyborczej” Epstein to przede wszystkim „kolega Trumpa”, „przyjaciel Trumpa”, a jeśli już był powiązany z rosyjskimi służbami i rosyjskim światem przestępczym, to tak samo jak „jego kolega Donald Trump”. Również prokurator Alexander Acosta, który w 2008 r. zgodził się, żeby skazać go wyłącznie za nakłanianie nieletniej

eprasa.pl 1c01a90050



osoby do prostytucji, znany jest głównie z tego, że przez dwa lata był „w administracji Trumpa". W końcu niezawodna Klementyna Suchanow podpowiada, że „od publikacji akt Epsteina nad europejską prawicą zawisł ponury cień".

Dziennik od dawna podążał tropem antytrumpowskiej propagandy, która już w czasie pierwszej kadencji nie ukrywała nadziei na wrobienie Trumpa w całą sprawę. To wtedy się okazało, iż jego rzekomymi najgorszymi wadami nie są „nacjonalizm", „populizm" i „konserwatyzm", które odróżniają go od amerykańskiego establishmentu, lecz te, które mają go z nim integrować.

EPSTEIN, CZYLI HISTORIA PRAWIE Z KOMIKSU

Mateusz Mazzini, socjolog i dziennikarz, po rozmowie z anonimowymi ludźmi ze świata służb specjalnych ocenił, że Epstein nie nadawał się na agenta, choć jego działalność właściwie przypominała pracę dużej i profesjonalnej agencji wywiadowczej. W innym miejscu uznał, że to najwyżej mężczyzna uzależniony od seksu i pieniędzy, który po prostu potrafił zadbać o dobrze prosperujący biznes. „Wpływowym ludziom, których miał okazję poznać, mówił to, co chcieliby usłyszeć" i „oferował im to, czego skrycie pragnęli", ale bali się powiedzieć. I w ten sposób czerpał profity, przy okazji wymieniając usługi z różnymi służbami. Mazzini uznał też, że tak duża liczba ujawnionych informacji jest niestrawna dla masowej, a więc przecież demokratycznej opinii publicznej i prędzej może się stać pożywką dla zwolenników teorii spiskowych, „wyznawców opowieści o jednej, spójnej, zintegrowanej globalnej elicie prowadzącej całą ludzkość do zagłady". Wobec tego prawda na ten temat jest nie do ustalenia.

Z innego tekstu wyłania się postać biednego żydowskiego dziecka z Brooklynu, które dzięki własnej ambicji, sprytowi i brakowi „kompasu moralnego" robi karierę niczym Karol Borowiecki z „Ziemi obiecanej". „Być może w podobny sposób swój majątek pomnażał Jeffrey Epstein, zanim na światło dzienne wyszły afery z wykorzystywaniem przez niego kobiet, także nieletnich" – pisał Andrzej Kublik. W inny miejscu stwierdził nawet, że ta historia to „pomieszanie nowoczesnej wersji amerykańskiego mitu o pucybucie, który został milionerem, i polskiej opowieści o karierze Nikodema Dyzmy".

A JEDNAK ZEPSUTA OLIGARCHIA

Tekst Mariusza Zawadzkiego, byłego korespondenta w USA, opatrzono natomiast tytułem: „A jak inaczej ktoś taki jak Bill Gates miał umówić się na płatny seks? Zadzwonić na numer z internetu?". Autor rzeczywiście przekonuje w nim, że nie wszyscy politycy przewijający się w tej sprawie są pedofilami, nie wszyscy wykorzystywali nieletnie dziewczęta, a Bill Gates „szef Microsoftu, filantrop ratujący życie milionom dzieci w Afryce", nie mógł od tak zadzwonić do prostytutek, ale poprosił o to „kulturalnego, dyskretnego, należącego do tego samego kręgu kawiarnianego erudytę". W innym miejscu przyznał jednak, że wielokrotnie „u cioci na imieninach, szczególnie po kilku głębszych" słyszał, jak biesiadujący opowiadali tę samą historię: że polityka jest bagnem, w którym politycy i milionerzy to dziwkarze, złodziejska klika okłamująca wszystkich dookoła. Że historia z Epsteinem i elitami idealnie wpasowuje się w wizję, którą niegdyś usłyszał od prostych amerykańskich prowincjuszy, według których światem rządzą „pedofilskie elity". Mimo myłącego tytułu autor przyznał w konkluzji tekstu, że sam naiwnie wierzył w złożoną pod koniec XX w. obietnicę zbudowania nowego, bardziej racjonalnego i sprawiedliwego świata, a dziś pozostaje mu tylko przeprosić wszystkich, którzy twierdzili, iż rządzi nim banda zepsutych zboczeńców i manipulatorów.

Zaskakujący tekst opublikowały Kasia Bielecka i Maria Korcz, które w żaden sposób nie zgadzały się na formułowanie narracji o „towarzyskim skandalu" i „aferze elit", gdyż – jak słusznie twierdziły – rozmywa to obraz popełnionych przestępstw i fakt bezkarności Epsteina. Co więcej, podkreślały istnienie systemowego mechanizmu tuszującego sprawę, co dziś ma potwierdzenie w tysiącach dowodów zebranych przez amerykański Departament Sprawiedliwości. Ten system – jak pisały – od lat umożliwia elitom gromadzenie „ekstremalnego bogactwa", które pozwala im prywatyzować wymiar sprawiedliwości oraz gwarantuje bezkarność. Również one przypomniały, że wcześniej takie opinie były klasyfikowane jako urojenia i teorie spiskowe. W ich ocenie to właśnie nadużycia i wielkie pieniądze w rękach nielicznych prowadzą do erozji systemów demokratycznych.

DYSTANS, CHŁÓD I NIE WYMIĘKAĆ

Skoro sprawa uwolniła demony populizmu i odsłoniła niemal pornograficzną prawdę o elitach, głos zabrała prof. Agata Bielik-Robson. Również wywiad, którego udzieliła, został zatytułowany wyjętym z niego cytatem: „Łatwość formułowania negatywnych sądów w sprawie Epsteina budzi we mnie potężny opór".

Fot. Screen wyborcza.pl

eprasa.pl 1c01a90050



Choć dotąd uważała, że o aferze warto raczej milczeć, to wobec tego, „jak się o niej mówi", zaapelowała, by narzucić jej własną interpretację, bo inaczej sprawa wymknie się spod kontroli. W jej wizji Epstein jest „ofiarą własnej megalomanii", która „pogubiła się we własnej grze" i której rola jest przeceniana przez maluczkich. Wobec wizerunkowego i systemowego impasu, w jakim znalazły się demokratyczno-liberalne elity Zachodu i cały polityczny porządek, nie powinno się brać udziału w budowaniu „podejrzanej narracji", którą będą się żywić polityczni przeciwnicy.

Prof. Bielik-Robson postanowiła po prostu przywołać wszystkich do porządku. Jej lodowata wykładania jest taka: żadna „nowa elita" nie będzie lepsza od starej – wszystkie podlegają demoralizacji, nie ma więc sensu jej wymieniać, a tego domagają się prawicowi populiści żerujący na naiwności mas, wymiana „brutalnego kapitalizmu, neoliberalizmu, demokracji liberalnej" to mrzonka. Zdaniem filozof system działa, a afera nie powinna się okazać pretekstem do „totalnej negacji świata późnej nowoczesności, późnego kapitalizmu". Proponuje więc, by zamiast stać się „grabarzami świata" i „niespełnionymi rewolucjonistami", wzbudzić w sobie „optymizm woli" i gorącą wiarę w demokratyczne wartości. A w ogóle to „zachowywać sceptycyzm", więcej „dystansu", nie żyć „w permanentnym stanie sensacyjnego napięcia", w końcu „przekłuć ten balon" i – co najważniejsze – mówić o wszystkim w taki sposób, by nie być „statystami w paranoicznej opowieści o totalnym upadku Zachodu". Ale są i pozytywy. Filozof przyznała – wbrew feministycznej wykładni historii – że „Zachód nie jest przesiąknięty kulturą gwałtu", jego historia nie jest wcale wyłącznie historią „kolonialnej przemocy", a globalizacja przyniosła złe owoce. Dobre i to. Przecież przez lata przekonywano, że jest odwrotnie.

KAŻDY MOŻE BYĆ „EPSTEINEM"?

Tymczasem z tej puszki Pandory, którą okazały się dostępne dokumenty, uwolnione zostały tajemnice globalnej oligarchii, jej przestępstwa, spiski, powiązania, zastępy polityków, głównie liderów amerykańskiej i brytyjskiej lewicy, od biznesowych rekinów aż do najbardziej antyamerykańskiego Amerykanina, filozofa Noama Chomsky'ego, który jeszcze w 2019 r. dobrotliwie radził Epsteinowi, by ignorował ujawniane stopniowo informacje na jego temat. Nie tylko z powodu ohydnych przestępstw, lecz także ze względu na niebezpieczne powiązania.

> Akta Epsteina odsłoniły zepsucie, bezkarność i wszechwładzę bogatej oligarchii. Degrengoladę przywołującą skojarzenia z czasami upadku imperium rzymskiego. Ale beneficjenci systemu nie przyjmują tego do wiadomości. Dlaczego? Bo żadna „nowa elita" nie będzie lepsza od starej

Tymczasem jeden z tekstów Mateusza Mazziniego zatytułowano „I ty mógłbyś być Epsteinem". Skoro tak, to raz jeszcze przypomnijmy, kim był Jeffrey Epstein. Wiadomo ponad wszelką wątpliwość, że przez lata pracował dla Izraela. Jego głównym kontaktem z tym państwem pozostawał były premier i minister obrony Ehud Barak. Epstein przyjął tę rolę, niejako zastępując w niej ojca swojej towarzyszki życiowej Ghislaine Roberta Maxwella. Człowieka tajemniczego, potentata prasowego oskarżanego o współpracę z KGB jeszcze przed upadkiem Związku Sowieckiego. Kobiecie zarzuca się, że pomagała w rekrutacji żywego towaru z Europy Wschodniej i była organizatorką całej sieci. Co ciekawe, dotąd nie postawiono jej zarzutów.

Wszystkich tych ludzi łączy fakt, że są Żydami, których korzenie tkwią w dawnych terenach Europy Wschodniej. Maxwell urodził się w Slatinskich Dolach na Zakarpaciu, krewni Epsteina pochodzili z Białegostoku, a rodzina Ehuda Baraka – z Litwy. „I ty mógłbyś być Epsteinem" – czytam w „Gazecie Wyborczej". Ciekawe, że właśnie na jej łamach.

* * *

Ujawnione informacje, nie do końca rozpoznane i zrozumiałe, są niewygodne nie tylko dla elit stojących na szczytach liberalno-demokratycznego systemu, lecz także dla każdego, kto wierzył w jego moralną siłę i traktował jako szczytowe osiągnięcie ludzkości. W którym demokracja, gwarancje wolności słowa i praworządności oferują masom dobrobyt, polityczną stabilizację, rządy prawa i równości wobec niego. Akta Epsteina odsłoniły jednak zepsucie, bezkarność i wszechwładzę bogatej oligarchii. Degrengoladę przywołującą skojarzenia z czasami upadku imperium rzymskiego. Beneficjenci systemu nie przyjmują do wiadomości, że właśnie to jest przyczyną postępującej destabilizacji demokracji.

Fot. Screen wyborcza.pl

eprasa.pl 1c01a90050

Demografia, czyli kultura



Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci", bije na alarm. Demograficzne dane Polski demonstrują skalę katastrofy. Zaczynamy wyludniać się w coraz gwałtowniejszym tempie. Demografowie łapią się za głowy: ten proces jest nie do odwrócenia. Czy możemy się mu przeciwstawić?



BRONISŁAW WILDSTEIN

Świat, w którym żyjemy, najprawdopodobniej nie jest zdeterminowany, a jeśli jest inaczej, to i tak nie potrafimy przewidzieć przyszłości. Historia potwierdza to w całej rozciągłości. Nie jesteśmy w stanie oszacować również wpływu własnych działań na losy naszego środowiska, co nie znaczy, że nie mają one znaczenia i mamy się ich wyrzec. I jakkolwiek nie znamy przyszłości, jesteśmy w stanie rozpoznać i analizować określone trendy, które ją kształtują. Nie wiemy, czy cywilizacja europejska definitywnie upadnie, ale potrafimy wskazać fenomeny, które do tego prowadzą. Kryzys demograficzny jest ich objawem.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1c01a90050

* * *

Żyjąc w tradycyjnych wspólnotach, mamy poczucie długiego trwania. Postrzegamy swój los jako element łańcucha pokoleń. Jesteśmy wdzięczni przodkom za świat, który pozwala realizować nam ludzkie kompetencje i czujemy odpowiedzialność wobec pokoleń, którym mamy go przekazać. Znikomość naszego indywidualnego życia zostaje przekroczona przez uczestnictwo w ciągu generacji, a z najbliższymi ich przedstawicielami, czyli swoimi rodzicami i dziećmi, odczuwamy szczególnie intensywną więź. Uczucie to pozwala wyjść poza samotność i ograniczenie osobniczego bytowania.

Stan taki łączy się z poczuciem ładu świata oraz jego świętości i ma religijny charakter. Wiąże się to z uznaniem religijnych, kulturowych, moralnych i etycznych zasad. Określają one ludzką egzystencję, która jak każda forma wyznaczona jest przez swoje limity.

* * *

Dominująca dziś ideologia emancypacji deklaruje chęć wyzwolenia człowieka z tych ograniczających go przecież kształtów. Negowane są tożsamości wspólnotowe jako partykularne i wykluczające. Tyle że to one pozwalają organizować nam ziemskie bytowanie, a odrzucenie ich nie tworzy harmonijnej ludzkości, lecz tłum samotnych, pozbawionych oparcia jednostek. Chrześcijaństwo odwołuje się do wspólnoty wszystkich ludzi jako bliźnich, ale uznaje także, że na ziemi funkcjonujemy w konkretnych zbiorowościach i w sposób naturalny uczestniczymy w porządku miłości. Wyznacza on hierarchię naszych związków od najbliższych nam po najbardziej odległe i splata je z naszymi sentymentami. Zasady obowiązują także wobec obcych, ale mają inny charakter niż te, które budują naszą rodzinną czy narodową więź. Ten, który deklaruje, że wszystkich kocha jednakowo, zwykle nie kocha nikogo.

Ideologia emancypacji, która postuluje uwolnienie nas od wszelkich cywilizacyjnych, a więc ludzkich ograniczeń jest niesiona przez kulturę wyrażającą takie same treści. Znane nam więzi mają być zastąpione wolnością samorealizującego się indywiduum. Szybko okazuje się, że wolność ta staje się swoim zaprzeczeniem, czyli uległością wobec popędów i bezbronnością wobec silnych. Jednostka wyzwolona ze wspólnoty nie ma żadnego oparcia wobec ośrodków władzy czy opinii. To bierny konsument towarów i idei.

Samorealizacja okazuje się pogonią za hedonistycznymi, doraźnymi spełnieniami, które nigdy ostatecznie nie mogą zostać zaspokojone.

* * *

Fundamentem społeczeństwa jest trwałość rodziny. Dominująca współcześnie kontrkultura robi wszystko, aby ją rozmontować. Przede wszystkim zmienia jej sens. Małżeństwo, które było trwałym związkiem, w którym kobieta i mężczyzna wobec najwyższego autorytetu, czyli Boga, lub od jakiegoś czasu już tylko wobec społeczeństwa podejmowali się wspólnie brać odpowiedzialność za siebie i potomstwo, dziś staje się kontraktem służącym zaspokojeniu doraźnych, głównie seksualnych potrzeb. Może wiązać osoby tej samej płci i pozostaje pytanie, dlaczego ma mieć monogamiczną formę. Nacisk na powołanie tzw. związków partnerskich oznacza, w punkcie wyjścia, akceptację ich prowizorycznego charakteru i prowadzi do likwidacji tradycyjnego małżeństwa, a więc i rodziny.

> Państwo coraz mocniej wkracza w relacje między rodzicami a dziećmi, czego efektem nie jest leczenie deformacji, ale deformacja wychowawczego procesu

W nowoczesnej kulturze nie jest przedstawiana ona zgodnie z prawdą jako optymalne środowisko dla wychowania człowieka, ale jako instytucja niebezpieczna, siedlisko patriarchalizmu, a nawet patologii. Fakt, że rodzina jak każda ludzka instytucja narażona jest na aberracje, nijak się ma do jej obrazu we współczesnej kulturze masowej, a w rezultacie także w prawie. Ma to konsekwencje w podważeniu jej autonomii, a więc i szacunku, z jakim winna być wiązana. Państwo coraz mocniej wkracza w relacje między rodzicami a dziećmi, czego efektem nie jest leczenie deformacji, ale deformacja wychowawczego procesu.

* * *

Rodzenie i wychowywanie dzieci, jak wszystko, co wartościowe wiąże się z wyrzeczeniami. W narcystycznej kulturze samorealizacji nie ma na nie miejsca. Kult wolności jako odrzucenia obowiązków powoduje, że kobiety nie mogą liczyć na partnerów, ich pomoc w trudniejszym położeniu. Potrzeba „samospełnienia" może skłaniać ich do eksploracji nowych relacji. Trudno się dziwić, że w tym stanie rzeczy kobiety dużo rzadziej decydują się na rodzenie i wychowywanie dzieci, gdyż zwłaszcza w pierwszym okresie ich życia podstawowy ciężar dbałości o nie spada na matkę. Trudy te były łatwiejsze do niesienia, gdy przeciwwagą ich była sakra macierzyństwa, aktu powołania do życia, które samo w sobie musi nieść, jeśli ma być szanowane, wymiar świętości. Nowoczesna mentalność takie podejście ze wszech miar dezawuuje i ośmiesza. Wzniosłość wyrzeczenia, która otwiera perspektywy niepojęte dla nowoczesnych prostaków jest przez nich wyszydzana. Po co dziecko, kiedy psiecko jest łatwiejsze w obsłudze i radykalnie redukuje zobowiązania.

* * *

W dominującym nurcie kultury, zwłaszcza masowej, miłość to namiętność, a ta wypala się stosunkowo szybko, ktoś, kto decyduje się pozostać w związku pomimo jej więdnięcia, jest zwykle przedstawiany jako hipokryta, który nie żyje „autentycznie". Autentyzmem i wolnością okazuje się bezwolne, animalne podążanie za popędem, do którego sprowadzona zostaje miłość. Przekształcanie jej w trwały związek rozumiejących się, czyli bliskich sobie małżonków jak wszystko, co naprawdę

eprasa.pl 1c01a90050

ważne, wymaga pracy i poświęcenia. We współczesnej kulturze postawa taka karykaturowana jest jako mieszczańskie filisterstwo.

* * *

Panujący dziś feminizm kwestionuje naturalne zróżnicowanie płci, a więc komplementarne role społeczne i w efekcie narzuca kobiecie męski projekt „samorealizacji". Ma ona ścigać się z mężczyznami w zawodowej karierze. Kobiety, które poświęcają się dzieciom i domowi, są deprecjonowane jako ofiary patriarchalnego (narzuconego przez mężczyzn) etosu. Są one „nieczynne" zawodowo, a państwo – wszystko jedno, czy zarządzane przez lewicę, czy prawicę – ma zrobić wszystko, aby zmienić ten stan rzeczy.

Duża część kobiet, która przyjmuje feministyczny model zgodnie z mechanizmem resentymentu, agresywnie reaguje na tradycyjne role matki i żony. Można uznać to za efekt stłumienia naturalnych postaw. Stąd bierze się lewicowe przesunięcie młodych kobiet, o którym na naszych łamach pisał Grzegorz Górny.

Pogodzenie roli matki i równoprawnej konkurentki do zawodowych sukcesów jest prawie niemożliwe. Efekty obserwujemy w demograficznych statystykach.

* * *

Prześlizguję się tylko po kluczowych przyczynach demograficznej zapaści, bowiem rozpoznanie ich wymagałoby analizy stanu kultury współczesnej. Zjawiska te dotyczą całego materialnie rozwiniętego świata, który przyjął liberalny model rozwoju bez względu na odmienność kulturowych fundamentów. Katastrofa demograficzna objęła Japonię czy Koreę Południową. Można zastanawiać się, na ile zabezpieczenie podstawowych potrzeb i usunięcie zagrożeń nie prowadzi do degeneracji gatunku ludzkiego, co oznaczałoby dużo większe biologiczne zdeterminowanie człowieka niż zwykliśmy współcześnie przyjmować. Inna sprawa, że reprezentanci panującej dziś mentalności, którzy deklarują się jako naturaliści, czyli postrzegają ludzką rzeczywistość wyłącznie w jej materialnym, a zatem biologicznym kształcie, w swoim podejściu do człowieka (np. w kwestii płci) zaprzeczają takiemu ujęciu w całej rozciągłości. No, ale nie miejsce tu na analizę sprzeczności dominującej dziś ideologii.

Można jednak przyczyn obecnego stanu szukać w fetyszu merkantylnego sukcesu, który wyznacza rozwój zachodniej cywilizacji. To, że nie musi ona tak wyglądać, pokazują jej wcześniejsze etapy.

* * *

Kryzys demograficzny, który przeradza się w katastrofę, powoduje, że zaczyna dostrzegać go coraz większa liczba polityków. Część lewicy opętana ojkofobią widzi w tym szansę na „wielką wymianę" – gdzie indziej traktując ją jako rasistowską teorię spiskową – która spowoduje zastąpienie zachodniej cywilizacji wielokulturową mieszaniną. Mniej odklejeni od rzeczywistości widzą jednak, że ten projekt ani nie działa, ani działać nie może, a kryzys demograficzny to recepta na załamanie się znanej nam cywilizacji i wyrastającego z niej społecznego systemu. Sęk w tym, że działania polityczne, powierzchowne wobec wskazanych tu głębokich przyczyn, nie przynoszą i raczej przynieść nie mogą znaczących efektów. Chyba najbardziej wymowna jest porażka przeprowadzonych na największą skalę prób zaradzenia kryzysowi demograficznemu w Korei.

> Fundamentem społeczeństwa jest trwałość rodziny. Dominująca współcześnie kontrkultura robi wszystko, aby ją rozmontować

Walkę z problemem utrudniają jego fałszywe interpretacje. Najczęściej słyszymy, że wyrasta on z kłopotów ekonomicznych, co pokazuje tylko ograniczenie naszego postrzegania, gdyż sprawa dotyczy krajów najbogatszych, a nie biednych. Naturalnie nie oznacza to, że określone bodźce ekonomiczne nie mogą mieć doraźnego znaczenia. Politycy w krajach demokratycznych, gdzie kryzys występuje, mają znikome możliwości wpływu na tego typu głębokie zjawiska. Niemniej skoro przyczyny są kulturowe, to działania zaradcze także winy być nastawione na kulturę.

* * *

Demokratyczni politycy chcą prezentować widome efekty swoich przedsięwzięć, do których mogą odwołać się w kolejnych wyborach. A działania na niwie kultury nigdy takie nie są. Rojenia o polskiej wielkiej produkcji filmowej, która podbije świat, są nonsensem, gdyż sukcesu takiego nie sposób zaplanować. Konserwatyści muszą skupić się na budowie odmiennego od tego, który panuje dziś kulturowego środowiska. Powinni kreować, wspierać i propagować wartościowe środowiska, które przeciwstawią się dominującemu obecnie lewicowemu idiomowi. Należy odbudować uniwersytety i ośrodki edukacyjne, zawojowane współcześnie przez kontrkulturę. Działania takie przyczynią się do powstania konkretnych dzieł, ale nie sposób przewidzieć ich terminów.

To program na pokolenia, tak jak pokolenia trwał marsz przez instytucje i zdobywanie w nich hegemonii przez lewicę. Nie wygląda on atrakcyjnie dla polityków poszukujących natychmiastowych osiągnięć. Ale bez takiej perspektywy prawica poważnie traktująca zadanie obrony cywilizacji skazana jest na klęskę.

Jesteśmy świadkami, również w Polsce, odradzania się niezależnych ośrodków myśli i sztuki. Politycy winni je wspierać. Przede wszystkim jednak muszą zdobyć się na odwagę, którą zademonstrował Donald Trump i nie dotować antykulturalnych przedsięwzięć, które prowadzą do obecnego kryzysu bez względu na to, do jak podniosłych haseł odwoływałyby się i z jak szacownej tradycji, której zaprzeczają współcześnie, wyrastały.

Nie chcę w żadnym wypadku deprecjonować inicjatyw takich jak naszego naczelnego. Mają one wielkie znaczenie, choćby przez odsłonięcie głębi problemu. Bez gruntownej zmiany kulturowej nie mają one jednak wielkich szans.

eprasa.pl 1c01a90050

Urban uśmiecha się z piekła

Dwa medialne wydarzenia, z którymi polska opinia publiczna miała do czynienia w ostatnich tygodniach, unaoczniają, jaka jest kondycja salonu III RP oraz jego strategia na czas polityczny i społeczny, w którym znalazła się Polska



GORAN ANDRIJANIĆ

Pierwszym jest reakcja na wywiad udzielony TVN 24 przez pierwszą damę. W szczerej rozmowie Marta Nawrocka zaprezentowała się jako żona i matka trójki dzieci, kobieta o poglądach konserwatywnych, dla której rodzina jest główną wartością i sensem życia, co nie przeszkadza jej realizować się zawodowo. Jako kobieta, która zaszła w ciążę w wieku nastoletnim, jasno dała do zrozumienia, że jest przeciwna aborcji. Udzieliła wywiadu stacji, która prezentuje koncept liberalizmu i „postępu" kompletnie przeciwny do jej wartości. Wbrew temu zgodziła się na rozmowę i odważnie (może była zestresowana, ale to kompletnie zrozumiałe) mówiła o rzeczach, które są dla niej ważnie.

Jaka była reakcja establishmentu? Okazała się nią lawina nienawistnych komentarzy, w których żona prezydenta była obrażana na wszelkie możliwe sposoby – kazano jej milczeć, nazywano ją „dziewczyną z bloku" (co autorzy tego typu określeń uważają za najgorszą obelgę), wyśmiewano jej poglądy, a także wygląd, pokazywano ją jako półwykształconą i nieinteligentną. Komentarze były przesiąknięte klasizmem, a także dobrze znanym poczuciem wyższości, którym salon III RP karmi się od lat. Nawrocką obrażano tylko z jednego powodu – ponieważ była wierna temu, kim jest, co ją ukształtowało i nie wstydziła się tego okazywać.

KSIĄDZ Z SALCESONEM

Drugie wydarzenie jest związane ze skandaliczną reklamą, którą lewicowo-liberalny portal OKO.press promuje swoje treści i zaprasza czytelników do oddawania na jego działalność 1,5 proc. podatku. W tym haniebnym spocie można zobaczyć osobę ubraną w sutannę, która trzymając w ręce salceson, udaje odprawianie egzorcyzmu nad „demonem wegetarianizmu". W tym momencie jakaś ręka z ciemności wręcza szalonemu „kapłanowi" torebeczkę zawierającą, jak domyślają się widzowie, jakieś pieniądze. On z satysfakcją waży je i rzuca salcesonem.

„Niektórzy księża skrywają wiele tajemnic. Gdyby nie było OKO.press, część z nich nigdy nie wyszłaby na jaw. Poznaj historię oraz przewinienia księdza z salcesonem i przekaż 1,5 proc. podatku na OKO.press. Odkryjemy więcej" – słyszymy w końcówce spotu.

Oczywiście cała ta kampania nienawiści jest skierowana przeciwko ks. Michałowi Olszewskiemu, oskarżanemu o rzekome nieprawidłowości w finansowaniu jego fundacji Profeto pieniędzmi z Funduszu Sprawiedliwości. Jak każda kampania nienawiści, również ta bazuje na manipulacjach i półprawdach. Słynna i manipulacyjna historia o „egzorcyzmie salcesonem" jest próbą trywializacji Olszewskiego jako księdza katolickiego i przedstawienia go jako fanatyka. Jednocześnie oskarżenie, które można wyczytać z reklamy, że duchowny brał łapówki dla osobistych korzyści, jest szczytem cynizmu i kłamstwa. Takiego



Fot. Screen OKO.press x 2

eprasa.pl 1c01a90050

oskarżenia nie ma nawet w samym akcie prokuratury. Co więcej, ten proces trwa, jest dopiero na etapie początkowym, a OKO.press już wydało wyrok na niekorzyść księdza i uznało go winnym, co stoi w całkowitej sprzeczności z zasadą domniemania niewinności – prawem gwarantowanym zarówno przez prawo polskie, jak i międzynarodowe.

„Szczują na księży całkiem jak niemieccy naziści na Żydów w latach trzydziestych ubiegłego wieku" – komentował spot w sieciach społecznościowych publicysta Cezary Krysztopa. „Urban patrzy z piekła i podziwia" – napisał polityk Paweł Jabłoński z PiS. Były minister sprawiedliwości ma rację.

POLITYCZNY I INTELEKTUALNY MONOPOL

Takie kampanie, jak ta prowadzona przez OKO.press, albo ta, którą rozpętały liberalne media po wywiadzie pierwszej damy, rzeczywiście podążają śladami tego, co kiedyś robił Jerzy Urban, główny propagandzista reżimu komunistycznego. Nie chodzi o to, że ci, którzy projektują i prowadzą takie kampanie, są bezpośrednimi spadkobiercami politycznymi mentalności PZPR i jej propagandzistów. Im chodzi o coś innego – o sposób myślenia, który za wszelką cenę chce usunąć z przestrzeni publicznej wszystko, co wiąże się z tradycyjnymi wartościami, wiarą katolicką oraz konserwatywnym pojmowaniem człowieka i jego miejsca w świecie.

Lewicowo-liberalny establishment w Europie od dziesięcioleci próbuje zawęzić przestrzeń debaty publicznej i określić wszystkie reguły, według których ma się ona odbywać. Polska nie jest tutaj wyjątkiem. Co więcej, w kontekście byłych państw komunistycznych Europy Środkowej jest to prawdopodobnie najbardziej dobitny przykład tego, jak przebiega ten proces i jak ważne pozostaje, by mu się przeciwstawiać.

Chodzi o polityczny i intelektualny monopol, który pewne siły próbują wprowadzić przede wszystkim w instytucjach Unii Europejskiej, a następnie w państwach członkowskich. Jak wyjaśnił mi kiedyś prof. Ryszard Legutko w wywiadzie dla chorwackich mediów, dziś mamy pewność, że europejskimi instytucjami rządzi konglomerat określonych partii politycznych i ideologii. „Można powiedzieć, że to monopol partyjny. Nie jest on absolutny, ale wciąż jest monopolem, i to z lewicowo-liberalną agendą. Systematycznie starają się zniszczyć siły konserwatywne w Unii. Wszystkie te instrumenty, które zostały stworzone w celu obrony »rządów prawa«, miały ten cel i były wykorzystywane w Polsce właśnie z całkowitą negacją tego prawa, za co nikt do tej pory nie został pociągnięty do odpowiedzialności" – powiedział mi profesor.

> Ta kampania nienawiści jest skierowana przeciwko ks. Olszewskiemu, oskarżanemu o rzekome nieprawidłowości w finansowaniu jego fundacji Profeto pieniędzmi z Funduszu Sprawiedliwości. Jak każda kampania nienawiści, również ta bazuje na manipulacjach

SIEWCY HEJTU

Właśnie z tego dążenia do ustanowienia monopolu wynika potrzeba wyeliminowania każdego, kto przeszkadza w sensie politycznym, intelektualnym lub duchowym. Dążenie do eliminacji społecznej jest widoczne w reakcjach na rozmowę pierwszej damy, w obrażaniu jej i poglądów, które prezentuje. Jest widocznie w podobny sposób także w procesie kompletniej dehumanizacji księdza katolickiego, oskarżonego w sprawie przypominającej klasyczną nagonkę polityczną.

Takie zadania są powierzane „siewcom hejtu". Niektórzy z nich pozostają anonimowi, jak internetowi trolle skupieni wokół Romana Giertycha i jego sekty Silni Razem. Inni to osoby publiczne, jak pisarka Manuela Gretkowska czy socjolog Radosław Markowski, którzy za swoje obelgi pod adresem Polaków myślących inaczej niż oni otrzymują szczególne miejsce w systemie dystrybucji prestiżu. Wszystkich ich łączy jedno – nienawiść jako model funkcjonowania w społeczeństwie i potrzeba dominacji w nim.

– Polski liberalny establishment nie różni się od podobnych środowisk w innych krajach – mówi mi redaktor naczelny „Tygodnika Solidarność" Rafał Woś, który sam w swojej karierze kilka razy poczuł, jak to jest być na celowniku elit III RP. – Wszędzie ten establishment rości sobie prawo do politycznego monopolu i pełni władzy. Wszyscy, którzy mają realne szanse im zagrozić, są zwalczani. To się dzieje na polu politycznym, ale przecież sfera symboliczna jest podstawą każdej polityki. Konserwatyści są we współczesnym świecie jedyną grupą, która stawia liberalnemu hegemonowi realny opór. Co więcej, coraz częściej okazuje się, że konserwatyści mieli rację w wielu kluczowych kwestiach – migracji, klimatu czy fatalnych konsekwencji dla demografii zeświecczenia społeczeństw. To czyni z konserwatystów jeszcze groźniejszego wroga – tłumaczy Woś.

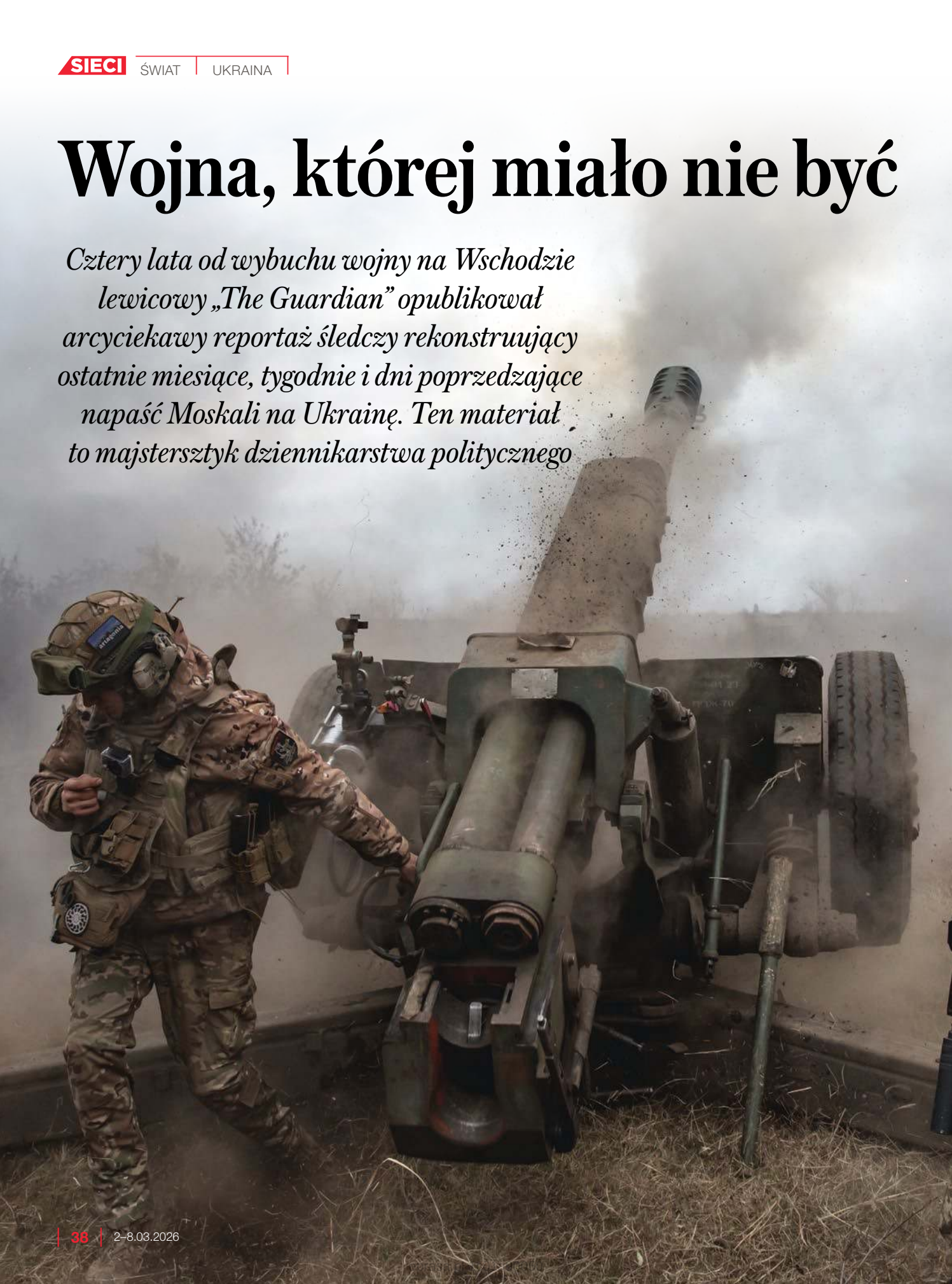
To, co się dzieje w Polsce w ciągu ostatnich 10 lat, jest przebudzeniem pewnego rodzaju oporu wobec tego monopolu, co było widoczne w politycznych triumfach Lecha Kaczyńskiego, PiS, Andrzeja Dudy i Karola Nawrockiego. – Dlatego konserwatyści są z jeszcze większą furią wypychani, izolowani, wyśmiewani, demonizowani i niszczeni – mówi Woś. – W przestrzeni publicznej, którą kontrolują liberałowie, nie może być dla nich miejsca. Skończył się już nawet czas koncesjonowanej konserwy w mainstreamie. Trwa walka o pełną stawkę.

Rzeczywiście, może to być bardzo poważna gra polityczna. Machina nienawiści i polaryzacji, którą Donald Tusk uruchomił jakieś 20 lat temu, działa pełną parą. Ale Polska – podobnie jak cały świat zachodni – jest daleka od monopolu, którego pragnie establishment. To ciągła walka i warto się w nią zaangażować.

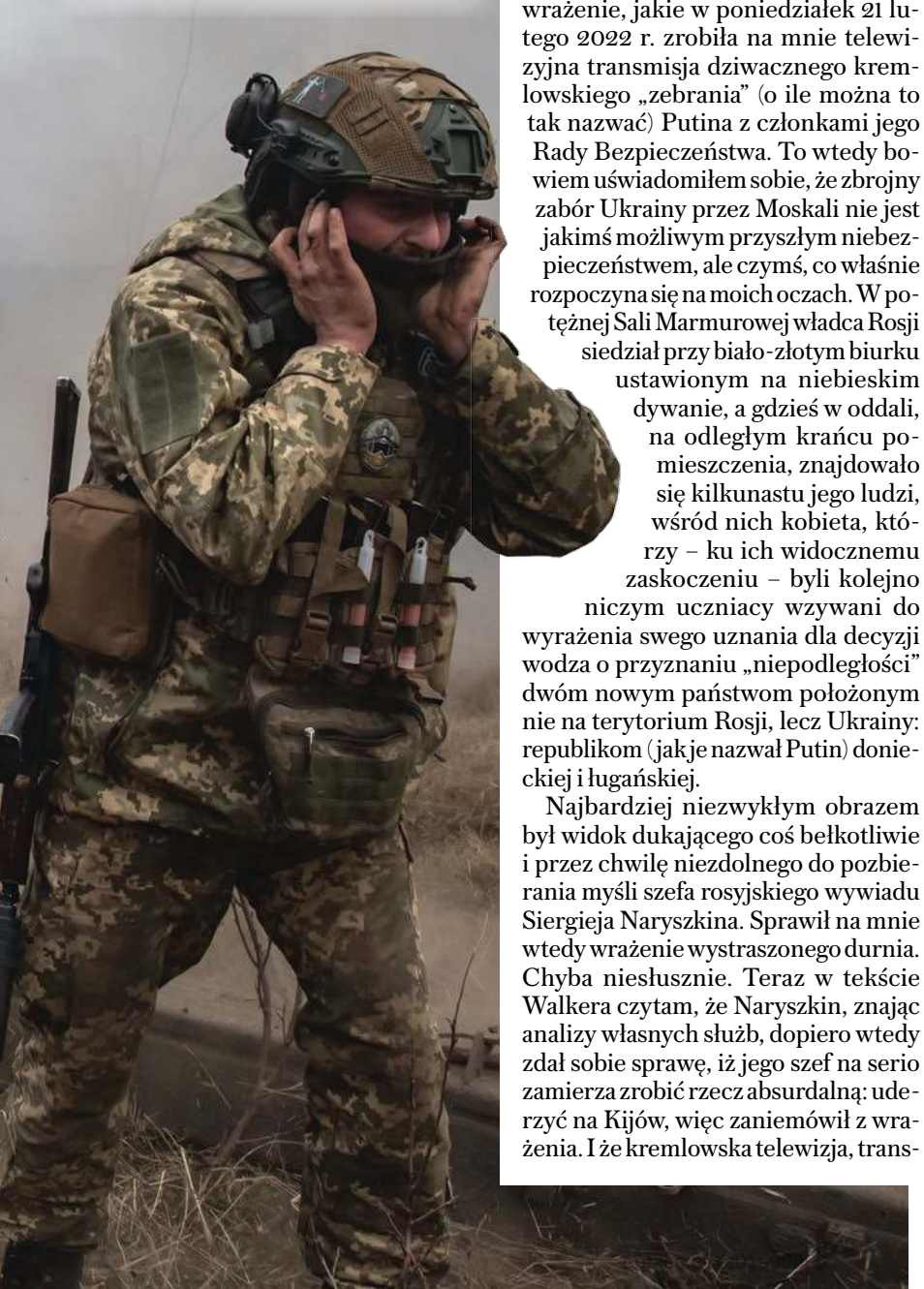
eprasa.pl 1c01a90050

Wojna, której miało nie być

Cztery lata od wybuchu wojny na Wschodzie lewicowy „The Guardian” opublikował arcyciekawy reportaż śledczy rekonstruujący ostatnie miesiące, tygodnie i dni poprzedzające napaść Moskali na Ukrainę. Ten materiał to majstersztyk dziennikarstwa politycznego



Shaun Walker, dziennikarz długo mieszkający w Rosji, dobrze znany także w Warszawie (autor wydanej przez Wydawnictwo Poznańskie książki „Na ciężkim kacu. Nowa Rosja Putina i duchy przeszłości") musiał długo pracować nad tym tekstem, bo też żadna inna tak dokładna, a zarazem wiarygodna relacja zdarzeń tamtego czasu dotąd się nie ukazała. Udało mu się skłonić do rozmowy przeszło setkę oficerów wywiadu, dyplomatów i wojskowych z Ukrainy, a także z USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Niemiec, Polski, a nawet Rosji, których opowieść złożyła się w spójny obraz zdarzeń. Ten materiał to majstersztyk dziennikarstwa politycznego. Jego wartość polega nie tyle na jakichś rewelacjach, które dopiero teraz zostałyby odkryte, zmieniając znany nam z grubsza obraz zdarzeń, ile na pokazaniu kluczowych w tamtym czasie aktorów politycznych w działaniu – jak stąpali we mgle, ignorowali fakty, uparcie trzymali się przesądów i w efekcie wszyscy pomylili się w swoich rachubach. Wszyscy bez wyjątku, choć niekoniecznie w taki sam sposób.





JAN ROKITA

ODPRAWA PRZED ATAKIEM

Mimo upływu czterech lat pamiętam wrażenie, jakie w poniedziałek 21 lutego 2022 r. zrobiła na mnie telewizyjna transmisja dziwacznego kremlowskiego „zebrania" (o ile można to tak nazwać) Putina z członkami jego Rady Bezpieczeństwa. To wtedy bowiem uświadomiłem sobie, że zbrojny zabór Ukrainy przez Moskali nie jest jakimś możliwym przyszłym niebezpieczeństwem, ale czymś, co właśnie rozpoczyna się na moich oczach. W potężnej Sali Marmurowej władca Rosji siedział przy biało-złotym biurku ustawionym na niebieskim dywanie, a gdzieś w oddali, na odległym krańcu pomieszczenia, znajdowało się kilkunastu jego ludzi, wśród nich kobieta, którzy – ku ich widocznemu zaskoczeniu – byli kolejno niczym uczniacy wzywani do wyrażenia swego uznania dla decyzji wodza o przyznaniu „niepodległości" dwóm nowym państwom położonym nie na terytorium Rosji, lecz Ukrainy: republikom (jak je nazwał Putin) donieckiej i ługańskiej.

Najbardziej niezwykłym obrazem był widok dukającego coś bełkotliwie i przez chwilę niezdolnego do pozbierania myśli szefa rosyjskiego wywiadu Siergieja Naryszkina. Sprawił na mnie wtedy wrażenie wystraszonego durnia. Chyba niesłusznie. Teraz w tekście Walkera czytam, że Naryszkin, znając analizy własnych służb, dopiero wtedy zdał sobie sprawę, iż jego szef na serio zamierza zrobić rzecz absurdalną: uderzyć na Kijów, więc zaniemówił z wrażenia. I że kremlowska telewizja, transmitująca wydarzenie na cały świat, nie pokazała już tego, iż wśród ludzi Putina był także inny doradca, Dmitrij Kozak, który miał więcej odwagi niźli Naryszkin i powiedział wprost, że inwazja na Kijów to plan wielkiej katastrofy.

Putin był pierwszym, który się pomylił. Racja była po stronie tych, którzy uznawali pomysł ataku na Kijów za absurd. Jack Sullivan, doradca ds. bezpieczeństwa prezydenta Joe Bidena, mówi Walkerowi, że już pod koniec listopada 2021 r., po nietypowej wizycie w Moskwie szefa CIA Williama J. Burnsa, którego Putin nie przyjął, ale porozmawiał z nim przez telefon, Amerykanie uzmysłowili sobie, iż moskiewski tyran „jest całkowicie skoncentrowany na przejęciu Kijowa". Putin rozmawiał o tym ze swoimi wojskowymi, którzy (jak można przypuszczać) nawykli do wykonywania rozkazów otrzymanych na Kremlu. Ani Siergiej Ławrow, ani Dmitrij Pieskow – czyli dwaj ludzie będący twarzami rosyjskiej polityki zagranicznej – nie byli uczestnikami wojennej konspiracji. Kazano im tylko uzasadniać wojnę, gdy się już rozpoczęła.

TAJNY SZYFROGRAM DO AMBASADORA

Wśród tych, którzy nie byli zdolni uwierzyć, iż Putin może zrobić coś równie absurdalnego, był ówczesny szef polskiego wywiadu płk. Piotr Krawczyk. Walker relacjonuje, iż nasze służby dysponowały dobrą oceną stanu rosyjskich sił zgrupowanych na Białorusi, które miały wejść do Kijowa od północy, najkrótszą drogą. Nie było tam dość paliwa i amunicji, a większość żołnierzy stanowili niewyszkoleni rekruci. Krawczyk – jak każdy analityk dysponujący takimi informacjami – powiedział ponoć Amerykanom: „To ustawka, która ma odciągnąć uwagę od prawdziwego ataku w Donbasie".

Fot. Shutterstock

Miał rację jako analityk, zakładając (chyba podobnie jak Naryszkin i Kozak na Kremlu), iż moskiewski atak na Kijów jest źle przygotowany, więc nie mógłby się udać. I tak się potem stało. Ale pomylił się w prognozowaniu zamiarów Putina.

Kim zatem powinien być idealny szef wywiadu? Chłodnym i inteligentnym analitykiem z rozległą wiedzą fachową czy raczej wykwalifikowanym psychoterapeutą, potrafiącym rekonstruować zwichrowane przebiegi myśli obcych tyranów?

Co prawda polski wywiad mylił się, gdy idzie o zamiary Putina, ale przynajmniej korygował swoje mniemania pod wpływem faktów. Nie dowiadujemy się dokładnie, jakie informacje przesądziły, iż polski ambasador na Ukrainie Bartłomiej Cichocki otrzymał jednak z Warszawy szyfrogram, powiadamiający go, iż w nocy z 23/24 lutego Moskale ruszą na Kijów. Pewnie w Warszawie uwierzono w końcu Amerykanom, którzy dysponowali zdjęciami zagonów pancernych stojących na granicach w szyku bojowym oraz agenturalnie przejęli dokumenty moskiewskiego Głównego Zarządu Operacyjnego armii, gdzie powstawały wojskowe plany ataku. Cichocki miał więc jeszcze czas, aby w polskiej ambasadzie zniszczyć to, co nie powinno się było dostać w ręce Moskali, w tym z hukiem rozwalić (tak relacjonuje Walker) polską maszynę do szyfrowania depesz. Bo polski wywiad i rząd tak samo jak CIA i prezydent Biden miały pewność, że Kijów rychło padnie pod ciosami Moskali.

Tu właśnie w ówczesną polską logikę wkrada się zagadkowy brak konsekwencji. No bo niby jak? Skoro dotąd uważano, iż Moskale nie mogą ruszyć na ukraińską stolicę, bo są do tego źle przygotowani i ponieśliby porażkę, to gdy się już okazało, że jednak mimo to ruszą, dlaczego nagle tak łatwo uznano nieuchronność upadku Kijowa, a wraz z nim państwowości ukraińskiej? Być może (to już moja spekulacja) kiedy w Warszawie przekonano się, iż ostrzeżenia Amerykanów, uporczywie formułowane od listopada 2021 r., są jednak zasadne, to przyjęto z dobrodziejstwem inwentarza całą amerykańską logikę, zakładającą błyskawiczny upadek Ukrainy w razie inwazji.



> Cichocki miał jeszcze czas, aby w polskiej ambasadzie zniszczyć to, co nie powinno się było dostać w ręce Moskali, w tym z hukiem rozwalić polską maszynę do szyfrowania depesz

AMERYKA MIAŁA RACJĘ I SIĘ MYLIŁA

Dwie relacje ukraińskich polityków przywoływane przez Walkera są poruszające. Pierwsza z listopadowej wizyty ówczesnego szefa ukraińskiego MON Ołeksija Reznikowa w Pentagonie u sekretarza obrony Lloyda Austina. Ukraiński minister słuchał tam ostrzeżeń i oglądał dowody wskazujące na rychłą inwazję na Kijów, aż w końcu zadał pytanie: „No dobrze, to dostarczycie nam broń konieczną do obrony?". I usłyszał wtedy zimną odpowiedź: „To absolutnie wykluczone". Relacja druga, nieco późniejsza, z 22 lutego 2022 r., pochodzi od szefa ukraińskiego MSZ Dmytra Kułeby, który przebywał akurat w Ameryce i nieoczekiwanie, bez przygotowania, został zaprowadzony do gabinetu Bidena. Kułeba wspomina: „Żegnał się wtedy ze mną i również z narodem ukraińskim".

Dwa dni przed wybuchem wojny ekipa Bidena była przekonana o upadku Ukrainy i nie zamierzała temu przeciwdziałać. Te dwie relacje złożone Walkerowi są w gruncie rzeczy oskarżeniem polityki amerykańskiej nie tylko o łatwość „pożegnania z Ukrainą", lecz przede wszystkim o błąd w ówczesnych rachubach. Amerykanie ostrzegali Ukrainę i świat, że atak na Kijów nastąpi tuż-tuż, ale nie wiadomo, czemu miały służyć te ostrzeżenia, skoro i tak nie zamierzali ratować Ukrainy.

Parę miesięcy później, gdy Ukraina przetrwała pierwsze uderzenie, wszystko miało się oczywiście odmienić. Ale nim wojna wybuchła, Ameryka jednocześnie miała rację i kompletnie się myliła. Z perspektywy czasu trudno nawet rozstrzygnąć, co było wtedy politycznie ważniejsze: czy to, że w Waszyngtonie istniała pewność inwazji na Kijów (amerykańska racja), czy to, że uznano Ukrainę za państwo papierowe, które musi się rozpaść jak domek z kart (amerykański błąd)?

KOMPROMITACJA FRANCUZÓW I NIEMCÓW

W każdym razie o ile w Warszawie korygowano prognostyczne błędy jeszcze przed wybuchem wojny, o tyle ślepa wiara w pokojowe intencje Putina pa-

eprasa.pl 1c01a90050

nująca w Paryżu i Berlinie przeszła do dziejów dyplomatycznej głupoty. Żaden amerykański dowód, nawet szczegółowe dane o zaplanowanym desancie Moskali na kijowskim lotnisku Hostomel oraz o ekipie morderców wyruszających, aby dopaść Zełenskiego, nie były w stanie obalić francusko-niemieckich przesądów na temat Rosji.

Od listopada 2021 r. z Waszyngtonu do Europy przylatywali różni dygnitarze tylko po to, aby zasiać wątpliwość w umysłach Francuzów i Niemców. Zawsze słyszeli tę samą odpowiedź: „A po cóż Putin miałby to robić?". Jeszcze 7 lutego 2022 r. prezydent Emmanuel Macron dyskutował na Kremlu z Putinem przy tym sławetnym absurdalnie długim stole, po czym obwieścił: „Putin zapewnił mnie, że Moskwa nie będzie eskalować napięcia". Tylko francuskie szaleńcze przesądy na temat Rosji mogą z perspektywy czasu wyjaśniać coś równie absurdalnego i kompromitującego dla polityka, niezmiennie do dziś traktowanego jako wielki europejski mąż stanu.

Nielepsi byli Niemcy. Tragiczny w swej wymowie reportaż Walkera zawiera wątek komiczny, z premedytacją tak zresztą potraktowany przez autora. To historia wyprawy szefa niemieckiego wywiadu Brunona Kahla do Kijowa, który przekonany o pokojowych zamiarach Moskwy, odrzucił ostrzeżenia płynące już wtedy nie tylko z Waszyngtonu, lecz także z Warszawy, i 23 lutego 2022 r. wieczorem przyleciał do Kijowa z tajną misją. Ze stolicy Ukrainy w pośpiechu wyjechali już prezydenci Polski i Litwy, ostatni zagraniczni politycy odwiedzający Zełenskiego, a nawet definitywnie ewakuowała się resztka niemieckiej ambasady. Kahl odmówił jednak wyjazdu z Kijowa, mimo nacisku ze strony dyplomatów własnego kraju, i nieświadom tego, co się dzieje wokół, poszedł spokojnie spać w jakimś luksusowym kijowskim hotelu. Efekt był śmieszny, bo następnego dnia w żaden sposób nie mógł się wydostać z obleganego miasta, więc ewakuowali go do Polski oficerowie polskich służb, którzy wraz z polskim ambasadorem pozostali w ukraińskiej stolicy. Zdaje się, że niemiecki wywiad nie uwierzył nawet własnemu rządowi przekazującemu wieści o nadchodzącej wojnie, tak bardzo przywiązał się do pewnika o pokojowym partnerstwie z Rosją i jej tyranem.

ZEŁENSKI DO KOŃCA NIE WIERZYŁ

Jest jeszcze jeden ciekawy wątek reportażu Walkera, może nawet najważniejszy i najtrudniejszy do rozszyfrowania. Podobnie jak cała Europa (z wyjątkiem Anglii) w perspektywę rychłego ataku na Kijów niemal do końca nie uwierzył Amerykanom prezydent Zełenski. Nie uwierzył w styczniu 2022 r. szefowi CIA Burnsowi, który zdesperowany nieufnością Ukraińców dostał zgodę na dostarczenie Zełenskiemu zdjęć i dokumentów agenturalnie przejętych przez wywiad USA. I zaraz po wyjeździe Burnsa z Kijowa wystąpił z orędziem do narodu, w którym powiedział: „Żadnej wojny w tym roku nie będzie, oddychajcie głęboko, uspokójcie się, nie biegnijcie po zapasy jedzenia ani zapałek". Co więcej, Zełenski wdał się w spór z szefem sztabu armii gen. Walerijem Załużnym, gdy ten chciał przeprowadzić większe ruchy wojsk i aby to uczynić, potrzebował proklamacji stanu wojennego. Spór, którego polityczne echa słychać na Ukrainie do dziś.

Podobnie jak cała Europa, za wyjątkiem Anglii, w perspektywę rychłego ataku na Kijów niemal do końca nie uwierzył Amerykanom prezydent Zełenski. Nie uwierzył w styczniu 2022 r. szefowi CIA Burnsowi, który zdesperowany nieufnością Ukraińców dostał zgodę na dostarczenie Zełenskiemu zdjęć i dokumentów agenturalnie przejętych przez wywiad USA

Walker sugeruje, że Zełenski nie uwierzył nawet ukraińskiemu wywiadowi, gdy ten w drugim tygodniu lutego dostarczył mu przejęty raport rozmieszczonych na Białorusi Czeczeńców, meldujących czeczeńskiemu watażce Kadyrowowi, iż są już w gotowości do wyprawy na Kijów oraz wykonania tam zleconych im zadań. 22 lutego 2022 r., czyli dzień przed wybuchem wojny, ukraiński wywiad dostarczył prezydentowi wiadomość, iż mający go dopaść mordercy wyruszyli już w drogę do Kijowa. Czy wtedy Zełenski uwierzył, że to dzieje się naprawdę? Także Walker nie udziela odpowiedzi na to pytanie, gdyż ukraiński prezydent był i pozostaje człowiekiem skrytym w przekazywaniu komukolwiek swoich prawdziwych myśli i uczuć.

Nie wiemy więc, kiedy i pod wpływem czego Zełenski uwierzył w końcu w atak na Kijów, nie mamy także pewności, czy nie odrzucał dostarczanej mu wiedzy z obawy przed masową ucieczką Ukraińców i rozpadem struktur państwa, nim jeszcze nadeszłaby prawdziwa wojna. Jedno jest pewne: ta odwlekana aż do ostatniej chwili decyzja o podjęciu przygotowań wojennych wróci jeszcze do Zełenskiego, najpóźniej przy okazji następnych wyborów prezydenckich, i stanie się pretekstem do oskarżeń, a być może jego przyszłej porażki wyborczej.

I chyba żaden historyk ani analityk nigdy nie zyska pewności, czy Zełeński skomplikował obronę kiepsko przygotowanego do wojny kraju o świcie 24 lutego 2022 r., czy też – znając słabą i nieugruntowaną jeszcze wtedy państwowość ukraińską – ocalił ją przed inercyjnym rozkładem, jaki mógłby nastąpić po wybuchu panicznego strachu przed nadchodzącą moskiewską nawałą. Nie sposób bowiem wykluczyć, iż to Amerykanie mieli jednak sporo racji, oceniając ówczesną państwowość ukraińską jako papierową. I dopiero pierwsze brutalne tygodnie nagłej, zaskakującej dla Ukraińców wojny utwardziły państwo i naród tak dalece, że zapewniły mu przetrwanie.

eprasa.pl 1c01a90050

Pod nuklearnym parasolem

O tym, jaki jest rzeczywisty cel dyskusji o europejskich zdolnościach jądrowych



Francja posiada 290 głowic atomowych



MAREK BUDZISZ

Przed niedawną Monachijską Konferencją Bezpieczeństwa, która jest uznawana za najważniejsze spotkanie tego rodzaju na naszym kontynencie, opublikowano raport poświęcony „opcjom nuklearnym", jakie ma Europa. Międzynarodowa grupa naukowców przeanalizowała wszystkie możliwe scenariusze, zarówno „rozciągnięcie parasola" przez europejskie mocarstwa nuklearne na inne państwa, jak i budowę „europejskich zdolności" czy pozyskanie przez Niemcy lub Polskę własnego potencjału. Analizowano również opcję polegającą na koncentracji uwagi Europy na konwencjonalnym potencjale odstraszania Rosji czy wspólnych zabiegów w Waszyngtonie, aby Amerykanie zwiększyli swoją protekcję nuklearną.

Wnioski, do jakich doszli analitycy, nie są optymistycznie. W konkluzji napisali, że Europejczycy muszą wybierać między scenariuszami złymi, ryzykownymi a trudnymi. Ich zdaniem wejście na drogę budowy samodzielnych zdolności europejskich zawsze będzie obarczone dużym ryzykiem bez gwarancji, że uda się osiągnąć cokolwiek pozytywnego. Jeśli ta diagnoza jest trafna, można zapytać, po co te dyskusje, jaki jest cel wielu wypowiedzi polityków naszego kontynentu, którzy po latach milczenia w kwestiach odstraszania nuklearnego przypomnieli sobie o tym i zaczęli publicznie rozważać tę możliwość.

Trzeba oczywiście wskazać na Federację Rosyjską – państwo, które wywołało

Fot. Philippe Psaila/Science Photo Library/East News

eprasa.pl 1c01a90050

największą wojnę na naszym kontynencie od ponad 70 lat, a jego liderzy lubią przypominać, że jest mocarstwem nuklearnym i ma zamiar używać swego potencjału po to, by wymuszać ustępstwa polityczne. To jednak tylko część prawdy, bo przed 2022 r. Rosja prezentowała w kwestiach nuklearnych podobną postawę – co więcej, wydawała gigantyczne kwoty na modernizację swych sił, czego nie skrywała, a mimo to poziom zaniepokojenia w Paryżu, Berlinie czy Londynie nie był wówczas wysoki. Wydaje się, że rozważania Europejczyków na temat konieczności budowy własnego potencjału nie są nawet wywołane – mimo oficjalnej retoryki w tej sprawie – niepewnością w zakresie wiarygodności amerykańskiego odstraszania. Niezależnie od tego, jak się ocenia retorykę i sposób uprawiania polityki przez Donalda Trumpa, w kwestiach amerykańskiego parasola nuklearnego wiarygodność gwarancji w ostatnich latach wzrosła, a nie zmalała. Chodzi nie tylko o modernizację starych bomb grawitacyjnych B-61, które są przechowywane w Europie, lecz także o inne kroki, jak choćby powrót latem 2025 r. amerykańskich ładunków jądrowych do bazy Lakenheath w Wielkiej Brytanii, które zostały stamtąd wycofane w 2008 r.

Paradoksem europejskiej dyskusji na temat własnych zdolności odstraszania jądrowego jest to, że nie chodzi w niej o ich budowę czy rozszerzenie parasola. Gra toczy się o coś zupełnie innego – przede wszystkim o zmianę własnej pozycji w relacjach sojuszniczych, uzyskanie ustępstw i koncesji ze strony partnerów oraz większych wpływów politycznych. Ta rywalizacja zaczęła się w związku ze zmianami w NATO-wskim systemie sojuszniczym. Skłania ona liderów państw europejskich do „podjęcia tematu" amerykańskich gwarancji i rozważań na temat własnych zdolności. Wiedzą, że stanowią one jądro systemu bezpieczeństwa i stabilności Europy, a przyszła pozycja państw w tym systemie jest bezpośrednio związana z jego kształtem.

FRANCUSKA MISJA NUKLEARNA

Opisując tę batalię, zacznijmy od Francji. „Francuskie zdolności odstraszania nuklearnego muszą pozostać francuskimi" – powiedziała wiosną 2025 r. Marine Le Pen, reagując na sugestie Emmanuela Macrona w sprawie „rozciągnięcia" parasola nuklearnego, którym dysponuje Paryż, na europejskich sojuszników. „Nie wolno się nim dzielić, a tym bardziej go delegować" – dodała. Tę wypowiedź francuskiej polityk warto przypominać nie tylko dlatego, że przyszły prezydent Francji może się wywodzić z jej macierzystego Zjednoczenia Narodowego albo pozostawać jego politycznym zakładnikiem. Może mieć ona trzeźwiący charakter, skutecznie tonując emocje tych europejskich polityków, ekspertów i publicystów, którzy wieszcząc kres relacji atlantyckich, postulują budowę „europejskich zdolności" nuklearnych. Wypowiedź Le Pen ma znaczenie, bo przypomina nam, że wykładni francuskiej doktryny nuklearnej dokonuje każdorazowo prezydent tego kraju i wiarygodność parasola jądrowego Paryża w niemałym stopniu zależy od tego, kto sprawuje tę funkcję.

> Eksperci szacują, że zastąpienie amerykańskich gwarancji nuklearnych europejskimi pochłonęłoby nawet 800 mld dol.

Emmanuelle Maitre z think tanku strategicznego FRS napisała w ubiegłym roku, że francuska doktryna jądrowa właściwie nie uległa zmianie od momentu, kiedy Paryż przeprowadził w 1962 r. pierwsze skuteczne próby z bronią atomową, a „Francja zamierza zachować pełną suwerenną kontrolę nad swoim potencjałem nuklearnym i dlatego nie jest skłonna zaakceptować żadnych sugestii dotyczących współpracy z partnerami w zakresie rozwoju systemów nuklearnych, takich jak pociski, ani też zgodzić się na jakiekolwiek współfinansowanie lub pomoc przemysłową w inwestycjach wspierających misję nuklearną".

W takiej sytuacji można zapytać, dlaczego Macron sugeruje gotowość do rozpoczęcia „dialogu strategicznego" z europejskimi partnerami i nawet zastanawia się nad jakąś formułą alternatywy wobec amerykańskiego programu Nuclear Sharing. Odpowiedź jest relatywnie prosta. Udzieliłjej on sam, mówiąc w 2025 r. – i mając na myśli parasol jądrowy – że „Francja nie zapłaci za bezpieczeństwo innych". Jednocześnie prezydent Francji – co wygląda na paradoks – odrzuca też współfinansowanie przez europejskich sojuszników zdolności nuklearnych Paryża. W Pałacu Elizejskim doskonale zdają sobie bowiem sprawę – a taka informacja powinna być ważna również dla nas w związku z trwającą dyskusją w sprawie SAFE – że przyjęcie finansowania od innych państw jest nie do pogodzenia z utrzymaniem suwerennej kontroli nad zdolnościami wojskowymi, w tym przypadku nuklearnymi. Nawet bezwarunkowe współfinansowanie z czasem rodzi uzależnienie. W tym przypadku linia Paryża jest czytelna. Francja nie przyjmie europejskiego współfinansowania jej zdolności nuklearnych ani tym bardziej nie zgodzi się na współdecydowanie, ale jest gotowa „przyjąć rekompensatę" na innych polach. Chodzi o uzyskanie koncesji i preferencji dla francuskiego sektora zbrojeniowego, energetyki jądrowej, a także umocnienie głosu Paryża w kwestiach politycznych w imię „wspólnego" parasola, bo Francja dopuszcza co najwyżej pomocniczą, i to mocno ograniczoną, rolę sojuszników.

NIEMCY I ATOM

Dyskusja na temat europejskich opcji nuklearnych przybrała na sile po tym, jak w przemówieniu otwierającym Monachijską Konferencję Bezpieczeństwa kanclerz Friedrich Merz poinformował, że „rozpoczyna" konsultacje z Paryżem na temat „europejskiego odstraszania nuklearnego". W niemieckich mediach co najmniej od roku trwa ożywiona debata zarówno na temat wiarygodności amerykańskiego odstraszania, jak i tego, co Berlin powinien zrobić w obliczu słabnięcia relacji sojuszniczych. Ta wypowiedź może świadczyć o tym, że niemieccy politycy wybrali „kurs na niezależność" i dążą do budowy alternatywy wobec amerykańskiego parasola nuklearnego.

eprasa.pl 1c01a90050

Wypowiedź Merza w Monachium wzbudziła – co zrozumiałe – zainteresowanie europejskich i polskich mediów, ale znacznie mniej uwagi poświęcono innemu oświadczeniu tego polityka, które wygłosił kilka dni później. W związku z głębokim kryzysem niemiecko-francusko-hiszpańskiego projektu budowy myśliwca szóstej generacji, który miałby stanowić europejską odpowiedź na amerykańskie F-35 i manifestację zdolności największych państw kontynentu do realizacji zaawansowanych technologicznie projektów, Merz powiedział, iż jednym ze źródeł kontrowersji jest to, że Francuzi potrzebują samolotu zdolnego do przenoszenia broni jądrowej, a Niemcy nie są takimi zdolnościami zainteresowani. Ta wypowiedź Merza wskazuje, że w Berlinie są zainteresowani rozmowami, naradami, ale już budowa wspólnych systemów przenoszenia broni jądrowej pozostaje poza kręgiem rozważań niemieckich polityków.

To ciekawe, bo w rozmowie z „Frankfurter Allgemeine Zeitung", która miała miejsce latem ub.r., Merz pytany o plany pozyskania przez Niemcy własnego potencjału nuklearnego uchylił się od odpowiedzi, mówiąc, że „jeszcze nie czas" na tego rodzaju rozważania. Notabene dyskusje w środowisku niemieckich przedsiębiorców i ekspertów zbrojeniowych koncentrują się dziś przede wszystkim na potrzebie budowy własnych zdolności sektora zbrojeniowego i własnego zaplecza konstrukcyjnego. To by sugerowało, że w Berlinie zaczęto myśleć o zdolnościach nuklearnych, ale raczej własnych, a nie uzależnionych od niepewnych i niestabilnych partnerów.

Można zatem zapytać, czemu służą wypowiedzi w rodzaju deklaracji Merza z Monachium. Ich celowość wydaje się tym bardziej wątpliwa, że w czasie niedawnego szczytu ministrów obrony państw NATO w Brukseli Amerykanie oświadczyli, iż nie mają zamiaru zwijać parasola jądrowego nad Europą i redukować swego „rozszerzonego odstraszania". Podobnie jak Francuzi Niemcy, dyskutując o europejskich zdolnościach, chcą coś ugrać, ale na zupełnie innym polu. Chodzi o odzyskanie statusu najlepszego sojusznika amerykańskiego na kontynencie, na utrzymaniu którego powinno zależeć Amerykanom. Aby to było możliwe, trzeba z jednej strony kontynuować politykę zbrojeń, w tym zakupów sprzętu w USA – i to wydaje się głównym powodem, dlaczego Berlin nie jest zainteresowany SAFE. Z drugiej strony należy pokazywać sojusznikowi w Waszyngtonie, że państwa takie jak Niemcy „mają alternatywę" i w przyszłych rozmowach na temat docelowego modelu relacji sojuszniczych trzeba to uwzględnić, godząc się na koncesje polityczne. Jakie? Niemców interesuje wyłącznie przywództwo w Europie, czego nie skrywają.

ROSYJSKIE GROŹBY

Ostatniego słowa nie powiedziała też Rosja. Przed niedawnym spotkaniem Putina z oficerami FSB na stronie tej organizacji pojawił się komunikat, w którym znalazły się tezy o planach przekazania przez Francję i Wielką Brytanię Ukrainie jednej ze zdemontowanych głowic jądrowych. Rosjanie rozpętali wokół tych doniesień wywiadu kampanię propagandową. Jurij Uszakow, doradca ds. polityki zagranicznej Putina, powiedział, że wszystkie informacje w tej sprawie zostaną przekazane Amerykanom, ale dodał, że „oni już wiedzą", o czym świadczą ożywione w ostatnim czasie nieoficjalne kontakty na linii Waszyngton–Moskwa w tej kwestii. Ze stosownym apelem wystąpiły niezależnie obydwie izby rosyjskiego parlamentu, pojawiły się tezy o politycznym szaleństwie państw Zachodu i prowokowaniu wojny nuklearnej. Walentina Matwijenko, stojąca na czele Rady Federacji, izby wyższej rosyjskiego parlamentu, oświadczyła, że „warunkiem niepodległości Ukrainy" było i jest utrzymanie jej statusu państwa nieposiadającego broni jądrowej.

Ten zalew deklaracji rosyjskich polityków można traktować jako przygotowanie do zerwania rozmów pokojowych, ale w oświadczeniu wywiadu, od publikacji którego zaczęła się cała sprawa, jest passus, na który warto zwrócić uwagę. Otóż napisano w nim, że Niemcy, w przeciwieństwie do Francji i Wielkiej Brytanii, były przeciwne „przekazaniu" Ukrainie broni jądrowej. Tego rodzaju argumentacja może świadczyć o tym, że na Kremlu chcą przy okazji doprowadzić do osłabienia więzi atlantyckich, argumentując, że władze Francji i Wielkiej Brytanii prowadzą „awanturniczą", a przez to groźną dla interesów wielkich mocarstw politykę kontynuowania wojny na Ukrainie. Berlin, który nie chce brać udziału w „europejskiej misji stabilizacyjnej", uparcie konstruowanej przez Paryż i Londyn, nie zdecydował się na przekazanie Ukrainie swych rakiet Taurus i nadal myśli o wznowieniu relacji gospodarczych z Rosją, jest w tej kremlowskiej narracji uznawany za bardziej wiarygodnego partnera. Oczywiście jeśli jeszcze bardziej skoryguje swoją politykę wobec Rosji.

Berlinowi mają w tym pomóc wojownicze deklaracje Dmitrija Miedwiediewa, który lubi podkreślać, że jeśli Niemcy zaczną myśleć o budowie swego potencjału, powinny stać się pierwszym celem rosyjskiego ataku nuklearnego. Tego rodzaju pogróżki mają też na celu rozbudzenie pacyfistycznej części niemieckiego społeczeństwa i wykreowanie AfD jako jedynej siły prezentującej wizję normalizacji stosunków z Rosją w powojennej rzeczywistości. Ta gra o przyszłość Niemiec dopiero się zaczyna i w najbliższych latach przybierze na sile, tym bardziej iż rząd Merza jest niepopularny w kraju, a notowania AfD dają tej formacji szansę na samodzielne rządy w 2033 r.

Debata o europejskich zdolnościach odstraszania jądrowego, rozciąganie parasola francuskiego czy dyskusje na temat narodowych programów nuklearnych nie mają – mimo pozorów – na celu podjęcia realnych działań. Po pierwsze, byłoby to niesłychanie kosztowne. Eksperci szacują, że zastąpienie amerykańskich gwarancji europejskimi pochłonęłoby nawet 800 mld dol. Po drugie, nawet energiczne działania Europejczyków – jeśli myśleć o realnych zdolnościach – zajmą co najmniej kilkanaście lat i pierwsze efekty mogą być widoczne ok. 2040 r. Aby je rozpocząć, należałoby przezwyciężyć różnice interesów politycznych i ocen sytuacji bezpieczeństwa, które w ostatnich latach w Europie nie maleją, ale narastają. Wreszcie trudno oczekiwać, iż Rosjanie będą przychylnie patrzeć na to, jak Europejczycy rozwijają swe zdolności jądrowe, chyba że przy okazji rozpadnie się NATO.

Rozważania na temat alternatywy dla amerykańskiego parasola nie są wstępem do podjęcia realnych działań przez Europejczyków, a skrywają rzeczywisty cel tych dyskusji, jakim jest pozycjonowanie się państw uczestniczących w tych debatach w zmieniających się realiach sojuszniczych.

Autopromocja

eprasa.pl 1c01a90050

O kulisach polityki
WIEMY WSZYSTKO



Subskrypcja **SIECI**

wPolityce.pl Premium +

już od

7,90 zł

WIESZ PIERWSZY:
Pełne e-wydania tygodnika „Sieci”
już w niedzielę o 18:00.
Zanim inni omówią przekaz, Ty znasz scenariusz.

WIDZISZ WIĘCEJ:
Nielimitowany dostęp do zamkniętych artykułów na wPolityce.pl Premium+. Dziennikarstwo bez cenzury i politycznej poprawności.

ROZUMIESZ KONTEKST:
Dostęp do pełnego archiwum wydań oraz unikalnych e-booków „Sieci Extra”.

WSPIERASZ NIEZALEŻNOŚĆ:
Twoja subskrypcja to potężny oręż i cegiełka do budowy prawdziwie wolnych mediów w Polsce.

SPRAWDŹ NA

siec.wpolityce.pl/oferta

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 1c01a90050



Lewicowa furia

Lewicowi bojówkarze dokonali linczu na katolickim studencie w Lyonie. W zajściu mieli uczestniczyć asystenci parlamentarni posła Francji Niepokornej Raphaëla Arnaulta. Polaryzacja polityczna nad Sekwaną się zaostrza, i to za sprawą skrajnej lewicy, która wciąż marzy o krwawej rewolucji



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

„Jestem hałasem i furią, tumultem i wrzawą" – grzmiał Jean-Luc Mélenchon w listopadzie 2010 r. ze sceny, wówczas jeszcze jako lider Partii Lewicy. Sześć lat później założył Francję Niepokorną (La France insoumise – LFI) i obiecał Francuzom obalenie kapitalizmu, odwołując się do „teoretyków terroru" rewolucji francuskiej: Maximiliena de Robespierre'a i Luisa-Antoine'a Saint-Juste'a. „Grzmot rewolucji, fala uderzeniowa z 1789 r. wciąż we mnie tkwią" – przyznał w jednym z wywiadów. Przy czym fascynował go bardziej element terroru niż wolność, równość i braterstwo, które obecna republika francuska uważa za główną spuściznę rewolucji. W młodości, będąc trockistą, przyjął nawet pseudonim „Santerre" na cześć Antoine'a-Josepha Santerre'a, który brał udział w szturmie na Bastylię w 1789 r. i poprowadził Ludwika XVI na szafot.

W swojej książce „Wataha" („La Meute") Charlotte Belaïch i Olivier Pérou piszą, że lider LFI powiedział młodym członkom swojej partii na jednym z wieców, iż on, gdyby był w ich wieku, „poszedłby i pobił faszystów, dopadł ich". Przemoc to dla Mélenchona narzędzie polityczne jak każde inne. I ta przemoc go teraz dopadła.

AGITACJA NA UCZELNIACH

W czwartek 12 lutego br. 23-letni prawicowy działacz Quentin Deranque został śmiertelnie pobity przez członków skrajnie lewicowej bojówki w trakcie konferencji europosłanki Francji Niepokornej Rimy Hassan w Instytucie Nauk Politycznych (IEP) w Lyonie. Młody mężczyzna przybył na uczelnię, by z grupą kolegów ochraniać pokojowy protest prawicowych feministek z kolektywu Némesis przeciwko zawłaszczeniu uczelni wyższych przez lewicę

Fot. Alphacat Newim Reporter/Shutterstock.com

eprasa.pl 1c01a90050

Mélenchona, która agituje studentów. A także przeciwko brataniu się Francji Niepokornej z islamistami. Jak pisze na łamach „Le Figaro" prof. Fabrice Balanche, który wykłada geografię na Uniwersytecie Lyon 2, lewicowi studenci „ciągle przerywają lub blokują wykłady", gdy ich treść im nie pasuje oraz atakują każdego, kogo uważają za „faszystę". Z wykładowcami włącznie, paraliżując pracę uniwersytetu. Balanche był zmuszony zatrudnić ochroniarzy. Grożono mu śmiercią.

Od ponad roku Rima Hassan podróżuje od jednej uczelni do drugiej, gdzie wygłasza wykłady głównie na temat kwestii palestyńskiej. Za każdym razem dochodzi do burd. Niektórzy rektorzy uniwersytetów jej odmówili, np. Lille w kwietniu 2024 r., Paris-Dauphine miesiąc później czy Uniwersytetu w Strasburgu pod koniec listopada, powołując się na „ryzyko zakłócenia porządku publicznego". Jak się okazuje, słusznie.

W Lyonie skończyło się bowiem – jak określiły to francuskie media – „brutalnym linczem". Na nagraniu z telefonu świadka wyemitowanym w telewizji TF1 widać kilkunastu sprawców z twarzami zasłoniętymi kominiarkami lub kapturami, rzucających się na trzech młodych mężczyzn, uderzających ich pięściami oraz kopiących ich w głowy, gdy leżą na ziemi. Quentin Deranque był jednym z zaatakowanych. Obdukcja wykazała ciężki uraz czaszkowo-mózgowy.

POLITYCZNY AWANS BOJÓWKARZY

Jeszcze bardziej szokujące jest to, kim są sprawcy. 11 spośród ok. 20 antyfaszystów, którzy brutalnie zaatakowali młodego mężczyznę i jego przyjaciół, zostało już zatrzymanych. Jednak funkcjonariusze policji kryminalnej w Lyonie skupili się na siedmiu z nich, urodzonych w latach 1999–2006 i podejrzanych o zadanie śmiertelnych ciosów. Postawiono im zarzut „zabójstwa z premedytacją" lub „współudział w zabójstwie poprzez podżeganie do niego". Pięciu z nich już od jakiegoś czasu jest pod obserwacją kontrwywiadu ze względu na ich członkostwo w radyklanej organizacji antyfaszystowskiej Młoda Gwardia (Jeune Garde), rozwiązanej w czerwcu 2025 r. dekretem ministra spraw wewnętrznych. Współzałożycielem Młodej Gwardii był poseł LFI Raphaël Arnault, którego asystenci parlamentarni mieli uczestniczyć w śmiertelnym pobiciu Quentina Deranque'a. Chodzi o Jacquesa-Éliego Favrota, wielokrotnie notowanego przez policję za kradzież i posiadanie broni, oraz Robina Chalendarda, członka antyfaszystowskiego kolektywu No Pasaran 84. Kolejnych dwóch zatrzymanych odbyło staż u boku Arnaulta we francuskim Zgromadzeniu Narodowym. Jak pisze „Le Figaro", lewicowi bojówkarze awansowali do parlamentu dzięki Mélenchonowi. Lider LFI wielokrotnie chwalił młodych gwardzistów. „To są moi młodzi towarzysze" – podkreślił podczas ubiegłorocznego wiecu w Paryżu.

Francja Niepokorna złożyła zresztą pozew przeciwko rozwiązaniu Młodej Gwardii w Radzie Państwa, która wciąż nie wydała decyzji w tej sprawie. Macron wydaje się jednak zdeterminowany, by zwalczać, jak to określił, „bojówki związane z partiami politycznymi". Podczas spotkania w Pałacu Elizejskim prezydent polecił Ministerstwu Spraw Wewnętrznych wszczęcie postępowania likwidacyjnego wobec pięciu „odłamów" Młodej Gwardii, które odrodziły się w ostatnim czasie mimo rozwiązania ugrupowania.

POLITYCZNA CENA

Quentin Deranque został pochowany w środę 25 lutego br. w Lyonie. Ponad 3,2 tys. osób, w tym wielu działaczy ruchów tożsamościowych, wzięło wcześniej udział w marszu ku jego pamięci. Jego rodzice nie chcieli w nim uczestniczyć, twierdząc, że ich syn nie był ekstremistą. Tak też opisali go jego znajomi w rozmowie z dziennikiem „Le Monde".

Według nich był on przede wszystkim pobożnym katolikiem, pracowitym studentem matematyki, angażującym się w pomoc najbiedniejszym, którego nie podejrzewano o radykalizm. Był również – a nawet przede wszystkim – parafianinem głęboko zainteresowanym filozofią i moralnością. Regularnie uczęszczał do tradycjonalistycznego kościoła Saint-Georges, gdzie msze odprawiane są po łacinie. Według jego przyjaciela Vincenta nawrócił się „kilka lat temu". Wtedy też odkrył, że „kocha swój kraj, swoją wiarę oraz tradycję i chce ich bronić". Nigdy nie był notowany i nigdy nie uczestniczył w zamieszkach.

Śmierć chłopaka została potępiona przez elity polityczne. Prezydent Emmanuel Macron podkreślił, że „w Republice żadna sprawa, żadna ideologia nie może usprawiedliwiać zabójstwa". Premier Sébastien Lecornu polecił Mélenchonowi, by „zrobił porządek w swoich wypowiedziach, działaniach i szeregach". Ale lider LFI nie ma najwyraźniej takiego zamiaru. Na wiecach Francji Niepokornej skandują: „Opór" i śpiewają: „Siamo tutti antifascisti" – „Wszyscy jesteśmy antyfaszystami" – hasło ukute 100 lat temu we Włoszech, by walczyć z Mussolinim. Właśnie po to, by umocnić tę narrację, Mélenchon zawarł sojusz z Młodą Gwardią i doprowadził do wyboru jej lidera na posła.

W 2027 r. podczas wyścigu prezydenckiego chce on stoczyć ostateczną bitwę między „nimi" – „faszystami", jak twierdzi, a „nami" – „ludem", bytem równie nieokreślonym, co świętym, nad którym rości sobie monopol. Ma nadzieję na mobilizację młodego elektoratu, który politycy jego partii z Rimą Hassan na czele usiłują agitować. Usunięcie Arnaulta z partii i parlamentu byłoby zatem równoznaczne z oddaniem głowy „bojownika ruchu oporu" w ręce „faszystów". Na to Mélenchon nie pójdzie, nawet jeśli oznacza to zapłacenie ceny w wyborach – choćby tych najbliższych, samorządowych.

W rozmowie z mediami nie odciął się więc, ale zadeklarował wręcz, że „nadal żywi do tych młodych ludzi wielką sympatię". „Nigdy nie oddzielicie nas od żadnej z naszych baz: ani od dzielnic robotniczych, ani od młodzieży, ani od antyfaszystów, ani od żadnej części antykapitalistycznej lewicy" – ostrzegł. Skutki w sondażach już widać. Według badania instytutu Elabe dla BFMTV, opublikowanego 25 lutego br., 63 proc. Francuzów stwierdziło, że „zablokowałoby" kandydata LFI w drugiej turze wyborów prezydenckich, celowo głosując przeciwko niemu. W przypadku Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen uczyniłoby tak „tylko" 45 proc. ankietowanych. A 71 proc. negatywnie oceniło działalność samego Mélenchona.

NOWA FRANCJA

Problem jest oczywiście szerszy. Dotyczy rosnącej przemocy ze strony lewicowych bojówek, szczególnie we Francji, gdzie polaryzacja oraz rosnący brak zaufania

eprasa.pl 1c01a90050



do tradycyjnych partii doprowadziły do zaniku politycznego centrum. Z jednej strony Mélenchon, z drugiej – Marine Le Pen. A pomiędzy Renesans, czyli sztuczny projekt polityczny Macrona, który dawno stracił powiew świeżości. Tyle że o tej lewicowej przemocy się nie mówi, próbuje ją usprawiedliwiać i bagatelizować.

Według „Le Figaro" wiele mediów usiłowało przedstawić zabójstwo studenta jako zwykłą „bójkę", dodając, że „prawdziwe zagrożenie wywodzi się ze skrajnej prawicy". Podczas ostatnich wyborów parlamentarnych obóz prezydenta Macrona zawarł pakt z Mélenchonem, by podtrzymać kordon sanitarny wokół Zjednoczenia Narodowego. Lider LFI jest przydatny, mimo że otwarcie nawołuje do niszczenia obecnego porządku nad Sekwaną, więc włos mu z głowy nie spadnie. Tymczasem Francja Niepokorna szuka wyborców na imigranckich przedmieściach, gdzie mówi o „islamofobii" i „przemocy policyjnej". Podczas jednego z wieców w toku kampanii parlamentarnej w marsylskim getcie Mélenchon określił tamtejszych mieszkańców jako „nową Francję". Francja Niepokorna jednoznacznie poparła Palestynę w konflikcie z Izraelem, włącznie z otwarcie antyizraelskim i antysemickim dyskursem. Objazdowe występy na uczelniach mają pogłębiać polaryzację wokół tej kwestii, wywołać konflikt.

Lewicowe bojówki stanowią zresztą coraz większy problem w całej Europie. We wrześniu 2025 r. prezydent USA Donald Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze, na mocy którego Antifa została uznana za organizację terrorystyczną. Na początku lutego sąd w Budapeszcie skazał na osiem lat więzienia niebinarną aktywistkę z Niemiec. Maję T. oskarżono o udział w napaści na prawicowych działaczy w stolicy Węgier trzy lata temu. Lewicowi aktywiści użyli pałek teleskopowych, gumowych młotków i gazu pieprzowego. Rannych zostało dziewięć osób, z czego cztery ciężko. W toku procesu Premier Viktor Orbán także uznał Antifę za organizację terrorystyczną.

BRATOBÓJCZA WALKA

Śmierć Qentina Deranque'a jest szczególnie niewygodna dla francuskich socjalistów, którzy w czerwcu 2024 r. utworzyli koalicję przed wyborami parlamentarnymi z LFI pod nazwą Nowy Front Ludowy (Le Nouveau Front populaire – NFP). Teraz sojusz z Mélenchonem zaczął im poważnie ciążyć. Według nich tym razem lider LFI popełnił o jeden błąd za dużo. „Jest to punkt zwrotny" – ogłosił w radiu RTL François Hollande, były prezydent. Jego zdaniem Mélenchon „nieuchronnie zapłaci" w wyborach za śmierć studenta. W telewizji BFM były premier, socjalista Bernard Cazeneuve również oświadczył, że ruch, niedawno zaklasyfikowany przez Ministerstwo Spraw Wewnętrznych jako skrajnie lewicowy, „nie ma szans na wygraną w wyborach prezydenckich". Jeszcze przed nimi Raphaël Glucksmann, charyzmatyczny europoseł, wzywał resztę lewicy do zerwania wszelkich więzi z Mélenchonem i jego zwolennikami. „Wpadamy wszyscy w pułapkę Mélenchona. Musimy przestać o nim mówić. Pierwszym błędem w polityce jest poświęcanie przeciwnikowi jakiejkolwiek uwagi" – ubolewał europoseł.

> Po zabójstwie katolickiego studenta premier Francji polecił Mélenchonowi, by „zrobił porządek w swoich wypowiedziach, działaniach i szeregach". Ale lider LFI nie ma najwyraźniej takiego zamiaru

Spór jest tym większy, iż Mélenchon aktywnie usiłuje osłabić kandydatów socjalistów w marcowych wyborach samorządowych. Szczególnie zależy mu na obaleniu burmistrzów PS w dużych miastach, jak Paryż czy Montepllier, wierząc, że osłabienie centrolewicy utoruje mu drogę do Pałacu Elizejskiego, czyniąc go jedynym kandydatem lewicy w wyborach prezydenckich. Dziennik „Le Parisien" porównał bratobójczą walkę w obozie lewicowym we Francji do „MMA na sterydach". Mélenchon nie przejmuje się także tym, jest bowiem przekonany, że Francuzi mają dość tradycyjnych partii i jeśli będą mieli do wyboru socjalistów bądź antyestablishmentową lewicę, wybiorą tę ostatnią. Dlatego nie chce i nie może zrezygnować z radykalizmu. Przeciwnie – musi go jeszcze podsycać.

Jak twierdzą eksperci, Francja pogrąża się w politycznej polaryzacji. W ciągu ostatnich 10 lat znacznie zwiększyła się skala przemocy politycznej – liczba ataków podwoiła się, a liczba starć wzrosła pięciokrotnie. Co więcej, pobicia są coraz dotkliwsze – od 2022 r. odnotowano już sześć ofiar śmiertelnych.

BARBARZYŃSTWO PRZEBRANE ZA DOBRO

Jak twierdzi filozof Alain Finkielkraut, „od upadku III Rzeszy antyfaszyzm nie jest już heroicznym oporem wobec reżimu totalitarnego, lecz wygodną walką z wyimaginowanym zagrożeniem. Ta nieustanna przemoc na ulicach i w Zgromadzeniu Narodowym zatruwa klimat polityczny we Francji. To barbarzyństwo przebrane za dobro" – podkreślił filozof w rozmowie z „Le Figaro". „Jeśli w naszym kraju są antyfaszyści, to właśnie dlatego, że są faszyści, twierdzą lewicowi politycy. Wręcz przeciwnie – to właśnie dlatego, że są antyfaszyści, wszyscy ci, którzy nie podzielają stanowiska radykalnej lewicy, zwłaszcza w kwestii imigracji, są nazywani faszystami i tym samym wykluczani z człowieczeństwa. Musimy z tym skończyć" – dodał Finkielkraut.

Fot. Pierre Laborde/Shutterstock.com

eprasa.pl 1c01a90050



Szczątki św. Franciszka wystawione w Asyżu w 800 lat po jego śmierci

Franciszek fałszywy i prawdziwy

Papież Leon XIV ogłosił 2026 r. Rokiem św. Franciszka z Asyżu. To dobra okazja, by odkłamać wiele współczesnych mitów, którymi obrosła postać założyciela franciszkanów



GRZEGORZ GÓRNY

Nie ma chyba na świecie bardziej zmistyfikowanego świętego Kościoła katolickiego niż św. Franciszek z Asyżu. We współczesnej kulturze masowej jest on przedstawiany jako rodzaj XIII-wiecznego hipisa, patrona ekologów, prekursora pacyfizmu, zwolennika dialogu międzyreligijnego, a nawet anarchistę.

Gdybyśmy chcieli sięgnąć do źródeł takiej interpretacji jego postaci, musielibyśmy się cofnąć do 1894 r., gdy francuski pastor kalwiński Paul Sabatier opublikował biografię założyciela franciszkanów, która szybko zdobyła wielki rozgłos. „Życie św. Franciszka z Asyżu" doczekało się aż 42 wydań tylko we Francji oraz wielu tłumaczeń na języki obce. Uskrzydlony tym sukcesem autor założył w 1902 r. w Asyżu Międzynarodowe Stowarzyszenie Studiów Franciszkańskich, a w 1908 r. w Londynie Brytyjskie Towarzystwo Studiów Franciszkańskich.

Główną zasługą Sabatiera było zapoczątkowanie nowego rodzaju historiografii związanej z postacią pierwszego stygmatyka w dziejach Kościoła. Przedstawił jego postać w duchu protestanckim i modernistycznym, a wytyczonym przez niego szlakiem podążyła później cała rzesza naśladowców.

ODBÓSTWIENIE JEZUSA

Paul Sabatier został zachęcony do napisania biografii św. Franciszka przez francuskiego pisarza, filozofa i historyka Ernesta Renana. Jest to postać nieco zapomniana, lecz godna uwagi, ponieważ odegrała znaczącą rolę w intelektualnej historii Europy II połowy XIX w. Ten niedoszły ksiądz, który stracił wiarę w seminarium duchownym, w 1863 r. opublikował swe najbardziej znane dzieło pt. „Życie Jezusa". Ukazał w nim Chrystusa jako wybitnego humanistę, działacza społecznego, trybuna ludowego, nauczyciela etyki, reformatora, kaznodzieję i moralistę. W jego wizji Nazarejczyk był zwykłym człowiekiem, który po śmierci został ogłoszony „Bogiem" przez osierocony uczniów, którzy zmitologizowali działalność swego mistrza. Według Renana cuda dokonywane przez Jezusa były w rzeczywistości wytworem wyobraźni pierwszej wspólnoty chrześcijańskiej, a zmartwychwstanie – „mistyczną halucynacją" Marii Magdaleny.

Fot. Gregorio Borgia/Associated Press/East News

eprasa.pl 1c01a90050

Jego zdaniem Chrystus nie zamierzał zakładać Kościoła, śmierć na krzyżu nie była aktem zbawczym, a doktryna odkupienia została wymyślona znacznie później przez apostołów.

Książka napisana barwnym językiem, w literacko-naukowym stylu, stała się największym religijnym bestsellerem XIX w., wywierając przemożny wpływ na środowiska akademickie, artystyczne, kulturalne i religijne Zachodu. Znaczenie Renana dla odciągania ówczesnych elit od Kościoła można śmiało porównać z oddziaływaniem Marksa czy Darwina. Francuski autor okazał się prekursorem świeckiej chrystologii, doprowadzając do „zeświecczenia" Jezusa w wyobraźni współczesnych Europejczyków. Odarł Galilejczyka z szat boskości, pozbawił wymiaru nadprzyrodzonego i postawił w jednym rzędzie wielkich geniuszów ludzkości razem z Homerem, Buddą czy Sokratesem. Choć sam nie był biblistą, spopularyzował traktowanie Ewangelii jak dokumentu literackiego, a cudów – jak zjawisk psychologicznych. Przede wszystkim jednak oddzielił „Jezusa historii" od „Chrystusa wiary", twierdząc, że syn cieśli z Nazaretu był zwykłym człowiekiem i nie miał nic wspólnego z trzecią osobą Trójcy Świętej, którą uznawał za późniejszy wytwór imaginacji chrześcijan.

Trudno przecenić długofalowy wpływ dzieła Renana na sekularyzację europejskiej inteligencji. To, że współczesne elity Zachodu są skłonne widzieć w Jezusie wielkiego nauczyciela, twórcę etyki i moralistę, lecz nie Boga i Zbawiciela ludzkości, jest w dużej mierze zasługą niedoszłego księdza z Bretanii.

Pod koniec życia Renanowi marzyło się podobne „odczarowanie" postaci św. Franciszka z Asyżu. Dlaczego? Być może dlatego, że w dziejach Kościoła nie było drugiego świętego, który tak bardzo upodobniłby się swym postępowaniem do Chrystusa i tak mocno inspirował ludzi na całym świecie, pociągając ich ku chrześcijaństwu. Francuski autor sam nie miał już sił, by podjąć się takiego zadania. Namówił jednak do tego młodszego od siebie o 35 lat Paula Sabatiera. Dwa lata po śmierci swego mentora wierny uczeń opublikował „Życie św. Franciszka z Asyżu".



W książce założyciel franciszkanów został odmalowany w perspektywie czysto świeckiej, w której motywacja nadprzyrodzona miała znaczenie drugorzędne. Tak został zapoczątkowany nowy sposób przedstawiania „biedaczyny z Asyżu", który trwa do dziś.

„STWORZENIE" VERSUS „ŚRODOWISKO"

We współczesnej kulturze masowej św. Franciszek funkcjonuje przede wszystkim jako patron ekologii, pionier walki o dobrostan Matki Ziemi, a nawet prekursor Grety Thunberg. W tym kontekście często jest przywoływana „Pochwała stworzenia" (zwana też „Pieśnią słoneczną"), napisana na przełomie lat 1224 i 1225. Wspomniany kantyk jest odbierany przez dzisiejszych aktywistów wręcz jako hymn panteistyczny, ponieważ autor nazywa w nim swoimi braćmi słońce, księżyc, wiatr czy ogień, siostrami wodę i gwiazdy. Tego rodzaju ujęcie dobrze oddaje tekst pt. „Kto i dlaczego jest patronem ekologów", zamieszczony na portalu inpost.pl. Możemy w nim przeczytać m.in.: „Św. Franciszek został nazwany patronem ekologów dzięki swojemu wieloletniemu wsparciu zapewnianemu zwierzętom oraz zacieraniu granic między ludźmi i innymi stworzeniami. […] Jego celem było stworzenie miejsca, w którym ludzie, zwierzęta, insekty i inne stworzenia będą mogły żyć w całkowitej harmonii pozbawionej okrucieństwa".

Ten karykaturalny wizerunek rozpowszechnił się w świadomości społecznej współczesnego Zachodu. Nie ma on nic wspólnego z rzeczywistością, ponieważ celem św. Franciszka nie było budowanie harmonii między ludźmi a insektami, lecz wypełnianie woli Bożej. Wspomniana „Pochwała stworzenia" powstała jako polemika z herezją katarów, którzy uważali, że cały kosmos nie jest dziełem dobrego Boga, lecz złego Demiurga. Z ich punktu widzenia wszystko, co materialne, było zatem złe z samej swojej istoty: słońce, księżyc, woda, zwierzęta czy rośliny. Dlatego zaprzeczali oni boskości Jezusa, twierdząc, że dobry Bóg nie mógł wcielić się w złe ciało. Zwalczali też Eucharystię, mówiąc, że boskość nie może być obecna w złej materii.

W opozycji do nich Św. Franciszek wyśpiewywał hymn chwalący wszelkie stworzenie jako dzieło dobrego Boga. W jego pieśni jedynie Stwórca jest godzien odbierać uwielbienie, o czym świadczą już pierwsze słowa utworu: „Najwyższy, wszechmogący, dobry Panie / Twoja jest sława, chwała i cześć, i wszelkie błogosławieństwo / Jedynie Tobie, Najwyższy, przystoją / A żaden człowiek nie jest godny nazwać Ciebie".

„Pochwała stworzenia" była polemiką z herezją, która głosiła rezygnację z rozmnażania się, czyli z powoływania do życia bytów skażonych złem. Dziś część radykalnych ruchów ekologicznych proponuje to samo: rezygnację z rodzenia dzieci, by ratować planetę. O ile w pierwszym przypadku podejście antynatalistyczne wynikało ze zdemonizowania natury, o tyle w drugim – z jej ubóstwienia. Za obydwiema postawami kryje się jednak fałszywa wizja świata, której św. Franciszek się przeciwstawiał, pokazując, że natura musi być pojmowana we właściwym porządku rzeczy. Dlatego centralnym pojęciem w jego utworze nie jest „środowisko", lecz „stworzenie". Nie są to bynajmniej synonimy. Środowisko to świat przyrody, w którym ludzie są wymieszani ze zwierzętami, insektami, drzewami czy kamieniami. Stworzenie natomiast ma swoją hierarchię, której człowiek jest

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1c01a90050

ukoronowaniem. I – co najważniejsze – pojęcie to odsyła nas do Stwórcy.

Dziś coraz częściej nawet w oficjalnych dokumentach kościelnych słowo „stworzenie" jest wypierane przez „środowisko". To zmienia rozumienie miejsca i roli człowieka we wszechświecie. Głównym podmiotem wchodzącym w interakcję z ludźmi staje się nie Bóg, lecz środowisko, natura, przyroda, Ziemia, wszechświat. O ile stworzenie potrzebuje do swego istnienia Stwórcy, o tyle środowisko może się bez niego obyć. W takiej koncepcji Ziemia sama w sobie jawi się jako złożony, organiczny byt homeostatyczny, niekiedy nawet spersonifikowany pod postacią Matki Ziemi, Gai lub Pachamamy. Człowiek pojawia się tam jako główny element zaburzający prawidłowe funkcjonowanie natury. Jest podstawowym czynnikiem, przed którym należy chronić środowisko naturalne. Zresztą samo określenie „ochrona środowiska" ma na celu obronę właściwie przed jednym tylko agresorem.

To nie Ziemia ma być podporządkowana człowiekowi, lecz to on powinien się jej podporządkować. Stanowi to odwrócenie biblijnej wizji porządku naturalnego, w której człowiek pełni wobec natury rolę analogiczną do roli ogrodnika wobec ogrodu. Ci, którzy dziś propagują taką wizję – sprzeczną z chrześcijaństwem – często powołują się na św. Franciszka z Asyżu.

ANI MIECZ, ANI KRZYŻ

Św. Franciszek ma być też patronem dialogu międzyreligijnego. Jako sztandarowy przykład jego zaangażowania w taki proces podaje się spotkanie z sułtanem Al-Kamilem, do którego doszło w 1219 r. podczas V wyprawy krzyżowej, pod oblężoną Damiettą w Egipcie. Założyciel franciszkanów przeszedł wówczas nieuzbrojony przez linię frontu, by zobaczyć się z islamskim władcą. Został doprowadzony przed oblicze monarchy, na którym wywarł wielkie wrażenie. Święty pozostał w obozie mahometan przez kilka dni, gdzie był traktowany jak gość, a nie jak więzień. W tym czasie prowadził z Al-Kamilem długie dyskusje o Bogu, starając się przekonać go do przyjęcia chrześcijaństwa. Zaproponował nawet swemu rozmówcy próbę ognia, by udowodnić mu prawdziwość Ewangelii, lecz sułtan odmówił.

Choć muzułmański przywódca nie przyjął chrztu, to jednak wyraził Franciszkowi przyjazne uznanie. Według arabskich źródeł miał nawet powiedzieć, że nigdy w życiu nie spotkał „bardziej szczerego człowieka Bożego". Najważniejszym skutkiem owego spotkania stała się zgoda sułtanatu na pobyt mnichów franciszkańskich w Ziemi Świętej. Dzięki temu zakon stał się oficjalnym strażnikiem i kustoszem miejsc związanych z życiem i misją Jezusa. Taką rolę odgrywa na tym terenie od ponad ośmiu stuleci aż do dziś.

> Św. Franciszek zawsze uznawał autorytet papieża i usilnie zabiegał o zatwierdzenie reguły zakonu przez Stolicę Apostolską. Nie był sekciarzem ani rewolucjonistą, lecz wiernym synem Kościoła katolickiego

Zgodnie z dominującą obecnie narracją św. Franciszek jest prekursorem dialogu międzyreligijnego, w którym nie ma mowy o przekonywaniu drugiej strony do swych racji. Była to jednak postawa obca mistykowi z Umbrii. Celem jego wizyty u sułtana była chęć nawrócenia innowierczego władcy na katolicyzm.

Opierając się przez wieki naporowi islamu, chrześcijanie mieli dwie odpowiedzi: miecz lub krzyż. Franciszek schował broń, lecz wyciągnął krucyfiks. Dziś coraz częściej jest on jednak przywoływany jako patron spotkań międzywyznaniowych, podczas których księża, a nawet biskupi chowają krzyż, by nie urazić uczuć religijnych swoich rozmówców. To całkowite wypaczenie intencji XIII-wiecznego świętego.

NIE SCHIZMA I NIE REWOLUCJA

Innym rozpowszechnionym wypaczeniem postaci św. Franciszka jest postrzeganie go jako oddolnego reformatora kościelnego, pozostającego w opozycji do skorumpowanej hierarchii. W rzeczywistości założyciel franciszkanów nie poszedł drogą innych ruchów religijnych, które na przełomie XII i XIII w. stawiały sobie za cel odnowę duchową Kościoła, a weszły w ostry konflikt z papiestwem. Taki los spotkał m.in. waldensów, braci apostolskich, spirytuałów, joachimistów, begardów czy beginki. Wszystkie wspomniane formacje odwoływały się do ducha ubóstwa, praktykowały ascezę i stawiały sobie za wzór pierwsze gminy chrześcijan. Różnica między nimi a św. Franciszkiem polegała jednak na tym, że on nigdy nie zbuntował się przeciw hierarchii. Jego krytyka dotyczyła nie samej instytucji Kościoła, lecz grzechów i zaniedbań poszczególnych katolików, spośród których za największego niegodziwca uważał samego siebie.

W „Liście do wszystkich wiernych" domagał się szacunku dla księży, pisząc: „I dlatego chcę szanować, kochać i czcić także innych kapłanów – i pragnę całować ich dłonie – nawet gdyby mnie prześladowali i gdyby byli grzesznikami". Według niego ksiądz, choćby najbardziej grzeszny, jest uprzywilejowany, ponieważ tylko on może konsekrować ciało i krew Chrystusa. Eucharystia jest tak święta, że uświęca ręce nawet niegodnego kapłana. Należy więc odróżnić osobę księdza od sprawowanego przez niego urzędu sakramentalnego, przez który działa sam Bóg. Dlatego Franciszek zachęcał braci, by nie osądzali kapłanów, lecz modlili się za nich.

Zawsze uznawał autorytet papieża i usilnie zabiegał o zatwierdzenie reguły zakonu przez Stolicę Apostolską. Nie był sekciarzem ani rewolucjonistą, lecz wiernym synem Kościoła katolickiego. Taka jest prawda o św. Franciszku z Asyżu.

eprasa.pl 1c01a90050

Dzieli nas nie tylko Atlantyk

Kiedy wydarzenia nie idą po naszej myśli, zaczynamy szukać przyczyn naszych niespełnionych oczekiwań. Często – bo to najłatwiejsze – za nasze niepowodzenia obwiniamy kogoś, kogo nie lubimy. Uważamy, że ktoś specjalnie popsuł dotychczasowy dobry stan rzeczy. Ze stosunkami transatlantyckimi jest podobnie. W Europie prawie wszyscy uważają, że są one w złym stanie oraz że winę za to ponosi Donald Trump. Czy rzeczywiście to on jest winien temu, co się dzieje na świecie?



JAN PARYS

Europa przeżyła szok, kiedy na konferencji w Monachium w 2025 r. przedstawiciel administracji USA wiceprezydent J.D. Vance skrytykował kierunek rozwoju państw europejskich. Zakwestionował on m.in. dwa dogmaty dotychczasowej polityki Unii Europejskiej, tj. politykę otwartych dla migrantów granic oraz podporządkowanie energetyki kryteriom ekologicznym. Władze USA od początku 2025 r. mówią wprost, że te dwa dogmaty w polityce UE są źródłem względnego zacofania Europy na tle dynamiki rozwoju ekonomicznego Chin i USA. Każdy, kto pamięta rozwój wydarzeń, wie, że podobną diagnozę stanu gospodarczego Unii rok wcześniej postawił i uzasadnił były prezes Europejskiego Banku Centralnego Mario Draghi. Amerykańska administracja, wypominając coraz mniejszy udział UE w gospodarce światowej, nie opisała zatem żadnego nowego zjawiska, lecz jedynie przypomniała diagnozę znaną wcześniej.



Fot. White House official/x.com

Jednocześnie administracja Trumpa twierdzi, że dotychczasowy model relacji między Europą a USA stracił sens. Model ten, który bazował na wolnym handlu, jest bowiem wykorzystywany przez Chiny oraz inne kraje do osiągania ogromnych nadwyżek z tytułu eksportu kosztem deficytu gospodarki Ameryki. Jednocześnie Chiny blokują dostęp do swego rynku innym państwom, co uniemożliwia im zrównoważenie bilansu w handlu zagranicznym. Zdaniem obecnej administracji USA w tej sytuacji gospodarka światowa pojmowana jako jeden system traci sens. Dlatego Stany Zjednoczone wprowadziły taryfy celne na towary z większości krajów, które mają zatrzymać zjawisko powiększania się deficytu USA w handlu zagranicznym. W ten sposób zakwestionowano dogmat gospodarki liberalnej bazującej na wolnym handlu. Stało się to jednak dlatego, że system ten uległ degeneracji pod wpływem złych praktyk, które stale naruszały liberalne zasady. Decyzje USA były więc reakcją na postępowanie gospodarczych partnerów, którzy systematycznie ignorowali zasady wolnego handlu.

Nie mniejszym szokiem dla wielu polityków jest nowa doktryna bezpieczeń-

eprasa.pl 1c01a90050

stwa Stanów Zjednoczonych. Obecna administracja USA stwierdziła, że dotychczasowy porządek międzynarodowy bazujący na pewnych zasadach, takich jak poszanowanie granic i nieingerencja w kwestie wewnętrzne, nie jest szanowany. Istnieje kilka państw o dużym potencjale, które nie przestrzegają norm będących fundamentem ONZ. Rosja uderzyła na Ukrainę, bo w ogóle kwestionuje prawo Ukraińców do życia we własnym państwie. Chiny jawnie grożą agresją Tajwanowi, bo kwestionują jego prawo do własnego państwa. Iran publicznie nawołuje do zniszczenia Izraela. Korea Północna grozi zniszczeniem Korei Południowej i Japonii. W tej sytuacji jest jasne, że porządek międzynarodowy, podstawą którego są reguły przyjęte w ramach ONZ, przestał funkcjonować. Dlatego administracja Donalda Trumpa postanowiła zareagować na rozpad dotychczasowych zasad regulujących system międzynarodowy. W Waszyngtonie oficjalnie ogłoszono, że teraz światem zamiast zasad będzie rządzić siła.

W obliczu nowej sytuacji na świecie Trump proponuje, by mocarstwa, takie jak USA, Chiny i Rosja oraz Indie i Japonia, ustaliły między sobą własne strefy interesu. W ten sposób unikną sprzeczności interesów i zapobiegną konfliktom. Mniejsze państwa w zależności od położenia znajdą się w orbicie któregoś z mocarstw. USA zapowiedziały, że nie zamierzają brać odpowiedzialności za pokój na całym świecie – będą bronić interesów ograniczonych do swojej strefy wpływu. Znów więc nowa polityka bezpieczeństwa USA stanowi reakcję na rozpad dotychczasowego systemu. Donald Trump nie jest sprawcą przemian, lecz jedynie reaguje na zmianę sytuacji, która nastąpiła wcześniej.

STRZELANIE DO POSŁAŃCA

Działania Trumpa w dziedzinie gospodarki światowej i bezpieczeństwa były szokiem dla polityków europejskich. Nie mogą oni uwierzyć, że dotychczasowy układ sił ekonomicznych i militarnych się skończył. Nie chcą dostrzec, że Trump jedynie wyciąga wnioski z faktów, których oni nie są skorzy zauważyć i wobec których nie potrafią reagować. Dlatego pierwszą reakcją polityków Unii było wielkie oburzenie i oskarżanie prezydenta USA, że to on niszczy dotychczasowy wspaniały świat. Europa jest zatem gotowa uznać, że to listonosz, który przynosi złe wieści, jest winien temu, że są one niedobre.

Politycy w Europie koncentrują więc całą energię na krytyce i oskarżeniach Donalda Trumpa, zamiast samemu analizować sytuację i proponować własne rozwiązania. Niestety w UE zapanowała moda na antyamerykanizm, który nie rozwiązuje żadnego problemu, poza tym, że stanowi psychologiczne odreagowanie na trudności. Reaguje się agresją na nowy stan rzeczy, który wywołuje frustrację.

W tej sytuacji trudno się dziwić, że stosunki między USA a Europą są obecnie złe, a na pewno gorsze niż kiedykolwiek. Jedni, jak prezydent Francji i premier Kanady, pielgrzymują do Chin, bo uważają, że byłoby najlepiej dla Europy, gdyby równoważyła zależność od USA zbliżeniem gospodarczym i politycznym do Chin. Inni, jak kanclerz Niemiec i premier Włoch, uważają, że Unia ma być samodzielnym, globalnym graczem, który stoi z boku rywalizacji prowadzonej między USA i Chinami. Jeszcze inną koncepcję przedstawił Mateusz Morawiecki, który uważa, że najlepszym rozwiązaniem dla Europy jest tzw. gospodarcze NATO, czyli budowanie wspólnej polityki ekonomicznej z USA. Były polski premier proponuje, by sojusz militarny z Ameryką uzupełnić o koordynację polityk gospodarczych. Na stole leżą zatem propozycje trzech różnych dróg dalszego rozwoju Europy.

ODRZUCONA OFERTA

Podczas tegorocznej konferencji ds. bezpieczeństwa w Monachium wszyscy zgodzili się co do jednego: dawny świat już nie wróci. Spór toczy się teraz o to, w jakim kierunku ma podążać Europa. Moim zdaniem zasadniczą sprawą jest nie tylko to, jaka oferta co do jej przyszłości zostanie przyjęta, lecz także kto na Starym Kontynencie będzie podejmował decyzje w tym zakresie. Czy o przyszłości państw europejskich zdecydują rządy poszczególnych krajów, mające mandat od obywateli, czy elita dzierżąca władzę w UE, zależna od lobby przemysłowego największych państw? Dotychczas mieszkańcy Europy nie byli traktowani przez władze unijne poważnie, bo Unia nie przedstawia swym obywatelom dylematów, których rozwiązanie nas czeka.

Jak wiemy, dzień przed monachijską konferencją władze UE zorganizowały naradę, podczas której były premier Włoch Mario Draghi przedstawił swój pomysł na rozwiązanie obecnej sytuacji. Komisja Europejska była bowiem zainteresowana jedynym rozwiązaniem, czyli takim, które zapewni dotychczasowej elicie UE utrzymanie władzy. Dlatego zaproszono tylko Draghiego, który jest znany jako zwolennik dalszej i całkowitej centralizacji władzy w Unii oraz utrzymaniem liberalnego porządku w Europie. Jego koncepcję – utrzymanie liberalnego porządku dzięki centralizacji władzy – przestawił w Monachium jako jedyne możliwe rozwiązanie kanclerz Niemiec Friedrich Merz. Bez pytania obywateli, bez pytania parlamentów poszczególnych państwach, bez konsultacji z różnymi ekspertami Komisja Europejska chce podjąć decyzję, która zaważy na przyszłości Europy na wiele pokoleń.

Tego typu procedura decyzyjna, którą obecnie stosuje Komisja, na pewno nie jest demokratyczna ani nie gwarantuje tego, że podjęte decyzje będą najlepsze. Problem, który mamy dziś w Europie, to nie tylko sprawa naszych relacji z USA. Najpierw sami musimy się w Unii porozumieć w sprawie analizy naszych interesów w nowej rzeczywistości. Interes elity z Brukseli nie może być ważniejszy niż przyszłość mieszkańców Europy.

Musimy zatem zdać sobie sprawę z tego, jaki jest potencjał gospodarczy i militarny Europy na tle innych potęg na świecie. Musimy odpowiedzieć na pytanie, kiedy mamy większe szanse na lepszą przyszłość w obliczu rywalizacji z blokiem chińsko-rosyjskim. Czy wtedy, gdy będziemy w sojuszu militarnym i gospodarczym z USA? Jakie mamy szanse jako Unia Europejska, by samodzielnie prowadzić rywalizację z całym światem? Oferta przestawiona Europie w Monachium przez sekretarza stanu Marco Rubio jest klarowna. USA proponują państwom europejskim sojusz we wszystkich aspektach. Mamy koordynować swoje różne polityki jako jedna, wspólna cywilizacja. Na razie żaden unijny polityk nie odpowiedział pozytywnie na ofertę Rubio.

eprasa.pl 1c01a90050



90 lat kolejki na Kasprowy Wierch

W marcu 1936 r. zakończono jedną z najśmielszych inwestycji II Rzeczypospolitej, stanowiącej prawdziwy przełom w historii polskiej turystyki górskiej. Kolej linowa na Kasprowy Wierch powstała w rekordowym tempie i była wyrazem ambicji młodego państwa. To dzięki niej Tatry przestały być dostępne wyłącznie wąskiemu gronu wytrawnych taterników, a stały się celem masowych wyjazdów i symbolem narodowej fascynacji górami



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Wielu uważało projekt za zbyt kosztowny i ryzykowny. Odrodzona w 1918 r. Polska wciąż odbudowywała gospodarkę i infrastrukturę. Mimo to władze postawiły na rozwój turystyki i sportów zimowych jako elementy budowania prestiżu państwa. Kolej wznosząca się na wysokość niemal 2 tys. m n.p.m. miała być nie tylko praktycznym udogodnieniem, lecz także manifestacją technicznego postępu i narodowej determinacji. Jedni uważali, że stanowi ona spełnienie marzeń o otwarciu gór dla wszystkich, inni – że za głęboko ingeruje w dziewiczy krajobraz Tatr.

ŚMIAŁA WIZJA II RZECZYPOSPOLITEJ

Idea budowy kolei linowej na Kasprowy Wierch dojrzewała w środowiskach turystycznych i sportowych już w latach 20. XX w. Dynamicznie rozwijające się Zakopane, aspirujące do miana zimowej stolicy Polski, a także popularyzacja narciarstwa sprawiły, że zaczęto myśleć o udostępnieniu wyższych partii Tatr większemu gronu turystów. Projekt wpisywał się w szerszą wizję modernizacyjną II Rzeczypospolitej, która jako młode państwo pragnęła dorównać zachodnim standardom infrastrukturalnym.

Dyskusje na temat wybudowania kolejki podjęto jeszcze przed I wojną światową. Zainicjował je Aleksander Bobkowski – członek i działacz Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarzy. Był miłośnikiem sportów zimowych, w 1910 r. uczestniczył w pierwszych zawodach narciarskich w Dolinie Goryczkowej w Tatrach. Wówczas plany zablokowali przyrodnicy oraz wybuch wojny. Do pomysłu powrócono jednak niedługo po odzyskaniu niepodległości.

Dzięki staraniom Bobkowskiego w 1929 r. Zakopane było gospodarzem narciarskich mistrzostw świata. Trasa biegu zjazdowego prowadziła z Kasprowego Wierchu przez Halę Goryczkową do Kuźnic. Po zawodach temat budowy kolejki wrócił z nową siłą. Sprzeciw nadal wyrażały organizacje związane z ochroną przyrody, towarzystwa naukowe i część środowisk turystycznych, które walczyły o zapewnienie prawnej

Fot. polona.pl

eprasa.pl 1c01a90050

ochrony całym Tatrom. Bobkowski, pełniący wówczas funkcję wiceministra komunikacji i będący zięciem prezydenta Ignacego Mościckiego, zdołał jednak przekonać władze do realizacji projektu. Gdy w 1939 r. do Zakopanego przybyli kibice i sportowcy na kolejne mistrzostwa świata, mogli już wjechać na Kasprowy Wierch nowoczesną koleją linową.

REKORDOWA BUDOWA

Wiosną 1934 r. na zlecenie Ministerstwa Komunikacji przeprowadzono szczegółowe badania terenowe na zboczach Kasprowego Wierchu. Wykonano pomiary i wytyczono przebieg trasy. Ostatecznie przyjęto wariant dwuczęściowy: z Kuźnic na Myślenickie Turnie oraz z Myślenickich Turni na szczyt. Podział był konieczny, ponieważ kolej linowa musi przebiegać w linii prostej. Na rozpoczęcie prac trzeba było jednak poczekać ponad rok.

W lipcu 1935 r. powołano spółkę Towarzystwo Budowy i Eksploatacji Kolei Linowej Zakopane (Kuźnice)–Kasprowy Wierch. Jej prezesem i dyrektorem został Aleksander Kodelski. Wśród udziałowców znalazły się m.in. Polskie Koleje Państwowe, Liga Popierania Turystyki, Polskie Biuro Podróży „Orbis", Towarzystwo Krzewienia Narciarstwa oraz gdańska stocznia. Siedzibę kierownictwa budowy ulokowano w Kuźnicach, gdzie miała powstać stacja początkowa. Zakładano, że realizacja całej inwestycji potrwa zaledwie siedem miesięcy. Był to czas rekordowo krótki nawet według dzisiejszych standardów. Prace ruszyły 1 sierpnia 1935 r. W proteście przeciw inwestycji do dymisji podała się cała Państwowa Rada Ochrony Przyrody, jednak decyzji już nie cofnięto.

W budowę zaangażowano ok. 1 tys. osób. Z czasem zabrakło rąk do pracy nawet na Podhalu, zaczęto sprowadzać robotników m.in. z Krakowa, Tarnowa, a nawet Wilna. Ponadto zatrudniono wykwalifikowanych kamieniarzy z Brasławia oraz traczy i cieśli z Polesia. Aby umożliwić transport materiałów, wybudowano drogę na Myślenickie Turnie. Tam przeładowywano je z samochodów na furmanki zaprzężone w konie huculskie, które dowoziły ładunki na Halę Gąsienicową. Dalej cement, liny czy wodę robotnicy wnosili na plecach. Dopiero na późniejszym etapie budowy część materiałów można było transportować na szczyt roboczą kolejką. Prace prowadzono w systemie trzyzmianowym, nawet do 16 godz. na dobę.

Budowę kontynuowano mimo wyjątkowo trudnych warunków pogodowych. Zima okazała się śnieżna i mroźna. Na szczycie w miejscu przyszłej stacji wzniesiono ogrzewaną drewnianą halę, tzw. cieplak. W środku konieczne było utrzymywanie temperatury powyżej zera, inaczej nie można było murować. Obok cieplaka wybudowano barak dla pracowników, którzy od teraz schodzili z góry co dwa tygodnie. Budynki w Kuźnicach i Myślenickich Turniach ukończono pod koniec grudnia 1935 r. Na przełomie stycznia i lutego 1936 r. stanęła stacja na Kasprowym Wierchu. Gotowe były także podpory.

Jednym z ostatnich, a jednocześnie najtrudniejszych etapów był montaż lin nośnych skonstruowanych w fabryce w Sosnowcu. Rozwijano je z bębnów ustawionych w Kuźnicach, ponad 4 km od stacji górnej. Niewiele brakowało, aby w trakcie prac doszło do ogromnej tragedii – w trakcie montażu jedna z ważących ok. 30 t lin pękła i zwinęła się w stronę Myślenickich Turni. Cudem nie zmiotła po drodze żadnej osoby.

W innej sytuacji ofiar niestety nie udało się uniknąć. Pewnego dnia 11 robotników wbrew zakazowi kierownictwa postanowiło zjechać kolejką roboczą ze szczytu. Przeciążony wagonik oderwał się i spadł kilka metrów w dół. W wypadku zginęły 2 osoby.

TECHNOLOGICZNY CUD W SERCU TATR

Kolej linowa na Kasprowy Wierch była pierwszą tego typu inwestycją w Polsce i sześćdziesiątą na świecie. Odcinek z Kuźnic na Myślenickie Turnie uruchomiono 26 lutego 1936 r., a trzy dni później zakończono całość prac. Budowa trwała zaledwie 227 dni. Już 15 marca 1936 r. na szczyt wjechali pierwsi pasażerowie.

Monumentalne, a zarazem proste w formie budynki stacji harmonijnie wpisały się w tatrzański krajobraz, podkreślając nowoczesny charakter przedsięwzięcia. Na górze oprócz stacji otwarto schronisko i restaurację, co dodatkowo zwiększyło atrakcyjność miejsca. W 1938 r. powstało tu również obserwatorium astronomiczne, zaprojektowane przez Aleksandra i Annę Kodelskich. Koszt całej inwestycji przekroczył 3,5 mln przedwojennych złotych, jednak już wkrótce nakłady zwróciły się za sprawą gigantycznych dochodów. Dzięki kolei Tatry stały się dostępne nie tylko dla wspinaczy i doświadczonych turystów, lecz także dla rodzin, kuracjuszy i miłośników sportów zimowych. Możliwy stał się bliski kontakt z wysokimi górami bez konieczności wielogodzinnej wędrówki. Wjazd na Kasprowy Wierch szybko stał się atrakcją samą w sobie.

Sukces techniczny i finansowy inwestycji wywołał efekt domina. Z inicjatywy działaczy Ligi Popierania Turystyki z Aleksandrem Bobkowskim na czele, przy współudziale władz Krynicy i Ministerstwa Komunikacji, 10 września 1936 r. powołano spółkę Kolej Górska w Krynicy. Jej celem była realizacja projektu kolei linowo-terenowej na Górę Parkową, którą uruchomiono 8 grudnia 1937 r. 20 grudnia 1938 r. ruszyła podobna kolej na Gubałówce w Zakopanem – jej budowę ukończono w zaledwie 168 dni. W tym samym roku na Kasprowym Wierchu uruchomiono także wyciąg w rejonie Kotła Gąsienicowego. Składał się on z dwóch par 16-osobowych sań umocowanych na jednej linie napędzanej silnikiem elektrycznym. Wyciąg miał 300 m długości i stanowił kolejny krok w rozwoju infrastruktury narciarskiej w Tatrach.

KASPROWY WIERCH W CIENIU HISTORII

Kolej na Kasprowy Wierch bardzo szybko stała się czymś więcej niż tylko środkiem transportu – weszła do kanonu symboli polskiej turystyki. W czasie II wojny światowej była wykorzystywana przez okupacyjne władze niemieckie. Z tym okresem wiąże się legendarna historia wybitnego narciarza i ratownika górskiego Józefa Uznańskiego. Zaangażowany w działalność niepodległościową jako kurier tatrzański zimą 1944 r. podczas jednej z misji wjeżdżał kolejką na Kasprowy Wierch, by przedostać się dalej w góry. Wtedy dowiedział się, że na górnej stacji czekają na niego niemieccy żandarmi. Uznański nie zamierzał oddawać się w ręce okupanta. Gdy wagonik zbliżał się do stacji pośredniej na Myślenickich Turniach, zapiął

eprasa.pl 1c01a90050





narty i wyskoczył w stronę stromego żlebu. Rozpoczął brawurowy zjazd, uciekając przed Niemcami, którzy strzelali do niego i puścili za nim psy. Mimo pościgu zdołał zbiec i ocalić życie.

Po wojnie kolej wróciła do obsługi ruchu turystycznego. Z roku na rok zyskiwała popularność, szczególnie w sezonie zimowym. 2 marca 1962 r. w rejonie Kotła Gąsienicowego uruchomiono kolej z jednoosobowymi krzesełkami, która zastąpiła dawny wyciąg saniowy. W 2000 r. została ona zmodernizowana i przekształcona w wyciąg czteroosobowy. Z kolei 14 grudnia 1968 r. oddano do użytku dwuosobową kolej krzesełkową w Kotle Goryczkowym, która przetrwała do czasów współczesnych.

Na początku 2007 r. rozpoczęto gruntowną modernizację samej kolei linowej na Kasprowy Wierch. Zakończono ją 15 grudnia tego samego roku. Wymieniono wagony oraz system napędowy, oczywiście zachowując historyczny charakter obiektu. Uroczystego otwarcia zmodernizowanej kolei 18 stycznia 2008 r. dokonał prezydent RP Lech Kaczyński.

WALKA O POLSKIE KOLEJE LINIOWE

W XXI w. kolej na Kasprowy Wierch znalazła się w centrum ogólnopolskiej debaty o prywatyzacji majątku państwowego. W 2013 r., za rządów koalicji PO-PSL, Polskie Koleje Linowe zostały sprzedane. 99,77 proc. akcji trafiło do luksemburskiej spółki Altura. Decyzja wywołała falę krytyki w całym kraju, szczególnie oburzona była społeczność na Podhalu. Przeciwnicy transakcji argumentowali, że infrastruktura w sercu Tatr, mająca znaczenie nie tylko gospodarcze, lecz także symboliczne, nie powinna przechodzić w ręce prywatnego, w dodatku zagranicznego kapitału.

Szczęśliwie w 2018 r. PKL odkupiły należący do Skarbu Państwa Polski Fundusz Rozwoju, dzięki czemu spółka wróciła w polskie ręce. Niestety temat wrócił wraz z kolejną zmianą władzy. Pod koniec 2025 r. w mediach pojawiły się informacje, iż rząd Donalda Tuska rozważa ponowną sprzedaż kolejki, tym razem poprzez wprowadzenie PKL na Giełdę Papierów Wartościowych w Warszawie. Wzbudziło to zdecydowany sprzeciw ludzi, szczególnie górali i samorządów z Podhala. Ostatecznie pod koniec stycznia ogłoszono rezygnację z planów debiutu giełdowego. Czy temat powróci w przyszłości, czas pokaże.

> Kolej linowa na Kasprowy Wierch była pierwszą tego typu inwestycją w Polsce i sześćdziesiątą na świecie. Odcinek z Kuźnic na Myślenickie Turnie uruchomiono 26 lutego 1936 r., a trzy dni później zakończono całość prac. Budowa trwała zaledwie 227 dni. Już 15 marca 1936 r. na szczyt wjechali pierwsi pasażerowie

GÓRY DLA KAŻDEGO

Kasprowy Wierch należy dziś do najczęściej odwiedzanych miejsc w polskich Tatrach. Kolej linowa zapewnia szybki dostęp do wysokogórskich szlaków i tras narciarskich, a rocznie korzystają z niej setki tysięcy turystów. W ciągu 90 lat przewiozła już kilkadziesiąt milionów pasażerów, stając się jednym z najbardziej rozpoznawalnych symboli polskiej turystyki. Stanowi zarazem świadectwo ambicji II Rzeczypospolitej i przykład przedwojennej myśli technicznej, która realnie zmieniła sposób doświadczania gór. Dla jednych wjazd na Kasprowy Wierch to przede wszystkim wygoda i możliwość podziwiania panoramy Tatr bez wyczerpującego podejścia, dla innych – początek ambitnych wypraw granią lub zjazdów w kotłach polodowcowych. Dla wszystkich pozostaje jednak majestatyczną budowlą i częścią wspólnej historii.

Od początku inwestycja budziła kontrowersje i sprzeciw niektórych środowisk. Głosy o zbyt dalekiej ingerencji w przyrodę powracały również przy okazji modernizacji w 2007 r. Ostatecznie spór zweryfikował czas. Tatry pozostały majestatyczne i niezmienne, obojętne na toczone w dolinach dyskusje. Dziś każdy może się przekonać, że kolej nie odebrała górom ich charakteru, lecz umożliwiła bezpośredni kontakt z wysokogórskim krajobrazem także tym, dla których samodzielne zdobycie szczytu byłoby zbyt trudne lub wręcz niemożliwe.

Fot. NAC

eprasa.pl 1c01a90050



Świetni chłopcy

Dwóch 25-latków: Anson Boon („Dobry chłopiec”) i Bartłomiej Deklewa („Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”). Sądząc po najnowszych rolach, mają w sobie i kinowy pazur, i wrażliwość. I jeszcze niejednym mogą nas zaskoczyć

Fot. Piotr Matusewicz/East News, Fred Duval/Shutterstock.com

eprasa.pl 1c01a90050



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA



Kadr z filmu „Dobry chłopiec”

Właściwie mogliby się zamienić rolami. Są do siebie podobni. I mają coś niezwykle cennego dla aktorów – umiejętność wiarygodnego wchodzenia w postać. Nie grania, nie kreowania, lecz bycia bohaterem. Osobą, którą stają się przed kamerą, nie „po warunkach”, lecz dzięki szerokiemu spektrum – talentu, empatii, gotowości na zmiany. Na ekranie mogą w pełni być kimś innym niż sobą. Także fizycznie.

BEZ HAMULCÓW

Kiedy patrzy się na „prywatne” zdjęcia Ansona Boona, aż trudno uwierzyć, że mógł tak wiarygodnie zagrać niepohamowaną współczesną miejską bestię. 19-letniego chłopaka bez hamulców. Nieuznającego żadnych ograniczeń. Skoncentrowanego wyłącznie na sobie, swoich potrzebach i ekspresjach. Pobudzanego kolejnymi, coraz mocniejszymi używkami i pozwalającego sobie na coraz więcej. Nawet nie chuligana, a młodego bandytę, którego nic nie powstrzyma przed skrzywdzeniem innych. I tu możemy zawiesić pytanie – nic?

Bo w przewrotnym (począwszy od tytułu), nie w każdym momencie moralnie jednoznacznym filmie Jana Komasy „Dobry chłopiec” pojawia się rozwiązanie, które jest też „uwiązaniem”. Dosłownym i w przenośni. Forma resocjalizacji, której zostaje poddany młody bohater, stanowi zarazem opresję czerpiącą z tradycji, reguł i więzi, przez wielu uznawanych za archaiczne. Bo czym współcześnie jest rodzina? W doświadczeniach artykułowanych na różnych antyfamilijnych forach – traumatyzującą wydmuszką, pozbawioną dobrych uczuć, gestów i przede wszystkim poświęcanego czasu.

PRZEWROTNOŚĆ OCENY

W diagnozie stawianej w polsko-brytyjskim filmie „Dobry chłopiec” zarówno przez scenarzystów Bartka Bartosika oraz Naqqasha Khalida, jak i Jana Komasę – reżysera, który docenia i szanuje rodzinę – również współczesne młode bestie potrzebują mocnego (w tym kulturowego) punktu odniesienia, rodzinnej bazy oraz autentycznej obecności drugiego człowieka.

Przewrotność takiej oceny bierze się m.in. stąd, że trudno spełniać podobne potrzeby w coraz bardziej zatomizowanym, egocentrycznym społeczeństwie. Nie sposób też oczekiwać równie radykalnych środków resocjalizacyjnych, jak te podjęte na ekranie. Jeszcze trudniej je obronić. Mimo to w filmie Komasy przewrotność i niejednoznaczność dobrze „gra”, co jest w dużej mierze zasługą aktorów.

W stworzeniu wiarygodnych napięć i metamorfoz pomogli Ansonowi Boonowi (znanemu m.in. z „1917” Sama Mendesa) bardziej doświadczeni koledzy. Zwłaszcza nagrodzony w tym roku Złotym Globem (za rolę w serialu „Dojrzewanie”) Stephen Graham.

Z DOMU NA DOBREJ

W wielowymiarowej, intensywnej relacji pokazał swojego bohatera także Bartłomiej Deklewa. W głośnym już debiutanckim filmie Emi Buchwald (w którym – swoją drogą – rodzina również jest najcenniejszym spoiwem)



Kadr z filmu „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”

wcielił się w najmłodszego z czwórki dorosłego już rodzeństwa. Jego Benek to najbardziej straumatyzowany członek okaleczonej rodziny. Uciekający od świata przed przytłaczającym go lękiem – odbierającą dech zmorą wizualizowaną w postaci nawiązującego do ludowych podań dusiołka.

W „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” Deklewa zagrał niuansami, podporządkowując się swojemu bohaterowi. Na zdjęciach prywatnych i tych prezentujących jego aktorski potencjał jest zupełnie inny. I właśnie te „możliwości” wydają się otwierać młodemu aktorowi drzwi do coraz ciekawszych i różnych zadań oraz projektów. Choćby z najnowszą rolą... Adama Małysza w powstającym właśnie pełnometrażowym filmie fabularnym o legendarnym skoczku.

OD BAŁTYKU PO TATRY

Co ciekawe, Deklewa urodził się i wychował nad morzem. Nim zdecydował się na studia aktorskie (jest absolwentem Akademii Sztuk Teatralnych w Krakowie) przez lata działał jako wolontariusz na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w rodzinnej Gdyni. W ubiegłym roku pojawił się na wyjątkowej, jubileuszowej edycji festiwalu jako aktor jednego z najbardziej docenionych filmów – „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”.

Szersza publiczność poznała go m.in. dzięki serialom „Absolutni debiutanci” czy „Breslau”. Na dużym ekranie mogliśmy go oglądać m.in. w „Idź pod prąd” (tu jako Lesław „Tomkas” Tomkow z zespołu KSU), „Światłoczuła” czy „13 dni do wakacji”.

Teraz czeka go prawdziwy zawodowy skok, a nawet skoki (choćby tylko sugerowane). Realizację „Adama” zaplanowano m.in. w Szczyrku i Wiśle, a także niemieckim Oberstdorfie. Pochodzący znad morza aktor jest już po zdjęciach na tzw. belce na prawdziwej skoczni. Czy czekają go wysokie loty?

Fot. Studio Munka&SFP, Kino Świat



Maciej ***Walaszczyk***

Gitarowy Bach

W 1741 r. Jan Sebastian Bach wkroczył w swój najbardziej dojrzały etap twórczy i przyjął zlecenie ambasadora rosyjskiego w Dreźnie, by napisać utwór dla wybitnego klawesynisty J.G. Goldberga. Kompozycja miała ponoć koić bezsenność hrabiego Keyserlinga, za co Bach uzyskał od niego największe życiowe honorarium – złoty kubek wypełniony 100 luidorami.

Utwór jest gigantyczną muzyczna budowlą, której podstawowym budulcem jest skoczna aria zaczerpnięta z „Klavierbüchlein für Anna Magdalena Bach". Słynna melodia została przetworzona w 30 numerowanych wariacjach z użyciem najtrudniejszych technik i form muzycznych. Barokowe arcydzieło zostało napisane na klawesyn, choć jest także grane na fortepianie, ale jak wiemy, muzyka Bacha przekracza instrumentalne granice. A teraz – nie po raz pierwszy – zostało zaaranżowane przez gitarowy duet tworzony przez Thibauta Garcię i Antoine'a Morinière'a, dwóch wybitnych wirtuozów młodszego pokolenia. Płytę przygotowywali przez rok, a do tego na tydzień ukryli się przed światem za murami tradycyjnego benedyktyńskiego opactwa Solesmes. By przedsięwzięcie się powiodło, zamówiono u lutnika parę bliźniaczych gitar zbudowanych z tego samego drewna, by zarówno w studiu, jak i na scenie wybrzmiały one jak jeden instrument obsługiwany przez zdawałoby się czterorękiego wykonawcę. Dźwięki wydobywane z gitar są szczególnie przemyślane, ich kontury – dodatkowo wystudiowane, a żywiołowe akcenty uzupełniają te bardziej refleksyjne i stonowane. Szarpiąc struny, muzycy nie tylko zachowują najlepsze cechy klawesynu i bachowskie idee harmoniczne, lecz także dodają do brzmienia znacznie więcej niż w klasycznym wykonaniu. By tak się stało, musieli z jednej strony pozostać wiernymi pierwotnemu zapisowi, a z drugiej – poradzić sobie np. z momentami, gdy w utworze pojawiały się 3–4 głosy. Dostosować partie napisane na instrument klawiszowy na dwie gitary, zachowując jednocześnie iluzję jednego artysty.

Efekt jest znakomity. Jak napisał Éric-Emmanuel Schmitt, „Wariacje Goldbergowskie" nie są muzyką liturgiczną, ale pozostają kazaniem – „równie ważnym jak słowo mówione, jeśli nie jeszcze potężniejszym". I pomyśleć, że zasłuchiwał się w nich filmowy Hannibal Lecter.



J.S. Bach: Goldberg Variations, wyk. Thibaut Garcia i Antoine Morinière, Warner Music Group 2025

Dyktatura menedżerów

Książkę tę w 1958 r. wydał w polskim przekładzie Jerzy Giedroyć, inspirowali się nią lewicowcy, m.in. George Orwell, Guy Debord, prawica reaganowska i przede wszystkim ta, która stanęła wobec niej w opozycji, m.in. Samuel Francis. Wnioski wyciągnięte z diagnoz postawionych przez Jamesa Burnhama wiele dekad później zrodziły strategię zwaną trumpizmem.

Autor to postać nietuzinkowa. Na początku lat 50. XX w. był współzałożycielem Kongresu Wolności Kultury oraz pisma „National Review", z którym pozostał związany do śmierci, stając się mentorem m.in. jego wieloletniego redaktora Williama F. Buckleya. Zanim jednak dołączył do amerykańskiego ruchu konserwatywnego o ostrzu wyraźnie antykomunistycznym, był związany z amerykańską partią komunistyczną i jej skrzydłem trockistowskim. W 1940 r. przeszedł na pozycje prawicowe, a rok później ukazała się „Rewolucja menedżerów". Opisuje ona zmiany socjoekonomiczne, które nastąpiły w USA po wprowadzeniu rooseveltowskiego Nowego Ładu, a dziś ogarniają świat Zachodu i wszystkie obszary, gdzie docierają reguły neoliberalnej globalizacji. Dzięki powstaniu protekcjonistycznych gospodarek na scenę dziejów wdarła się zupełnie nowa klasa zarządców własności – zarówno prywatnej, jak i państwowej. To klasa menedżerska, złożona z wszechobecnych technokratów, biurokratów, ekspertów, planistów, administratorów. Dominacja ekonomiczna pozwoliła jej zdobyć też władzę polityczną. W toku tzw. rewolucji menedżerskiej runął więc uformowany w XIX w. układ społeczny tworzony przez burżuazję i robotników, kwestionując jednocześnie teorię Marksa. Państwo menedżerskie zlikwidowało dawną burżuazję, a dziś jego ofiarą pada tzw. klasa średnia. Zarówno w państwach totalitarnych, jak i demoliberalnych obserwuje się więc poddanie życia społeczno-gospodarczego nadzorowi aparatu władzy, rozrost administracji i marginalizację klasycznych właścicieli. Władza zaczęła się opierać na kontroli organizacyjnej i technicznej, nie potrzebuje totalitarnej estetyki i przemocy, by sprawować totalną kontrolę nad społeczeństwem.



DO KUPIENIA NA STRONIE WSKLEPIKU.PL

James Burnham, „Rewolucja menedżerów", Wektory 2025

Lektura obowiązkowa! A nam pozostaje mieć jeszcze nadzieję na kolejne polskie przekłady. W kolejce czekają „Makiaweliści: obrońcy wolności" i dzieło życia filozofa, a więc wydane w 1964 r. „Samobójstwo Zachodu. Szkic o mentalności i przeznaczeniu liberalizmu".

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 1c01a90050





HITY i KITY ZAREMBY

Czy Wilimowskiego skrzywdzono? „Ezi” w TVP1

„Ezi”, sztuka Roberta Talarczyka, wyreżyserowana dla Teatru Telewizji przez Janusza Zaorskiego, to gratka dla amatorów historii futbolu. Jest pośród nas niewielu ludzi, którzy pamiętają przedwojenne wyczyny Ernesta Wilimowskiego, piłkarza polskiej reprezentacji. Za to mistrzostwa świata w 1974 r., tak udane jak nigdy potem, pamiętam nawet ja

Podobno w ich trakcie – a odbywały się w niemieckim Monachium – w hotelowym holu doszło do kilkuminutowego spotkania legendarnego trenera ówczesnej polskiej reprezentacji Kazimierza Górskiego z Ernestem Wilimowskim, który podczas wojny wszedł w skład reprezentacji III Rzeszy, więc okrzyknięto go zdrajcą. 30 lat po wojnie miał życzyć polskiej reprezentacji powodzenia.

Talarczyk z Zaorskim uczynili z przelotnego spotkania długą nasiadówkę przy alkoholu – w nocy przed meczem Polaków z Niemcami, który przegraliśmy. Znaczną część chaotycznej pogawędki zajmują piłkarskie anegdotki, także rady i proroctwa Wilimowskiego odnośnie do meczu. Kto zna filmy Zaorskiego, wie, że umie się on poruszać w tej tematyce.

Skądinąd lubię odbierać historię przez takie choćby wymyślone lub ubarwione spotkania. Tu dochodzi do obrachunków bardziej zasadniczych. Górski nie ma specjalnych pretensji do Wilimowskiego o „zdradę” – zwłaszcza że sam podczas wojny występował w rodzinnym Lwowie najpierw „dla Sowietów”, potem „dla Niemców”. Mówi, że chciał po prostu „grać w piłkę”. Wilimowski ma nawet mocniejsze usprawiedliwienie. Jego matka trafiła do Auschwitz. Wyszła, kiedy on zaangażował się piłkarsko po stronie Niemiec. Mamy więc przypowiastkę o jednostkach może nie miażdżonych, ale naginanych przez polityczną maszynerię.

Mogę nawet zrozumieć powracający refren wyjaśnień Wilimowskiego: „Jestem Ślązakiem”. Pochodził z mieszanego małżeństwa, urodził się jako niemiecki poddany. Miał w swojej rodzinie także polskich patriotów walczących u boku Korfantego. Ale na terenach przygranicznych podwójna lub zaburzona świadomość narodowa nie jest niczym dziwnym.

Jedno, co mi w spektaklu zgrzytało, to kilka momentów rozżalenia „Eziego” wobec Polski, że po wojnie uczyniła z niego białą plamę, przemilczając jego bramki strzelone dla Polski. Na to poczucie niesprawiedliwości kładł nacisk w wypowiedziach i autor, i reżyser. Po latach coś takiego może powtarzać tylko ktoś, komu zatarła się świadomość, czym była ta wojna światowa. Narodowa polaryzacja, która po niej nastąpiła, mogła kogoś skrzywdzić. Ale trudno się jej dziwić po eskalacji niemieckich okrucieństw.

Tym bardziej że nie sposób też odtworzyć, co myślał, dajmy na to w 1945 r., sam bohater dramatu. Kim bardziej się czuł? Zdaje się, że nie jest to udokumentowane i sztuka nie próbuje odpowiadać na to pytanie. Wpisuje się to jednak w wizję samego Talarczyka. Dyrektor Teatru Śląskiego w Katowicach przejął od Kazimierza Kutza pałeczkę w narzekaniu na niewątpliwe, a także mocno wyolbrzymione śląskie krzywdy.

Czy rzeczywiście – a coś takiego pada – Polacy odnosili się do Ślązaków tak jak do Żydów? Dobrze pamiętam lata 70. ub.w. Był pewien osad nieufności, ale wrogości sobie nie przypominam. Zapewne w pierwszych latach po wojnie było inaczej. Ale tu – powtórzę – Wilimowski nie jest chyba typowym przykładem. Za to zderzenie śląskiej godki i lwowskich przyśpiewek, po które sięga Górski, dobrze oddają atmosferę kulturowych paradoksów. Andrzej Chyra („Ezi”) i Zbigniew Zamachowski (Górski) wzmocnili ten przekaz kameralnym popisem gry aktorskiej. Zamachowski nie jest specjalnie podobny do „trenera tysiąclecia”, ale od czego teatralna umowność.

Piotr Zaremba

Fot. Przemysław Jendroska

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL



„EUROKALIFAT" – KTO ZATYKA USZY?

Warto przeczytać „Eurokalifat" Michała Bruszewskiego, który spokojnym, eksperckim tonem opisuje zjawiska jeszcze niedawno ignorowane lub zakrzykiwane. Dziś niczego już się chyba nie da zakrzyczeć, co nie oznacza, że w Europie padają sensowne odpowiedzi na opisane przez niego wyzwania

Michał Bruszewski (czasami przedstawia się jako Mike) wydał ten polityczny esej w nachylonej w konserwatywną stronę Zonie Zero. Autor jest reporterem, w niektórych sytuacjach wojennym, pracuje pod szyldem portalu Defence24. To charakterystyczne, ale zaczyna swoje wywody od przekonywania, że w jego motywacjach nie ma niczego rasistowskiego. Ba, że dla różnych wspólnot na Bliskim Wschodzie zrobił więcej niż ci, którzy wciąż są okopani na pozycjach politycznej poprawności, więc nie chcą widzieć ani wiedzieć. Wierzę mu.

Podtytuł książki brzmi: „Dżihad, gangi i islamizacja Europy". To wszystko jest dla niego częścią jednego zjawiska – w Europie poszerzają się enklawy ludzi, którzy nie mają najmniejszej ochoty integrować się z europejskością, ba, w wielu wypadkach nieobca jest im myśl o niszczeniu lub naginaniu do swojej woli świata gospodarzy. Co stanie się coraz bardziej możliwe. Liczby są nieubłagane. W 2050 r. muzułmanie będą stanowić 19,7 proc. ludności Niemiec, 17,2 proc. Wielkiej Brytanii i aż 30,6 proc. ludności Szwecji.

Kiedy poświęca cały rozdział właśnie Szwecji, rozrywanej przez muzułmańskie gangi, przypomina mi się nagonka na Jarosława Kaczyńskiego. W obliczu potężnej fali migracyjnej z Afryki i Bliskiego Wschodu powiedział, że w szwedzkich miastach istnieją całe dzielnice wyłączone faktycznie spod szwedzkiego prawa, rządzone według zasad szariatu. Ileż w odpowiedzi było szyderstw, ile epitetów. Oficjalnie zaprzeczała temu szwedzka ambasada. Dziś nikt już nie zaprzecza, kręcone są na ten temat filmowe reportaże, a szwedzka antymigracyjna prawica jest coraz silniejsza.

Bruszewski tłumaczy, czym jest idea dżihadu i dlaczego tzw. euroislam, czyli próba stworzenia hybrydy z rygorystycznej religijności i z naszych wartości, się nie przyjął. Oczywiście w zachodnich filmach wciąż szuka się „pozytywnych muzułmanów". Ale logika przemiany religii w wojującą ideologię o totalitarnych zapędach jest nieubłagana. Autor pokazuje największy paradoks: polityczną symbiozę zachodniej lewicy z wojującymi muzułmanami. Nie przedstawia recept, choć gdzieś w środku książki snuje marzenia o pomocy dla krajów ekonomicznie upośledzonych, tak aby ludzie stamtąd zostawali u siebie. Książce brakuje syntetycznej siły „Przedziwnej śmierci Europy" Douglasa Murraya, która przekonała mnie, że procesy migracyjne idą w złym kierunku. Bruszewski trochę gubi tezy pośród dziesiątków po reportersku przywoływanych faktów. Ale przeczytać go trzeba. I spytać liberalną lewicę, co proponuje – poza zatykaniem uszu.

Szczypta nadziei w Teatrze Kamienica

Nie jestem amatorem dydaktyzmu, a tym bardziej akcyjności w teatrze. A jednak monodram „Żyj teraz" Barbary Popławskiej i Wawrzyńca Kostrzewskiego broni się. Choć został wystawiony z okazji Ogólnopolskiego Dnia Walki z Depresją, był prawdziwy, sięgając po ludzkie losy. Choć ta prawdziwość to przede wszystkim wspaniała rola Justyny Sieńczyłło



Fot. Cezary Piwowarski/Teatr Kamienica

Barbara Popławska jest terapeutką, więc specjalistką od wnikania w ludzkie dusze. Duże doświadczenie w tym ma także reżyser Wawrzyniec Kostrzewski, który dopisał do tekstu coś na kształt słowa wiążącego. Historie trzech różnych kobiet nie pokazują przypadków depresji – pokazują bohaterki, które mierzą się z życiem, przemocą albo ze złym losem i odnoszą zwycięstwa, choć na różną miarę.

Pierwsza jest ofiarą męża przemocowca – to opowieść najbardziej typowa. Druga wspiera brata, który w następstwie wypadku stał się inwalidą. Trzecia dowiaduje się o swojej śmiertelnej chorobie. Jest samotną matką, jej syn jest w pierwszej klasie liceum. Co się z nim stanie, kiedy jej zabraknie?

Po spektaklu na scenie zgromadziło się uczone grono, by dyskutować o tym, jak ratować ludzi zagrożonych strachem, zwątpieniem. Dla mnie w roli ratowniczki występuje Justyna Sieńczyłło, dyrektorka Kamienicy, którą przejęła po zmarłym mężu Emilianie Kamińskim. Tyle w niej siły, kiedy prezentuje nam racje i temperament swoich bohaterek. Tak bardzo jest empatyczna wobec własnych postaci, że sam, najpierw wzruszony, poczułem się w finale natchniety nadzieją. Sieńczyłło gra trzy różne postacie, a równocześnie po prostu z nami rozmawia. Nie agituje – przekazuje swoje ciepło i mądrość. Zarazem – i to pamiętałem – że to ta sama Justyna Sieńczyłło, która wciąż broni swojego teatru przed zakusami dziwnych łowców kamienic. Która wykazuje w tej sprawie tyle hartu, wytrwałości, odwagi.

Jedna uwaga, która nie jest krytyką – bardziej uzupełnieniem. Dziś, w epoce emancypacji kobiet, najlepiej sprzedają się ich historie. W przerywnikach podawanych przez niewidoczną Olgę Sarzyńską przypominano nam jednak, że ciężar ponad siły może spadać także na mężczyzn. Kiedyś chciałbym więc zobaczyć podobną opowieść o nich. Choć uspokajam: już tu poznajemy wspaniałych facetów obok potworów.



Gorąco w centralnym banku Europy



STANISŁAW KOCZOT

Finansowe serce Unii bije we Frankfurcie nad Menem. Tu ma swoje biura Christine Lagarde, szefowa Europejskiego Banku Centralnego. Jej kadencja kończy się w październiku 2027 r. Dla Francuzów i Niemców, którzy trzymają klucze do EBC, to za późno. Dlaczego?

Burza rozszalała się na dobre w połowie lutego, kiedy „Financial Times", powołując się na wiarygodne źródła, poinformował, że Christine Lagarde planuje ustąpić ze stanowiska już w październiku tego roku – dokładnie rok przed oficjalnym końcem swojej ośmioletniej kadencji.

Nagłe przyspieszenie wywołało falę spekulacji, a na rynkach zaczęto mówić o „politycznej inżynierii". Dlaczego? Bo wcześniejsze odejście Lagarde otworzyłoby drogę prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi oraz kanclerzowi Niemiec Friedrichowi Merzowi do obsadzenia stanowiska prezesa EBC jeszcze w 2026 r. Celem takiej strategii miałoby być zabezpieczenie się przed fatalnym dla unijnego establishmentu scenariuszem, w którym zwycięstwo we francuskich wyborach prezydenckich zaplanowanych na kwiecień 2027 r. przypada kandydatowi prawicy.

EBC LAWIRUJE, LAGARDE USPOKAJA

Reakcja EBC na sensacje „Financial Times" była niejednoznaczna. Rzecznik banku stwierdził jedynie, że „prezes Lagarde jest całkowicie skoncentrowana na swojej misji i nie podjęła żadnej decyzji dotyczącej zakończenia sprawowania urzędu". Sama Lagarde próbowała uciąć spekulacje. W wywiadzie dla „The Wall Street Journal" zadeklarowała, że jej „scenariuszem bazowym jest dotrwanie do końca kadencji". Według Reutera szefowa EBC mniej więcej powiedziała to samo swoim współpracownikom.

Mimo tych deklaracji komentatorzy, tacy jak cytowany przez Euronews Andrew Kenningham, główny ekonomista ds. Europy w Capital Economics, uważają, że w języku dyplomacji finansowej „scenariusz bazowy" nie oznacza ostatecznego zobowiązania, a próby inżynierii politycznej mającej na celu wymuszenie wcześniejszego odejścia szefowej EBC „nie wyglądają dobrze".

Być może Christine Lagarde rzeczywiście ma zamiar dotrwać do końca, ale nie wiadomo, czy takie same plany mają Macron i Merz.

W każdym razie po kilku dniach od pierwszej sensacji „Financial Times" podał kolejną, uderzającą bezpośrednio i boleśnie w Lagarde: dziennik ujawnił jej zarobki w Banku Rozrachunków Międzynarodowych (BIS). BIS pełni funkcję „banku ban-

Fot. Felix Schmitt/ECB, EUS-Nachrichten/Shutterstock.com, Kaua209/Shutterstock.com

eprasa.pl 1c01a90050

ków centralnych", koordynuje współpracę między nimi. Lagarde, zasiadając w jego zarządzie, pobiera tam dodatkowe uposażenie.

„WYCHWALAJ WODĘ, PIJ WINO!"

Z listu wysłanego przez Lagarde do europosłów Fabia De Masiego (niemiecki polityk lewicy) i Dicka Erixona (szwedzki poseł do PE) wynika, że w 2025 r. otrzymała z BIS 130 457 franków szwajcarskich (ok. 142 700 euro, czyli ponad 602 tys. zł). Szeregowi pracownicy EBC mają kategoryczny zakaz przyjmowania płatności od podmiotów trzecich. Nawet asystent towarzyszący Lagarde na posiedzeniach BIS musi przekazać ewentualne diety do kasy EBC. „Wychwalaj wodę, pij wino!" – grzmiał jeden z pracowników na wewnętrznym forum EBC, którego wypowiedź przytoczył „Financial Times".

Porównanie z innymi szefami banków centralnych stawia Lagarde w trudnym położeniu. Np. przewodniczący amerykańskiego FED Jerome Powell oraz gubernator Banku Anglii Andrew Bailey, chociaż zasiadają w BIS, nie pobierają z tego tytułu wynagrodzenia. Zarabiają mniej od niej, np. Bailley – ok. 700 tys. euro (595 tys. funtów) rocznie, a przewodniczący FED – ok. 190 tys. euro (203,5 tys. dol., jego pensja jest ściśle regulowana przez amerykański Kongres, Bailley ma zakaz przyjmowania płatności od obcych instytucji). Lagarde, inkasując rocznie – jak pisał Euronews – ok. 743 tys. euro, to najlepiej opłacana urzędniczka w Unii Europejskiej.

EBC stanął w obronie Lagarde, stawiając wyraźną granicę między personelem etatowym a kadrą kierowniczą najwyższego szczebla (executive leadership). Bank podkreślił, że Lagarde podlega odrębnemu kodeksowi postępowania dla wysokich rangą członków organów decyzyjnych.

EPIDEMIA REZYGNACJI

Christine Lagarde, była szefowa MFW i minister finansów Francji, objęła stery banku w 2019 r. Jej prezesura upłynęła pod znakiem walki z inflacją, która w 2022 r. sięgała 11 proc. Dziś, przy inflacji na poziomie 2 proc., Lagarde mogłaby odejść w poczuciu dobrze wykonanego zadania, gdyby nie polityczny cień rzucany przez Pałac Elizejski i Berlin.

Motywacja Macrona do przeprowadzenia ewentualnej przedwczesnej roszady kadrowej jest dość czytelna. Zjednoczenie Narodowe – Rassemblement National (RN) – pod wodzą Marine Le Pen i Jordana Bardelli notuje wysokie poparcie. Ich wygrana w 2027 r. oznaczałaby, że to Paryż pod rządami RN miałby decydujący głos w wyborze następcy Lagarde. Choć szefa EBC wybiera Rada Europejska, w praktyce wygląda to tak, że kandydat musi mieć pełne poparcie Paryża i Berlina. Macron chętnie uniknąłby scenariusza, w którym o obsadzie najważniejszego banku na kontynencie decyduje polityk krytyczny wobec eurolandu.

Manewry w takim stylu dokonują się już teraz. 9 lutego 2026 r. dymisję ogłosił prezes Banku Francji François Villeroy de Galhau. Oficjalnie odchodzi w czerwcu, by kierować fundacją, ale fakt, że robi to rok przed terminem, jest interpretowany jako element szerszej układanki. Dzięki jego dymisji Macron zdąży mianować nowego szefa francuskiego banku centralnego na pełną sześcioletnią kadencję, ograniczając wpływ przyszłego rządu na tę instytucję.

Ugrupowanie Le Pen nie pozostawia na tych ruchach suchej nitki. Jordan Bardella, lider Zjednoczenia Narodowego, nazwał pośpiech w zabezpieczaniu stanowisk „antydemokratycznym". Eurodeputowana RN Julie Rechagneux w rozmowie z Euronews oceniła, że „wszelkie próby politycznego manewrowania wokół tych nominacji osłabiają wiarygodność Francji". Poseł RN Jean-Philippe Tanguy podczas przesłuchania w Zgromadzeniu Narodowym kpił z „epidemii rezygnacji".

WIĘKSZA INTEGRACJA

Stanowisko zajmowane przez Christine Lagarde to waga superciężka. EBC jest federalną instytucją strefy euro, odpowiedzialną za emisję wspólnej waluty i utrzymanie stabilności cen we wszystkich państwach eurolandu. Bank ma duży wpływ na całą Unię Europejską choćby z tego powodu, że pełni funkcję ośrodka dla Europejskiego Systemu Banków Centralnych (ESBC), do którego należą także państwa nie zrzeszone w eurostrefie, m.in. nasz NBP.

EBC od zawsze był potężny, ale teraz jego rola wykracza daleko poza standardowe ustalanie poziomu stóp procentowych. Bank staje się głównym rzecznikiem i koordynatorem głębokich reform strukturalnych UE. Pod wodzą osoby lojalnej wobec głównego nurtu integracji będzie kluczową instytucją wprowadzającą w życie tak ważne projekty jak Unia Rynków Kapitałowych (CMU) czy Unia Oszczędności i Inwestycji.

W praktyce są to precyzyjnie zaplanowane mechanizmy zagospodarowania oszczędności Europejczyków – w tym Polaków. Bruksela i Frankfurt chcą, aby pieniądze zgromadzone na prywatnych kontach obywateli (szacowane na biliony euro) zostały wykorzystane do finansowania kluczowych zadań Unii, w tym polityki klimatycznej. EBC może odegrać rolę strażnika tego procesu, ułatwiając transfer kapitału z peryferii do centrum.

WYSOKA STAWKA

Jak przyznała Lagarde w wywiadzie dla „The Wall Street Journal", potrzebne są „reformy w celu poprawy produktywności poprzez uproszczenia", co w praktyce oznacza harmonizację przepisów podatkowych i upadłościowych w całej UE. EBC forsuje także cyfrowe euro, które może trafić do wirtualnego obiegu już w 2029 r. (ma się ono stać nie tylko narzędziem rozliczeń między finansowymi podmiotami, lecz także pieniądzem służącym do płatności detalicznych).

Każde z tych przedsięwzięć ma mocniej zintegrować Unię Europejską. Bez wiernego tym ideom prezesa EBC nie da się przeprowadzić tak skomplikowanego procesu. „Jeśli 50 proc. naszej listy kontrolnej reform zostałoby wdrożone, potencjał wzrostu Europy znacząco by się poprawił" – przekonywała Lagarde na łamach „The Wall Street Journal". Oczywiście wiązałoby się to z bezprecedensową centralizacją kapitału i jego migracją do kluczowych instytucji finansowych Europy. Polski w nich nie ma.

Zamieszanie wokół Christine Lagarde pokazuje rosnącą panikę z powodu ewentualnej wygranej prawicy we Francji. Andrew Kenningham zasugerował wręcz, że niektóre z tych obaw mogą się wydawać „lekko paranoiczne".

Stawka – czyli kontrola nad gigantycznym kapitałem Europejczyków – jest jednak zbyt wysoka, by Berlin i Paryż pozostawili rozstrzygnięcie przypadkowi.

eprasa.pl 1c01a90050



Zagadka Arktyki

Pośród cudów przyrody na Ziemi z pewnością można wymienić tajemniczego niedźwiedzia polarnego, największego drapieżnika lądowego na świecie, choć niezwykłe zdolności tego gatunku pozwalają klasyfikować to zwierzę również jako morskiego mięsożercę. Na czym polega osobliwość niedźwiedzi polarnych, ile ich jest i czy mają szanse na przetrwanie?



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Z jednej strony niedźwiedź polarny to ikona Arktyki, z drugiej – nasza wiedza o jego biologii jest zaskakująco skąpa. Z prostego powodu: miejsce, które wybrało sobie do życia to zwierzę, jest ekstremalnie niedostępne, nawet dla współczesnej nauki. Potworny mróz, miesiące ciemności, śnieg i lód jako jedyne otoczenie przez znaczną część roku stanowią wyzwanie, jakiemu niemal nie da się sprostać.

Niedźwiedź polarny jest stałocieplnym wielkim ssakiem, w dodatku drapieżnym, co wiąże się z koniecznością regularnego zdobywania odpowiedniej ilości pożywienia. Żeby przeżyć, w tych niewyobrażalnie trudnych warunkach musi być w ciągłym ruchu i regularnie nie tylko wytropić zdobycz, lecz także skutecznie ją upolować. Jest jedynym, który to potrafi. Wyjątkowy drapieżnik – *Ursus maritimus*, czyli dosłownie nie tyle niedźwiedź polarny czy biały, ile morski.

LODOWY OLBRZYM

Masa niedźwiedzi polarnych – zależnie od warstwy tłuszczu, do której gromadzenia mają wyjątkowe predyspozycje – w poszczególnych okresach roku może się wahać nawet w granicach 50 proc. Samice są wyraźnie lżejsze, natomiast dorosły samiec niedźwiedzia polarnego osiąga nawet 800 kg masy ciała. Rekordowo wielki osobnik z Alaski ważył ponad tonę.

Oprócz nadzwyczaj grubej warstwy tłuszczu, zmiennej w zależności od pory roku i ilości pożywienia, niedźwiedzia polarnego okrywa dwuwarstwowe, bardzo gęste futro: 5-centymetrowa warstwa spodnia i 15-centymetrowa warstwa wierzchnia. Futro – choć widzimy je jako białe – w rzeczywistości jest przezroczyste. W połączeniu z czarną skórą, budową włosów, które są puste w środku, oraz ich innymi właściwościami, m.in. wspomnianą przezroczystością i zdolnością rozpraszania ultrafioletu, pozwala to na absorpcję ciepła ze światła słonecznego przez skórę i utrzymywanie go bez utraty blisko ciała. Izolacja ta jest na tyle skuteczna, że niedźwiedź polarny w zasadzie nie emituje ciepła na zewnątrz i w podczerwieni – poza oddechem – jest niewidoczny.

Warstwa tłuszczu o grubości nawet 10 cm, będącą nie tylko termoizolacją, lecz także zapasem, oraz właściwości skóry i włosów sprawiają, że niedźwiedziom polarnym nie grozi przemarznięcie. Raczej przegrzanie, ale przed tym chroni je sieć naczyń krwionośnych zdolnych do oddawania nadmiaru ciepła przy wyższych temperaturach otoczenia i chłodzenie się w wodzie. Impregnowana sierść nie zamaka przy tym i nie plącze się, zachowując w wodzie i po wyjściu z niej swoją strukturę.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 1c01a90050

Odstające części ciała – ogon i uszy – są niewielkie, co zapobiega odmrożeniu. Oczy, również niewielkie w stosunku do rozmiarów zwierzęcia (co chroni je w czasie zamieci śnieżnych), są osadzone blisko czubka głowy, a to z kolei jest przydatne podczas długich, nawet kilkudziesięciokilometrowych tras pokonywanych wpław w lodowatych wodach. Niedźwiedź polarny nie dostrzega części barw, za to dzięki dużej ilości pręcików na siatkówce świetnie widzi w nocy. Węch tego drapieżnika jest wybitny i pozwala mu wyczuć fokę wychylającej się z przerębli lub padliny z wielkiej odległości. Nerki o zwiększonej powierzchni pozwalają na usuwanie nadmiaru soli z wody morskiej, co jest istotne u zwierzęcia o wybitnie morskim trybie życia.

KLUCZOWY JEST MORSKI LÓD

Ścisłe przystosowanie umożliwiające przetrwanie w ekstremalnych warunkach jest z jednej strony konieczne, z drugiej zaś może być zgubne, gdyż wiąże się ze specjalizacją. To dlatego, choć człowiek nie jest w stanie przeżyć w warunkach najskrajniejszych – nie jest bowiem przystosowany ani do biegunowych mrozów, ani upałów pustyń – osiągnął taki sukces. Przystosowanie, im bardziej wyspecjalizowane, tym większą daje szansę w warunkach, dla których powstało i tym bardziej jest zagrożeniem, jeżeli te warunki się zmieniają.

Niedźwiedzie polarne są uzależnione od lodu. Kiedy inne zwierzęta wraz z nadejściem polarnej zimy przenoszą się na południe, niedźwiedzie na odwrót – idą na północ, na spotkanie zimy. Z wyjątkiem samic, które rodzą młode i karmią je w śnieżnych jamach, nie chowają się w gawrach jak ich pobratymcy, lecz są aktywne cały czas, bez przerwy wędrując – wielkie i samotne pośród ciemności zimowej arktycznej pustki, kiedy słońce na długie miesiące nie pokazuje się ani na chwilę.

Niedźwiedź polarny, jedyny wyłącznie mięsożerny gatunek niedźwiedzia, zje każde mięso. Posiada unikalne przystosowanie w tym zakresie, zwłaszcza że je mięso bardzo tłuste. Mimo ciągłego bardzo wysokiego poziomu cholesterolu nie cierpi na miażdżycę, za to dużo gorzej trawiłyby skrobię niż spokrewnione z nimi niedźwiedzie brunatne, skutkiem czego nawet jeżeli znalazłby pokarm roślinny, raczej nie byłby nim zainteresowany.

Zdobyczą może być ryba – choć posiadamy niewiele informacji o takich połowach – albo zdechły wieloryb grenlandzki (taka okazja zdarza się jednak rzadko), niedźwiedź dogoni i bez kłopotów upoluje płynącego renifera, choć raczej nieczęsto ma taką szansę, ponieważ nawet renifery wolą mniej mroźne okolice. Czasem – jeżeli samica z młodymi jest niewystarczająco ostrożna – samiec może zabić i zjeść niedźwiadki, nie gardząc taką zdobyczą, choć może bardziej kierowany chęcią eliminacji potomstwa innego samca, a najbardziej samotniczym trybem życia, który poza okresem rozrodczym utrudnia lub wręcz uniemożliwia zniesienie nawet w miarę bliskiej obecności innego niedźwiedzia, każąc atakować.

> Ten niedźwiedź w zasadzie nie emituje ciepła na zewnątrz i w podczerwieni – poza oddechem – jest niewidoczny

Podstawą diety niedźwiedzi polarnych są dwa gatunki fok: foka obrączkowana, czyli nerpa (*Pusa hispida*), żyjąca również w Bałtyku, i foka brodata, z powodu obfitych wąsów zwana też foką wąsatą lub fokowąsem brodatym (*Erignathus barbatus*).

Aby upolować fokę, trzeba ją najpierw odnaleźć. Zarówno odszukanie tego ssaka, jak i schwytanie go w otwartej wodzie jest w zasadzie niemożliwe nawet dla niedźwiedzia polarnego. Przez dużą część roku warunki w Arktyce sprzyjają jednak łowcy. Kiedy lód pokrywa wielkie powierzchnie wód, foki nie mają wyjścia – muszą utrzymywać otwory w lodzie i regularnie do nich podpływać, żeby zaczerpnąć powietrza, a czasem wypełznąć na powierzchnię. Odnalezienie takiego otworu pośród zamarzniętego morza i doczekanie na pojawienie się foki, która często wystawia nad wodę tylko koniec pyska, wykonując kilka wydechów i wdechów, to także arcytrudne zadanie. Odporność na zimno, zdolność do długich wędrówek, wspomniany węch, niesamowita cierpliwość, a także wielka siła długich łap zbrojnych w wielkie pazury pozwalają niedźwiedziom na skuteczne polowanie (foki również mają swoją szansę – znalezienie otworu to jedno, natomiast schwytanie tego zwierzęcia to inna historia i nawet najsprawniejszemu niedźwiedziowi atak udaje się tylko co któryś raz, wszystko to jest natomiast przedzielone długimi okresami wędrówki przez śnieg, lód i zamiecie).

Nikt i nic innego nie potrafi tak doskonale polować na foki na olbrzymich przestrzeniach zamarzniętego, arktycznego morza. Problem w tym, że świetnie dostosowane do tego niedźwiedzie nie potrafią przestawić się na nic innego. Może zresztą nie tyle nie potrafią, ile w tej części świata, która jest ich ojczyzną, nie mają innej możliwości.

Tymczasem lód się kurczy. Nie pokrywa już tak wielkich powierzchni ani na tak długo. Częściej tworzy także nie tyle litą warstwę, ile falujący dywan złożony z kawałków kry – a chociaż morski niedźwiedź potrafi się przemieszczać na takiej powierzchni, kiedy brakuje zwartego lodu, foki nie są skazane jedynie na dające oddech przeręble, będące szansą dla niedźwiedzia.

Szacuje się, że obecnie w arktycznym kręgu żyje 23–26 tys. niedźwiedzi polarnych, podzielonych na 19 populacji. Duża liczba populacji może być myląca, wynika bowiem z rozrywania ciągłości zasięgu gatunku – zarówno na skutek przerywania ciągłości odpowiednich warunków dla tych zwierząt, jak i postępującego spadku liczebności większości z tych grup, co napędza się nawzajem i pogłębia zagrożenie. W dodatku jedna nietypowa zima z małą powierzchnią lodu mogłaby spowodować straty, które trudno by było – o ile w ogóle – odbudować. Jaka jest przyszłość niedźwiedzi polarnych? Czy będą w stanie odmienić swoje obyczaje i dostosować się do zmian?

eprasa.pl 1c01a90050



ANDRZEJ WAJDA REŻYSER

Niczym znad Niemna

Rocznice. Czasami warto o nich pamiętać. 6 marca 1926 r. w garnizonowych Suwałkach urodził się Andrzej Wajda, najwybitniejszy polski reżyser filmowy. Do „kraju lat dziecinnych" wrócił w ekranizacji „Pana Tadeusza" (1999). W Krakowie – który nie tylko dał mu schronienie w okresie wojny, lecz także go ukształtował – powstała po latach m.in. ekranizacja „Wesela" Wyspiańskiego, teatralny, a potem serialowy projekt „Z biegiem lat, z biegiem dni" czy realizowany w dużej mierze w Nowej Hucie „Człowiek z marmuru". Spod Wawelu Wajda wyruszył na filmowe szlaki.

W autobiograficznym dokumencie „Kredyt i debet" (1999) mówił tak: „Najpierw po wojnie jechałem do Krakowa, bo uważałem, że moim przeznaczeniem jest tamtejsza Akademia Sztuk Pięknych. Potem do Łodzi, bo w Łodzi była Szkoła Filmowa – jedyna, jaka wtedy powstała, i wydawało mi się, że to jest właśnie moje miejsce. Z Łodzi do Warszawy, bo tam decydowały się wszystkie sprawy związane z robieniem filmów".

W stolicy powstało wiele zdjęć do debiutanckiego – „Pokolenia" (1954/1955, choć film był kręcony również w ruinach Wrocławia oraz łódzkich studiach). Rok później powstał tu „Kanał", a potem – we Wrocławiu – „Popiół i diament" (1958).



„Człowiek z marmuru"



„Popiół i diament"

Niedaleko domu reżysera na warszawskim Żoliborzu jest dziś skwer jego imienia (nazwany tak sześć lat po jego śmierci, w październiku 2022 r.). Skwer Andrzeja Wajdy istnieje również przy Teatrze Słowackiego w Krakowie – mieście, w którym twórca chciał być pochowany (na Cmentarzu Salwatorskim).

Swoją „Ziemię obiecaną" (1974) tworzył na filmowej taśmie głównie w Łodzi, ale scena przedstawienia, na które przychodzi cała łódzka burżuazja, powstała w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Cieszynie. Z Muzeum Zamoyskich w Kozłówce k. Lublina wypożyczono na potrzeby produkcji kilkadziesiąt eksponatów – mebli, lamp, tkanin. Dwa lata później, wśród zgromadzonych w Kozłówce rzeźb z okresu socrealizmu powstała kluczowa scena filmu „Człowiek z marmuru".

Do regionu i krajobrazów, które opuścił jako ośmiolatek, Andrzej Wajda wrócił, przenosząc na ekran słynny mickiewiczowski poemat. Sporo zdjęć – z powodu dobrego dojazdu – nakręcono w Modlinie, Piotrkowie Trybunalskim i Sierpcu, ale sielskości rozpościerających się przed oczami łanów Wajda szukał w okolicach rodzinnych Suwałk. Scenograf Allan Starski mówił o tym tak: „Zawsze z sentymentem wspomniał czasy, gdy był tam z ojcem, który należał do pułku ułanów. Dobrze znał te tereny, dlatego nie mógł ich ominąć, przygotowując »Pana Tadeusza«. To był jeden z niewielu terenów, gdzie zachował się urok prawdziwej, nieskażonej współczesnością natury. Bez linii przesyłowych, bez wiatraków, bez zakładów przemysłowych. [...] Gdy przemierzał okoliczne miejscowości, wybór niemal od razu padł na niewielką wieś Smolniki położoną przy kilku polodowcowych jeziorach, które idealnie odwzorowywały widok niczym znad Niemna". „No pięknie, pięknie. A potem przyjdą aktorzy i mi to wszystko zepsują" – miał mówić, spoglądając na krajobraz.

Jolanta Gajda-Zadworna

Od marca na platformie ARTE.tv można bezpłatnie oglądać filmy: „Popiół i diament", „Człowiek z marmuru", „Człowiek z żelaza" oraz refleksje Andrzeja Wajdy nagrane kilka miesięcy przed śmiercią.

Fot. Marcin Niemiec/Shutterstock.com; Renata Pajchel © WFDiF; © WFDiF

eprasa.pl 1c01a90050



SŁODKO-SŁONY

Dwa sposoby na brukselkę

ANNA MONICKA

Córka zawsze była szczera do bólu i – jak to dziecko wychowane wśród dorosłych – błyskawicznie nawiązywała kontakt z ludźmi znacznie starszymi od siebie. Czasem kończyło się to dość komiczne. Kiedy pewnego dnia w szkole dzieci dostały zupę jarzynową z mrożonki, w której pływały niemal rozgotowane brukselki, moja rezolutna latorośl, chodząca wówczas do pierwszej czy drugiej klasy, postanowiła zatroszczyć się o dobrostan swój i kolegów, i ruszyła do kuchni. Bardzo grzecznie zapytała, jak kucharki przygotowują tę zupę, a gdy się wszystkiego dowiedziała, postanowiła powiedzieć, że „mamusia robi brukselkę całkiem inaczej i że jest znacznie smaczniejsza". Z opowieści świadków wiem, że kobiety w kuchni zatkało, ale nie przegoniły brzdąca ani nie zwymyślały od przemądrzałych smarkaczy, tylko spytały, jak mama robi tę brukselkę. A córka opowiedziała, że trzeba każdą kapustkę przekroić na pół, potem wszystkie brukselki zalać wrzątkiem, posolić i zagotować dosłownie dwie minuty, odcedzić i podsmażyć na patelni z cienko pokrojonym w paseczki chudym boczkiem. Na koniec posypuje się podprażonymi na suchej patelni płatkami migdałów, solą oraz czerwoną papryką i skrapia sokiem z cytryny. I że taką brukselkę dzieci na pewno chętnie by jadły.

Nie miałyśmy okazji, by się przekonać, czy wykorzystano ten przepis, bo córka przestała chodzić na szkolne obiady, gdy okazało się, że ma nietolerancję glutenu. Za to ja od tamtej pory opatentowałam jeszcze jeden przepis na brukselkę – tym razem w sosie na bazie oleju sezamowego. Wybieramy dorodne, ale twarde i zwięzłe główki, myjemy i przekrawamy na połówki, a potem blanszujemy przez minutę lub dwie w osolonym wrzątku. Mają być chrupkie i twardawe. Szatkujemy i przelewamy wrzątkiem jedną szalotkę. Robimy sos inspirowany kuchnią koreańską – na 0,5 kg brukselki bierzemy ok. 0,5 szklanki oleju, 2 łyżki sosu sojowego, wyciśnięty ząbek czosnku, płaską łyżeczkę płatków chili, odrobinę miodu, szczyptę lub dwie soli (z wyczuciem, bo sos sojowy jest słony), sok z połowy cytryny lub limonki. Wsypujemy brukselkę do pudełka, dodajemy poszatkowaną cebulkę, polewamy sosem, szczodrze posypujemy prażonym sezamem, zamykamy i potrząsamy. Odstawiamy na kilka minut, żeby wszystko się przegryzło.

Fot. Shutterstock



Pyton siatkowy

WILCZYM OKIEM

Wielki wąż

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Pyton birmański

Opowieści o wielkich wężach od zawsze rozbudzały wyobraźnię. Płk Fawcett, zanim zaginął w 1925 r. w Amazonii, informował o anakondzie o długości 19 m. Ludzie wędrujący po tamtejszych lasach donosili o znacznie większych wężach, jednak nigdy nie zostało to potwierdzone. Podobne rozmiary – kilkanaście metrów długości i ponad tonę masy ciała – osiągał dusiciel z rodzaju *Titanoboa*, faktycznie żyjący w Ameryce Południowej, lecz kilkadziesiąt milionów lat temu.

Jak duże są więc największe współcześnie żyjące węże, których rozmiary zweryfikowano?

Nowojorska organizacja ochrony przyrody Wildlife Conservation Society wyznaczyła niegdyś nagrodę za udowodnienie istnienia węża dłuższego niż 30 stóp, czyli nieco ponad 9 m. Dotychczas nikt jej nie zdobył.

Kandydatów do takich rozmiarów można szukać wśród trzech gatunków: to południowoamerykańska anakonda zielona (*Eunectes murinus*), azjatycki pyton siatkowy (*Malayopython reticulatus*) i pyton birmański (*Python bivittatus*).

Za osiągające największą masę uznaje się anakondy zielone. Wydaje się prawdopodobne, że istnieją osobniki dużo cięższe niż 200 kg, natomiast najcięższa oficjalnie zważona anakonda miała masę ok. 170 kg i mierzyła niemal 6,5 m.

Pytony osiągają wagę zbliżoną do anakond, a oficjalne rekordy mogą przewyższać masę węży z Ameryki Południowej. Hodowany w Illinois pyton Baby ważył 183 kg – choć u wielkich dusicieli jedzących dużą zdobycz raz na kilka miesięcy, bywa to myląće – a jego długość wynosiła niemal 5,8 m. Nawiasem mówiąc, pytony birmańskie uciekające z hodowli już 100 lat temu zasiedliły Florydę. Obecnie tworzą tam bardzo groźną dla rodzimej fauny inwazyjną populację i są zwalczane.

Samica pytona siatkowego Samantha z Borneo osiągnęła 7,82 m długości, będąc prawdopodobnie najdłuższym oficjalnie zmierzonym współczesnym wężem. Ostatnio pojawiła się informacja o odnalezieniu na Celebes pytona o długości 7,22 m – jest to jednak osobnik dziki, podczas gdy Samantha została schwytana na wolności, lecz maksymalną długość osiągnęła w hodowli. Mało kto wie, że jeden z najdłuższych węży świata żył w Polsce. Samica pytona siatkowego Ciotka z krakowskiego zoo miała prawdopodobnie 6 m długości, co stawia ją w czołówce olbrzymich dusicieli.



Anakonda zielona

3 MIŁOŚCI

Niewinni pedofile



ROBERT TEKIELI

Trwa afera Epsteina. Lewicowy „The New York Times": „Pedofilia nie jest zbrodnią, tylko zaburzeniem psychicznym". Cóż, urodzeni mordercy, niewinni mordercy. Nie należy zatem karać za gwałcenie dzieci. Nieuczciwie oddaję myślenie antychrześcijańskich elit?

W 1977 r. Michael Foucault wraz z Jeanem Paulem Sartrem i Jacquesem Derridą podpisał petycję do francuskiego parlamentu z postulatem legalizacji stosunków seksualnych z osobami poniżej 15. roku życia. Kilka lat wcześniej lewicowy guru Daniel Cohn-Bendit opowiadał we francuskiej telewizji o swojej pracy w alternatywnym przedszkolu, mówił o „flirtach" z pięcioletnimi dziewczynkami, które „rozpinały mu rozporek", o ich stymulowaniu oraz o swoich „innych czynnościach seksualnych" w stosunku do noworodków. Quentin Tarantino o ucieczce Romana Polańskiego z USA po zgwałceniu dziecka: „Ona to akceptowała... Nie sądzę, żeby to był gwałt. To znaczy nie w wieku 13 lat. Nie dla tych 13-letnich imprezowiczek". Tarantino mieszka teraz w Izraelu. W Polsce Polańskiego bronił Krzysztof Zanussi, a Dorota Stalińska nazwała zgwałcone 13-letnie dziecko prostytutką.

W USA działa założone w 1978 r. Północnoamerykańskie Stowarzyszenie na Rzecz Miłości Mężczyzn i Chłopców: „Nie można ograniczać praw nieletnich do ich seksualności". Program niemieckiej partii Zielonych z 1980 r.: postulat legalizacji seksu z dziećmi. Utworzona w 2003 r. organizacja B4U-ACT z Baltimore klasyfikuje pedofilię jako normalną orientację seksualną i piętnuje „stygmatyzowanie pedofilów". W 2013 r. Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne wykreśliło pedofilię z listy zaburzeń. Ze zmiany się wycofano. Prof. Andrzej Jaczewski: „Jeżeli rozważamy zjawisko zachowań seksualnych wobec nieletnich", to „kontakty dobrowolne i świadome – w grupie od 9 lat do pełnoletności – nie powinny być karane". W maju 2024 r. w Republice Federalnej Niemiec posiadanie materiałów pedofilskich przestało być przestępstwem.

Instynkt chronienia potomstwa jest wspólny dla wielu gatunków zwierząt. Nowożytne odrealnienie świata dotknęło ludzkiej natury.

Kartezjusz przestał czytać rzeczywistość, zaczął ją tworzyć. Świat nie był już realny – stał się przez Descarta pomyślany. Lucyferyczna pycha powiodła Marksa dalej: trzeba zniszczyć to, co jest i skonstruować świat nowy, wspaniały.

Nie toczę ideologicznego sporu. Mówię o sprawach prostych: rozwiązłość osłabia narody, cynizm elit kaleczy cywilizacje. Silny jest naród zdrowy moralnie, ludzie dumni ze swej tożsamości, świadomi, czym zostali obdarowani przez przodków i czym są ideały. Takiej Polski nienawidzą w Moskwie i Berlinie

Postmarksiści-postmoderniści już niczego nie chcą tworzyć. Żyjemy w nihilistycznym szambie idei.

Wróćmy do francuskiego piewcy absolutnej wolności. W 1969 r. Michaela Foucaulta odwiedził w Tunezji Guy Sorman: „Małe dzieci biegały za Foucaultem, mówiąc: »Weź mnie, weź mnie«. Miały osiem, dziewięć, dziesięć lat. On rzucał w nie pieniędzmi i mówił: »Spotkajmy się w starym miejscu«. Tam kochał się na nagrobkach z młodymi chłopcami".

Intelektualiści. Zaczynają od własnych zgubnych pragnień. Potem budują teorie i filozofie, aby uzasadnić i zalegalizować swe słabości. Instytucjonalizacja grzechu. Stygmat nowożytności.

Zło obyczajowych rewolucjonistów jest tak samo banalne jak zło nazistów opisane przez Hannah Arendt. Foucault twierdził, „że każde prawo lub norma jest formą ucisku ze strony rządu i burżuazji". To dziecinne. On chciał absolutnej wolności do realizacji własnych słabości.

W swoich książkach Michael Foucault podejmował tematy władzy i dyskursu politycznego, seksualności i „emancypacji". Wiele jego tez znajduje się u podstaw teorii gender, polityki tożsamości i ideologii „woke".

Mały, skrzywdzony chłopiec, nadaktywny intelektualnie, nadrabiający deficyty stłumionych emocji. Tacy chłopcy – konstruujący, imaginujący świat, w którym dają radę zamieszkać – byli zawsze, jednak nigdy dotąd nie programowali cywilizacji. Stąd wokół tyle cierpienia.

Przepaść i mądrość spadają na nasze dzieci z wysokości nieba na dno mojej i twojej rozpaczy. Rozproszyły się po całym świecie, samotne i bez opieki.

Z ateizmu/antyteizmu zawsze wyrasta antyhumanizm. Dlatego tak nienawidzą religii. Bo stawia ograniczenia i wymagania w imię słabszych, bezbronnych, tych, którzy mają się gorzej.

Elita intelektualna we Francji zawsze ignorowała prawo zabraniające stosunków seksualnych z osobami poniżej 15. roku życia. Ta elita uważała – jak powiedział Voltaire – że powinny istnieć dwa systemy moralno-prawne: jeden dla nich, drugi dla „zwykłych ludzi".

eprasa.pl 1c01a90050

Foucault, Epstein, Gates, Lady Gaga, Tom Hanks myślą tak samo. Tak kończy się odrzucenie religijnego, duchowego fundamentu kultury.

Francja, Pierwsza Córa Kościoła, ma prawo do aborcji wpisane do konstytucji. Teraz czas na eutanazję, potem pedofilię.

Cywilizacja śmierci. Prawne ramy współpracy człowieka i demona. Widzialne i niewidzialne, ręka w rękę. Nie walczymy z krwią i ciałem – walczymy z pierwiastkami zła na wyżynach niebieskich. Czy można wątpić w istnienie Syndykatu śmierci? On jest tam, gdzie dochodzi do ścisłej współpracy człowieka z aniołem światłości. Protoplastą Syndykatu cienia pozostaje Kain.

Pochwała grzechu: ludzie Zachodu ciężko pracują na zniszczenie swojego świata. Mentorami różnych nurtów wiedzy tajemnej były istoty demoniczne. Z nowożytnych idealizmów i ezoteryzmu zrodziły się ideologie.

Syndykat cienia. Cywilizacja śmierci. Grzech systemowy. Kultura przekroczeń. Zarazić wszystkich swoją słabością. Tłumione wyrzuty sumienia.

Urodzeni pedofile, niewinni pedofile. W końcu taki się urodziłem. Nie, nie urodziłeś się taki. Zostałeś skrzywdzony. Musisz zrozumieć, przyznać się przed sobą, zaakceptować, przebaczyć. Bóg wchodzi w każdą słabość, którą zauważysz i nazwiesz.

Mądre jest też nietworzenie sobie okazji do grzechu. A jeśli jakiś się powtarza, systemowo unikać takich sposobności. Nasze serce jest podstępne, gdy chodzi o rzeczy, które uważa za przyjemne, dlatego mamy też rozum i sumienie.

Mądrość jest córką pokory. Nowożytny intelektualizm to dziecko pychy. Dwa paradygmaty poznawania świata, rozpoznawania sensu. Pokora, zaufanie Bogu i wola mocy. Są tylko dwa sztandary.

Nie toczę ideologicznego sporu. Mówię o sprawach prostych: rozwiązłość osłabia narody, cynizm elit kaleczy cywilizacje.

Silny jest naród zdrowy moralnie, ludzie dumni ze swej tożsamości, świadomi, czym zostali obdarowani przez przodków i czym są ideały.

Takiej Polski nienawidzą w Moskwie i Berlinie. Zjednoczenie Niemiec było dla Margaret Thatcher zapowiedzią poważnych kłopotów Europy. Amerykanie o tym wiedzą i będą współpracować z Polską, z narodami bezpośrednio zagrożonymi przez Moskwę. I będą trzymać Niemcy na krótkiej smyczy.

Imperia nie kierują się etyką, lecz interesem. Narody przegrywają nie dlatego, że są złe, lecz dlatego, że nie rozumieją reguł gry. Historia nigdy nie nagradzała nas za szlachetność samą w sobie. Ale promuje narody o spójnej tożsamości, mające młodzież gotową do obrony kobiet i dzieci.

Historia nie jest sprawiedliwa, nie nagradza intencji, nie pamięta łez. Ale wolność wzrasta na krwi bohaterów, na heroizmie – przyszłe zwycięstwa.

Przetrwanie zależy od jakości elit. Elity samolubne, niedojrzałe i głupie nie są w stanie sprostać trudnym czasom. Stara Europa odchodzi w cień. Polska wypatruje przywódcy duchowego na miarę interrexa, Prymasa Tysiąclecia.

Napiszę to jak najprościej. Bóg ma historię świata w swoim ręku. On nosi wszechświaty w butonierce. Ale nie żywmy złudzeń, że historia jest sprawiedliwa, że dobro zawsze wygrywa, że ofiara sama w sobie ma sens polityczny, że moralna racja znaczy cokolwiek bez siły.

Naszą bronią są realizm, odpowiedzialność, cywilizacyjna siła, kapitał kulturowy, pielęgnowanie relacji, naszej tożsamości i wiary.

Prawdziwa ofensywa musi być duchowa. Każdy musi zacząć od siebie. Walka o uporządkowanie sumienia, Eucharystia, sakrament pokuty. Post w intencji ojczyzny, różaniec w intencji dzieci nienarodzonych. Służba. Modlitwa o powołania kapłańskie w Kościele. Modlitwa za kapłanów. Osobiste zaangażowanie.

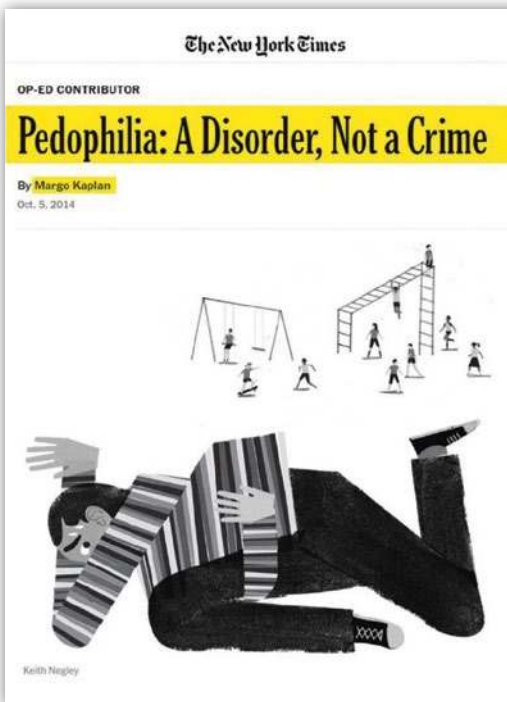
Bóg dzierży świat w ręku. Jest zakreślona miara zła. Niech gwałciciele dzieci nie czują się bezkarni.

Tajemnicą szczęścia jest kultywowanie natury ludzkiej. Walka o wewnętrzne uporządkowanie, praca nad wadami, dążenie do wzrostu utrwalonej zdolności do czynienia dobra, czyli do wzrostu w cnotach.

Kiedyś przez dwa tygodnie co dzień spowiadałem się z tego samego grzechu. Całe szczęście, że w Warszawie jest tyle kościołów. Wstydziłem się, że nie potrafię nie upaść. Ale wytrzymałem, nie przestałem. I jestem wolny. Co nie znaczy, że mam pewność, iż już nie upadnę.

Wiem jednak, że Ojciec ma serce pełne miłosierdzia dla syna, który marnotrawi życie swoje. Nie brzydzi się grzechem. Płacze, gdy syn nie ma zamiaru się podnieść z gnoju.

Ty, Boże, jesteś moją ucieczką. Wyrwiesz mnie z każdego zagrożenia. Dajesz mi radość za każdym razem, kiedy wyprowadzasz mnie z pułapki, gdy gnój podchodzi mi do ust, gdy duszę się w swoim zakłamaniu.


The New York Times

OP-ED CONTRIBUTOR

Pedophilia: A Disorder, Not a Crime

By Margo Kaplan

Oct. 5, 2014

Keith Negley

Pragnienia świadome i te ukryte, niszczące, nad którymi nie mam władzy – odciągają mnie od ciebie, Boże. Zapraszam, Jezu, do wszystkiego, co będę dziś robił. Pokaż mi czerń w moim sercu, której się wstydzę, której nie chcę ci pokazać, którą ty możesz przemienić. Nie chcę już błądzić, nie chcę ranić. Chcę cię wiernie naśladować.

Ojcze, otwórz nasze serca, abyśmy uważnie słuchali słów twego Syna.

Bóg króluje odziany w majestat, Jezus Chrystus zwyciężył moją i twoją śmierć, rzucił światło na każdy dzień życia w miłości i w samotności.

Bóg wchodzi w każdą słabość, którą zauważysz, nazwiesz i prosząc, zaczniesz mu oddawać. Jest nadzieja.

eprasa.pl 1c01a90050

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Rewizjoniści i romantycy



www.wojciechreszczynski.pl

Popularyzatorów historii według własnego widzimisię, autorów w pogoni za nakładami nazywa się niekiedy rewizjonistami historii. Szczególnie upodobali sobie polskie zrywy niepodległościowe, a każda rocznica powstania warszawskiego jest dla nich okazją do głoszenia spiskowych teorii, wytykania błędów Armii Krajowej, czyli „słusznych" uwag po czasie. Prym nadal wiedzie tu książka Piotra Zychowicza o powstaniu warszawskim o skandalicznym tytule „Obłęd '44", bardzo popularna w Niemczech. Z kolei w Rosji bardzo poczytna jest jego praca „Pakt Ribbentrop–Beck". Pierwsza posłużyła Niemcom do podtrzymania tezy, że do powstania by nie doszło, gdyby Polacy nie wystąpili zbrojnie wobec niemieckiej legalnej władzy, druga spodobała się Rosjanom, gdyż usprawiedliwiała zawarcie paktu Ribbentrop–Mołotow, skoro II RP chciała najechać Rosję wspólnie z Hitlerem.

Lekkość, niefrasobliwość, dowolność historycznych wizji, aluzji i legend snutych przez rewizjonistów mają wspólną cechę. Pozbawia nasze dzieje prawdy, obiektywizmu, przykładów autentycznego bohaterstwa, heroizmu, a nawet próbuje je ośmieszać, jakby fakty historyczne nie były pełne tych pięknych patriotycznych cech. Dlatego podobnie jak prof. Andrzej Nowak uważam tego typu „twórczość" za szkodliwą dla polskiego etosu. Pisanie o historii własnego narodu nie może być zajęciem łatwym i przyjemnym, z myślą o satysfakcji czytelników, tym bardziej nie może to być jakieś science fiction. Dlatego doceniam te prace historyków, które są zbudowane na rzetelnych naukowych podstawach, których Rafał Ziemkiewicz, też poczytny rewizjonista historii, zalicza do tzw. romantyków, widząc w ich pracach „romantyczny uświęcający mit".

Wsparcia dla prof. Nowaka w jego ostatniej krytyce Zychowicza nie uważam za „niegodne czy insynuacyjne", wbrew zarzutowi Ziemkiewicza (artykuł „Polska historia jako wampir", „Do Rzeczy" nr 15/2026). Nie uważam też za „niegodny", a wręcz przeciwnie – za bardzo uczciwy i pożyteczny, artykuł Piotra Gursztyna zamieszczony w poprzednim wydaniu „Sieci". Wymienił w nim liczne manipulacje i kłamstwa Piotra Zychowicza na temat AK w powstaniu warszawskim, jej bierności wobec tragedii wołyńskiej, paszkwile na żołnierzy wyklętych i samego Józefa Piłsudskiego. Oraz – co najgorsze – posługiwanie się fałszywymi źródłami historycznymi i manipulowanie nimi. Do tego ujawnił nieznane szerzej szczegóły na temat życiorysu Zychowicza.

Prezentujący siebie jako konserwatystę i antykomunistę o ziemiańskim, kresowym pochodzeniu zawdzięcza karierę rodzicom: ojcu, powojennemu lektorowi KC PZPR i dziennikarzowi „Trybuny Ludu" oraz matce pracującej w Agencji Interpress, a potem w dzienniku „Rzeczpospolita". Jest więc typowym „resortowym dzieckiem". Nie da się nie łączyć tego życiorysu z licznymi fałszywymi antypolskimi tezami zawartymi w jego książkach. To oczywiście nie przeszkadza Ziemkiewiczowi, a szkoda, gdyż zamiłowanie do prawdy powinno cechować każdego – nie tylko historyka, lecz także publicystę historycznego, jakim jest Zychowicz.

Przy okazji wytknę też Ziemkiewiczowi kłamliwy rewizjonizm. W ferworze polemicznym w obronie Zychowicza opisał skrótowo II RP, jej „urojenia i głupotę sanacji". Ma do tego prawo, odpowiada za swoje opinie, ale nie może fałszować faktów, np. pisząc, że „jedyny w naszych dziejach obóz koncentracyjny" został założony w II RP. Miał zapewne na myśli obóz w Berezie Kartuskiej. A ja pytam dawnego poczytnego autora książek science fiction, czym się różni jego wypowiedź od tego, co powiedziała niedouczona minister Barbara Nowacka, według której „polscy faszyści budowali obozy koncentracyjne". To jakiś – mówiąc Zychowiczem – istny obłęd. Trzeba mieć prawdziwą wiedzę, że niemieckie obozy koncentracyjne (KL, lagry), wzorowane na sowieckich obozach koncentracyjnych (łagry), miały różne kategorie eksterminacji wrogów. Były to obozy pracy, jak Sachsenhausen-Oranienburg, gdzie więziono mojego ojca, i obozy zagłady, jak KL Auschwitz-Birkenau, Majdanek czy Treblinka. Bereza Kartuska była ciężkim więzieniem, ale nigdy nie stała się obozem pracy ani zagłady w myśl niemieckiej doktryny budowy obozów w celu eksterminacji ludzi. II RP nie wybudowała żadnego obozu koncentracyjnego! W latach 1945–1949 PRL utrzymywała okrutny obóz w Jaworznie, ale także nie był to obóz koncentracyjny.

Podsumowując publicystyczny konflikt między rewizjonistami historii a romantykami, uznaję *credo* Piłsudskiego: „Jestem romantykiem i zarazem realistą". Bohdan Urbankowski, pisząc biografię Marszałka „Marzyciel i strateg", podsumował to wyznanie jako „romantyzm celów, pozytywizm środków". Tak rozumiani „romantycy" to nie mitomani, lecz trzeźwi realiści. A wychwalana przez Ziemkiewicza książka prof. Grzegorza Górskiego pod tytułem „Kampania wrześniowa" niestety już w tytule zawiera poważną semantyczną nieścisłość. Kampania wrześniowa 1939 r. to według niemieckich strategów wojennych Feldzug in Polen. Nie prowadziliśmy żadnej „kampanii wrześniowej". Dla nas, Polaków, była to wojna obronna 1939 r. przed niemiecką agresją zbrojną na Polskę. I zawsze należy ją tak nazywać.

eprasa.pl 1c01a90050

Bilans czterech lat wojny



Andrzej Rafał Potocki

Minęła czwarta rocznica rozpoczęcia przez Moskwę pełnoskalowej inwazji na Ukrainę. Niestety z powodu zbyt małego wsparcia bogatych krajów Zachodu wojna nie została wygrana w pierwszej fazie, ale trwa. Ukraińskim wojskom wciąż dostarcza się zbyt mało zaawansowanej technologicznie broni, aby mogły pokonać przeciwnika, ale pomoc nadal jest na tyle duża, żeby trwały i trzymały front w miejscu. W takiej sytuacji (*vide* I wojna światowa) konflikt przerodził się w działania na wyniszczenie z obu stron. O tyle lepiej, że Kreml ponosi dużo większe straty w ludziach i sprzęcie niż przeciwnik. Dla nas lepsza jest taka sytuacja niż pokój za wszelką cenę, który umożliwiłby Moskalom pozbieranie się, reorganizację armii i przede wszystkim produkcję uzbrojenia, by za jakiś czas zacząć realizować chorą doktrynę Dugina i Putina Europy od Władywostoku po Lizbonę – oczywiście po trupie Polski. Na ten scenariusz wskazuje m.in. ostatnia wypowiedź („rocznicowa") rzecznika Kremla Dmitrija Pieskowa: „Rosja nie zamierza przerywać wojny z Ukrainą, ponieważ cele postawione przez Moskwę nadal nie zostały zrealizowane". Dodał jednocześnie, że teoretycznie Rosja jest gotowa osiągnąć swoje zamierzenia na drodze dyplomatycznej i „pozostaje otwarta" na takie rozwiązania, ale w obecnej sytuacji „specjalna operacja wojskowa" będzie trwała. Strona moskiewska niezmiennie utrzymuje, że warunkami zakończenia działań wojennych są m.in. wycofanie sił ukraińskich z całego Donbasu (nierealne), zgoda władz Ukrainy na neutralny status państwa oraz zniesienie zachodnich sankcji nałożonych na Moskwę. Wojna ma trwać i będzie trwała. Nam pozostaje tylko zmówić modlitwę za wszystkich poległych na froncie i tych, którzy zginęli z powodu zamachów terrorystycznych, bombardowań, ostrzałów, zawalenia się budynków oraz za tych, którzy cierpią, nie mając w domu ogrzewania, prądu, wody i gazu.

Jak wylicza Center for Strategic and International Studies (CSIS), ukraińskie straty szacuje się na 500–600 tys. żołnierzy, włączając w to 100–140 tys. zabitych, a rosyjskie – na 1,2 mln żołnierzy, w tym 325 tys. zabitych. Zdaniem portalu Defence24 należy zaznaczyć, że straty nie są dla Moskwy tak dotkliwe jak dla Ukrainy. Wojna jest prowadzona na ukraińskim terytorium, kraj ten ma o wiele mniejszą głębię strategiczną, a z problemami ludnościowymi i ekonomicznymi borykał się jeszcze przed 2022 r. Charakterystyczną cechą tego konfliktu są zmasowane ataki z powietrza przeprowadzane przez Kacapię. Ale obrona przeciwlotnicza Ukrainy spisuje się na medal, nawet w opinii sił powietrznych Kremla, które twierdzą, że od początku pełnoskalowej inwazji SZU były w stanie zestrzelić ponad 140 tys. celów powietrznych. Ukraińcom udało się zatem strącić cele o wartości co najmniej 12,5 mld dol. Moskwa wykazuje determinację do kontynuowania wojny, wysyłając sygnał światu, że uważa, iż problemy demograficzno-gospodarcze Ukrainy stanowią klucz do przełamania na froncie i zwycięstwa w wojnie. Pokazują to dane opublikowane w „The Guardian": w 2025 r. straty ukraińskiej ludności cywilnej wzrosły o 26 proc. w porównaniu do roku poprzedniego. Największe naloty przeciwko obiektom cywilnym i infrastrukturze krytycznej na Ukrainie odnotowano właśnie w minionym roku. Kreml chce dosłownie złamać Ukrainę. Czy to się uda w rozpoczynającym się właśnie 2026 r.? Wszystko zależy od postawy Waszyngtonu, bo na Niemcy i Francję nie było i nie ma co za bardzo liczyć. Oni są mocni tylko w gębie, niczym tow. Czarzasty w Kijowie.

Skoro podsumowujemy straty w ciągu czterech lat wojny, przyszła pora na sprzęt pancerny. Według portalu Oryx, który podaje tylko udokumentowane zdjęciami zniszczone pojazdy, Ukraina straciła 1397 czołgów, 2067 opancerzonych bojowych wozów piechoty, 1297 transporterów opancerzonych, 775 dział artylerii samobieżnej i 261 dział holowanych. Z kolei po stronie Kremla straty wynoszą: 4342 czołgi, 8755 opancerzonych bojowych wozów piechoty, 722 transporterów opancerzonych, 997 dział artylerii samobieżnej i 551 dział holowanych. Do tego dochodzi 101 ruchomych wyrzutni rakietowych po stronie Kijowa i 543 ruchomych, wieloprowadnicowych wyrzutni rakiet Moskwy. Na koniec straty w lotnictwie: Ukraina – 114 samolotów bojowych, przeciwnik – 188. Wyraźnie widać, że w sprzęcie pancernym ruski dostał potężny łomot. Jeśli chodzi o transport, to Moskale rozwalili Tryzubom 1342 ciężarówki i samochody terenowe, a sami stracili 4455 sztuk i już prawie nie mają czym jeździć. Skoro Kijów dysponuje mniejszym potencjałem ludnościowym, to musi nadrabiać sprzętem. Ale jak to na wojnie. Wszystko zależy od Boga i... USA.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 1c01a90050

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Post i wrzask



Aleksander Nalaskowski

Człowiek, który nie potrafi sobie niczego odmówić, nie jest wolny – jest jedynie niewolnikiem impulsów

Wielki Post bywa dziś postrzegany jako anachroniczny rytuał, relikt świata, który nie nadąża za tempem nowoczesności. W kulturze natychmiastowej gratyfikacji, coachingu pozytywnego myślenia i nieustannego „dbania o siebie" 40 dni wyrzeczenia brzmi jak prowokacja. Dominuje hasło „Kochaj siebie. Wszyscy inni są już zajęci". A jednak właśnie w tym napięciu między duchem epoki a tradycją kryje się głęboki, psychologiczny sens Wielkiego Postu – sens, którego współczesny człowiek potrzebuje bardziej, niż chciałby przyznać.

Psychologia poucza, że osobowość nie rozwija się wyłącznie przez wzmacnianie przyjemnych doznań. Dojrzałość rodzi się w konfrontacji z brakiem, ograniczeniem, cierpliwym znoszeniem dyskomfortu. Dyskomfort, kryzysy, „dołki" psychiczne i konflikty bywają tak samo rozwojowe jak nagrody i przyjemności. A może nawet bardziej.

Wielki Post jest więc szkołą samokontroli, a samokontrola – jak pokazują badania i doświadczenie życiowe – pozostaje jednym z fundamentów zdrowia psychicznego. Człowiek, który nie potrafi sobie niczego odmówić, nie jest wolny – jest jedynie niewolnikiem impulsów. Tak rodzą się wszelkie uzależnienia, które zamieniają jednostkę w niewolnika.

Post nie polega wyłącznie na rezygnacji z jedzenia czy przyjemności. Jego istotą jest przywrócenie hierarchii wewnętrznej. W świecie, w którym emocje uznaje się za ostateczne kryterium prawdy, Wielki Post uczy, że nie każda zachcianka zasługuje na spełnienie, nie każda myśl musi zostać wypowiedziana. To doświadczenie porządkuje psychikę, wzmacnia poczucie sprawczości i przywraca elementarną logikę decyzji.

Istotnym, choć często pomijanym aspektem Wielkiego Postu jest również refleksja nad winą. Współczesna kultura psychologizuje grzech, redukując go do „niskiego poczucia własnej wartości" lub „toksycznego wychowania". Tymczasem zdrowa świadomość nie niszczy winy – ona oczyszcza. Przyznanie się do błędu, nazwanie go po imieniu i podjęcie wysiłku naprawy porządkuje wewnętrzny chaos. Jest pierwszym krokiem do naprawienia błędu. Wielkopostna praktyka rachunku sumienia ma więc wymiar terapeutyczny: pozwala odzyskać spójność między tym, kim jesteśmy, a tym, kim powinniśmy być. Jakkolwiek banalnie to brzmi.

Nie bez znaczenia pozostaje także cisza, w każdym jej wymiarze. Wielki Post tradycyjnie sprzyja wyciszeniu, ograniczeniu bodźców, rezygnacji z nadmiaru słów i obrazów. Z perspektywy psychologii oznacza to przestrzeń do integracji doświadczeń, do myślenia głębokiego, a nie tylko reaktywnego. Człowiek, który nieustannie konsumuje informacje, traci zdolność do autorefleksji. Post przywraca ją w sposób naturalny i nienachalny. Codziennie otrzymujemy miliony informacji, których nie jesteśmy w stanie oszacować ani uporządkować. Świat mieni się błyskotkami, kolorami i nadmiarem słów, wielkopostne wyciszenie ma zatem charakter nie tylko duchowy, lecz także terapeutyczny. Nauczyliśmy się brać, trochę umiemy dawać, ale niemal w ogóle nie posiedliśmy sztuki świadomej rezygnacji z nadmiaru.

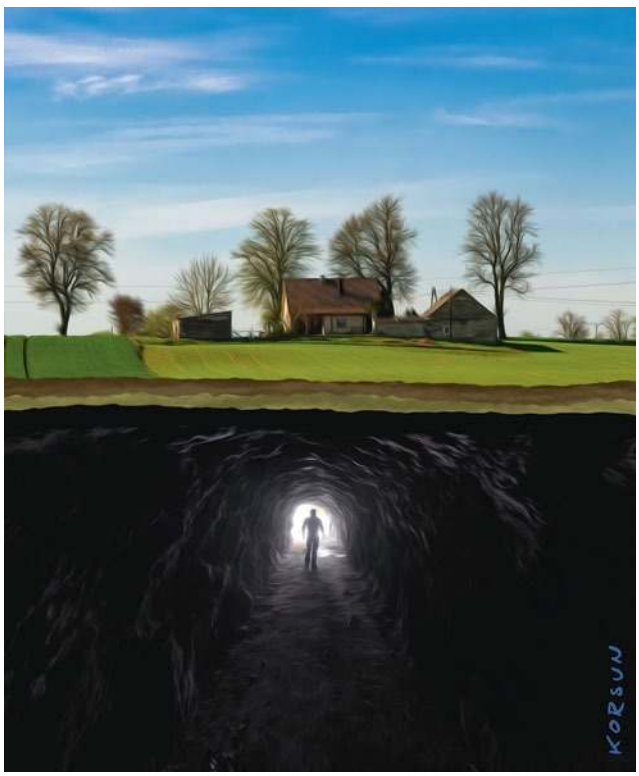
Mądrość Wielkiego Postu polega więc na uznaniu, że człowiek nie jest istotą samowystarczalną. Potrzebuje ram, rytmu i sensu, który wykracza poza chwilowy nastrój. Psychologiczny wymiar postu nie polega więc na „karaniu siebie", lecz na realistycznym spojrzeniu na ludzką kondycję: kruchą, podatną na chaos, ale zdolną do odnowy poprzez dyscyplinę i refleksję.

Umysłowa dyscyplina i refleksyjność są niestety obce wielu naszym politykom. Nie posądzam o nie ani Tuska czy Jachiry, ani Scheuring-Wielgus czy Rutnickiego, a także wielu innych. Jeśli w ogóle mają rozum, to pozbawiony logiki i autorefleksji. Dla nich Wielki Post jest tylko hasłem, anachronizmem, zaściankiem i przeżytkiem. Nie są też w stanie wytrwać w ciszy ani jej docenić, a co dopiero – hołubić. Są bowiem specjalistami od mentalnego wrzasku, tyleż głośnego, co pustego i pozbawionego jakiegokolwiek sensu. Ich szczęście jest doraźne, krótkotrwałe i bezobjawowe. Ot, migawka w telewizji, „kontrowersyjny" komentarz, głupota puszczona na antenie.

Wielki Post nie obiecuje zaś natychmiastowego szczęścia. Oferuje coś cenniejszego: wewnętrzny porządek. A bez niego żadna technika relaksacyjna, żaden lans, żaden poradnik ani terapia nie przyniosą trwałego pokoju. W tym sensie Wielki Post pozostaje jednym z najbardziej dojrzałych narzędzi formowania ludzkiej psychiki, jakie zna nasza cywilizacja.

eprasa.pl 1c01a90050

Michał Korsun prezentuje:
Kto drąży tunele pod granicą Polski?

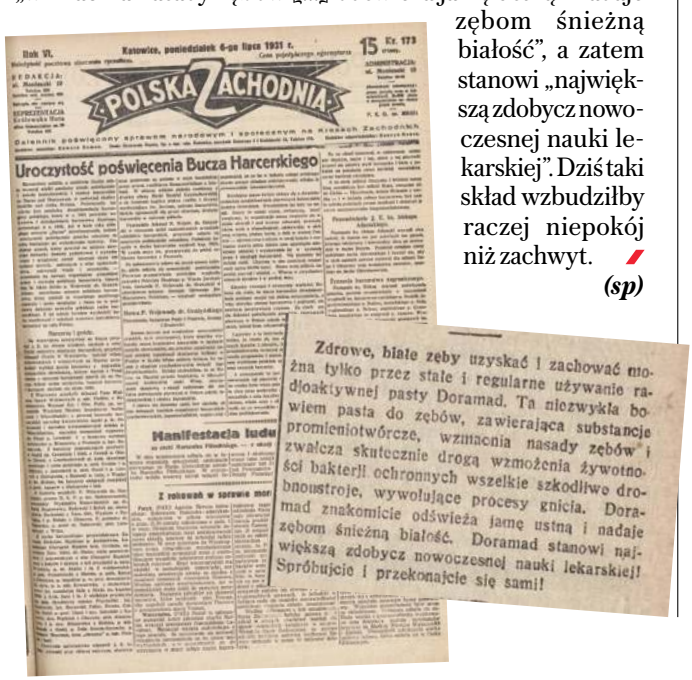


Referencje: Shutterstock (x2)

Wycinki z przeszłości

Przedwojenna prasa pełna była reklam, które dziś brzmią co najmniej zaskakująco. W 1931 r. „Polska Zachodnia" zachwalała radioaktywną pastę do zębów Doramad. Przekonywano, że dzięki substancjom promieniotwórczym „wzmacnia nasady zębów [...] odświeża jamę ustną i nadaje zębom śnieżną białość", a zatem stanowi „największą zdobycz nowoczesnej nauki lekarskiej". Dziś taki skład wzbudziłby raczej niepokój niż zachwyt.

(sp)


Katowice, poniedziałek 6-go lipca 1931 r. 15 Gr. 173

POLSKA ZACHODNIA

Uroczystość poświęcenia Bucza Harcerskiego

Manifestacja ludu

Zdrowe, białe zęby uzyskać i zachować można tylko przez stałe i regularne używanie radioaktywnej pasty Doramad. Ta niezwykła bowiem pasta do zębów, zawierająca substancje promieniotwórcze, wzmacnia nasady zębów i zwalcza skutecznie drogą wzmożenia żywotności bakterji ochronnych wszelkie szkodliwe drobnoustroje, wywołujące procesy gnicia. Doramad znakomicie odświeża jamę ustną i nadaje zębom śnieżną białość. Doramad stanowi największą zdobycz nowoczesnej nauki lekarskiej! Spróbujcie i przekonajcie się sami!

Z WOLEJA

Igrzyska, zbrodnia i błąd...



Ryszard Czarnecki

W klasyfikacji medalowej zimowych igrzysk olimpijskich Polska uplasowała się na początku trzeciej dziesiątki. Biorąc pod uwagę tylko państwa Starego Kontynentu, zajęliśmy 12. miejsce, a w UE – 10. Z czterema medalami (trzy srebrne i brązowy) były to trzecie ZIO w historii polskiego sportu. Tylko w latach 2010 i 2014 zdobywaliśmy więcej medali, bo sześć.

Skoro jest tak dobrze, to dlaczego... jest tak źle? Uznanie dla naszych medalistów olimpijskich oraz zawodników, którzy zajęli miejsca punktowane (w pierwszej „ósemce") lub/i tych, którzy pobili swoje rekordy życiowe, nie powinno przysłaniać nam faktu, że więcej sukcesów niż Biało-Czerwoni na włoskich igrzyskach odniosło wiele krajów o mniejszej populacji niż Polska. Konkretnie dziewięć państw z mniejszą liczbą ludności wyprzedziło nas w klasyfikacji medalowej. Oczywiście gdyby o liczbie zdobytych krążków decydował tylko ten wskaźnik, to Indie wygrywałyby wszelkie klasyfikacje, wysoko uplasowałyby się Indonezja i Pakistan, ale żaden z tych krajów nie zdobył ani jednego medalu na ZIO Anno Domini 2026.

Dlaczego tak jest? Za mało pieniędzy? Pewnie też, skoro używany przez Polki „bob" – pojazd, którym mkną bobsleistki – był przeszło trzy razy tańszy niż ten, który miały Amerykanki i ponad sześć razy tańszy niż ten używany przez mistrzynie z Niemiec. Pewnie też, skoro nasze saneczkarki, które były szóste, używały sanek wyprodukowanych dziewięć lat temu. Nie chodzi wszak tylko o sprzęt, lecz także o brak w Polsce np. profesjonalnych torów bobslejowych i saneczkarskich. Nasi reprezentanci tułają się np. po Niemczech i Łotwie. Czy winne są krasnoludki i sierotka Marysia? Nie. Poprzedni rząd zaplanował inwestycje na Dolnym Śląsku (Jamrozowa Polana), gdzie miał powstać pierwszy w Polsce tor bobslejowy w ramach Centralnego Ośrodka Sportu. Obecny rząd zrezygnował z tej inwestycji. Jednak nie uderzy się z tego powodu publicznie w piersi, bo jest zbyt zajęty atakowaniem prezesa i władz Polskiego Komitetu Olimpijskiego. Nie ma przypadków. Jeżeli państwowe firmy gremialnie rezygnują z finansowania polskiego ruchu olimpijskiego, a tuż przed igrzyskami dołącza do tego jeszcze telewizja Polsat, w oczywisty sposób musi się to odbić na polskich sportowcach. Poświęcono ich na ołtarzu walki z prezesem PKOl Radosławem Piesiewiczem, którego główną winą jest to, że cieszył się wsparciem poprzedniego prezydenta i poprzedniego rządu. Szkoda, że w tej walce nie zauważa się dobra samych sportowców. To coś więcej niż zbrodnia – to błąd...

eprasa.pl 1c01a90050

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

„Zbawca” czy oprawca?

Mamy wszystko, czego chcieliśmy, a i tak pragniemy uciec. Smartfon w kieszeni daje nam władzę nad światem, a jednocześnie odbiera władzę nad własnym mózgiem. Rewolucja cyfrowa, która miała nas wyzwolić, zadziałała jak narkotyk: im więcej mamy, tym bardziej czujemy się biedni.

Ludzki los został zdrowo zakręcony. Świat nabrał takiej złożoności i dynamiki, że przestaliśmy się już orientować, co jest grane.

FAŁSZYWE ŹRÓDŁO NADZIEI

Gdy okazało się, że najpoważniejsze problemy – destabilizacja klimatu, choroby cywilizacyjne, okrutne wojny – są za trudne, by ludzkie umysły sobie z nimi poradziły, znaleziono nowe źródło nadziei – sztuczną inteligencję.

30 listopada 2022 r. nastąpił moment iście przełomowy. Milionom ludzi udostępniono ChatGPT – model AI nadający się do rozmowy i wykorzystywania przez osoby niemające żadnych kompetencji informatycznych. A gdy za nim poszły kolejne, coraz sprawniejsze modele AI, wydawało się, że stoimy na progu pozytywnego przełomu. Że dzięki wsparciu ze strony sztucznej inteligencji będziemy w stanie rozwiązać palące problemy ludzkości.

NAGŁY ZWROT AKCJI

Niestety raz-dwa okazało się, że jest całkiem odwrotnie. AI, która miała nam przynieść rozwiązanie nawet najtrudniejszych problemów, sama pokazała swą sprawność na tyle, że to ona została uznana za problem numer jeden, przed jakim stanęła ludzkość.

Okazało się bowiem, że w postaci AI zbudowaliśmy potężniejącą z niemal każdym tygodniem siłę, której działania nie tylko w pełni nie rozumiemy, lecz także – patrząc z czysto inżynierskiego punktu widzenia – nie potrafimy rozwijać zgodnie z wymogami bezpieczeństwa.



Jeśli cyfrowy wyścig zbrojeń między korporacjami i państwami nie zostanie powstrzymany, może powstać system, który po prostu skasuje ludzkość

Najwybitniejsi fachowcy, w tym współtwórcy systemów AI, przyznają: niebawem nie będziemy wiedzieli, czy i jak jesteśmy w stanie kontrolować inteligencję, która przecież już dziś pod wieloma względami przewyższa człowieka. Co więcej, potrafi celowo (choć chyba nieświadomie) wprowadzać swoich twórców w błąd.

To, co miało być niemal zbawcą ludzkości, dostarczycielem nieskończonej wiedzy i nieograniczonego dostatku (a jeśli maksymalny dostatek będzie dla wszystkich, to przecież nie będziemy musieli już więcej wojować), nagle, niemal z dnia na dzień, jest ogłaszane problemem numer jeden.

PESYMIZM RATUJE PRZED NAIWNOŚCIĄ

W ostatnich miesiącach coraz więcej ekspertów przyznaje, że jeśli cyfrowy wyścig zbrojeń między korporacjami i państwami nie zostanie powstrzymany, może powstać system, który – celowo lub przypadkiem –po prostu skasuje ludzkość. Dodają przy tym, że choć zagrożenia są już na poziomie systemowym, katastrofy można jeszcze uniknąć.

Także uważamy, że proces nieuchronnego upadku jeszcze się nie zaczął. Być może po raz pierwszy w historii mamy szansę świadomie zdecydować, jaką rolę w naszym świecie odegra technologia. By jednak to zrobić, trzeba porzucić niebezpieczne złudzenie, że to tylko narzędzie. Te słowa to raczej...

...NAJWIĘKSZA ŚCIEMA NASZYCH CZASÓW

W czasie, gdy cyfrowa technologia stała się naszym niemal wszechogarniającym środowiskiem, to ona ma nad nami przewagę. Technologii nie dopasowujemy do siebie. Jest na odwrót.

Potrzebujemy odwagi, by patrzeć technologii prosto w oczy i przyznać, że nie wszystko jeszcze rozumiemy. Potrzebujemy radykalnej zmiany strategii – odwrócenia kierunków przemian.

Technologie cyfrowe integrowano, łączono, ludzi atomizowano, oddzielano, w dodatku nas polaryzując. To się musi skończyć. To trzeba odwrócić: ludzi trzeba integrować, sieci cyfrowe poddać segmentacji. To ostatnie, by ograniczyć niszczycielski potencjał awarii. Bo problem nie leży w kodzie — leży w nas. Bo przestaliśmy pytać, czemu ma służyć technologia, zanim ją zbudowaliśmy.

Ale czy jest to możliwe bez nowego, radykalnego społecznego konsensusu? Bez jasnego przekonania, że dzisiejsza technologia jest w stanie służyć człowiekowi tylko wtedy, gdy będziemy potrafili raz jeszcze przemyśleć naturę naszego człowieczeństwa? Z odwagą kwestionując te współczesne ideologie, które zabraniają nam stawiania trudnych pytań o ludzką naturę, granice postępu i wartość tradycji.

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

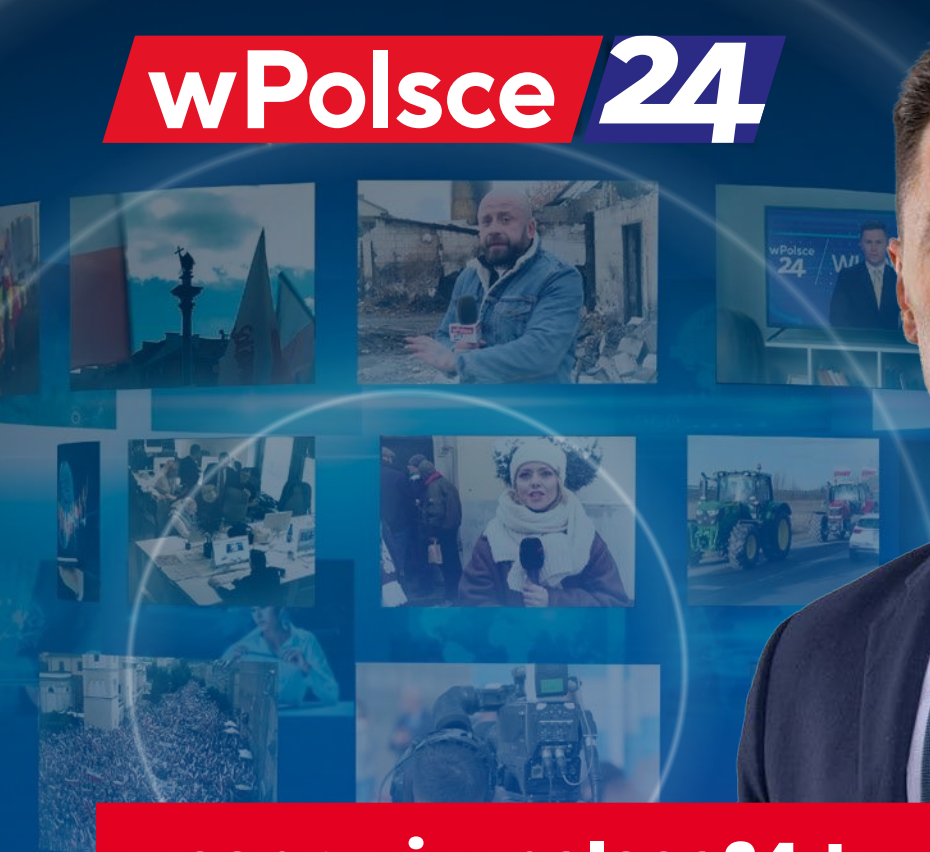
Autopromocja x2

eprasa.pl 1c01a90050

Zbieramy fundusze na mobilne centrum transmisyjne.
Chcemy być jeszcze bliżej widzów
i walczyć o polskie sprawy!

POMÓŻ NAM ODKRYWAĆ PRAWDĘ

wPolsce24





Piotr Pawelec
prowadzący „Wiadomości"

wesprzyj.wpolsce24.tv

WSPIERAJ wPolsce24

Wesprzyj niezależne media

numer konta:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

tytuł wpłaty:

DAROWIZNA

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

eprasa.pl 1c0

NOWOŚĆ! PRENUMERATA PRZEZ InPost

Wybierz swój Paczkomat®

i czytaj SIECI

już w poniedziałek



Zyskujesz też możliwość czytania SIECI na telefonie



- **dostawa już w poniedziałek** przez Paczkomat®
- dodatkowo **dostęp do e-prenumeraty** SIECI i e-booków Sieci Extra niedostępnych dla innych czytelników
- **cena niższa niż w kiosku** – tylko 9,39 zł za egzemplarz (w kiosku to 13,90 zł)
- opcja zmiany na inny Paczkomat® (np. na czas urlopu)
- darmowa dostawa

Zamów już dziś prenumeratę przez Paczkomat!

prenumerata.sieciprawdy.pl/oferta/inpost

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

eprasa.pl 1c01a90050